



ANNA
SNOEKSTRA

CÓREKZKA

Ukradła cudze życie.
Teraz za to zapłaci.

Anna Snoekstra

Córeczka

Tłumaczenie:
Dorota Stadnik

Dla mojej matki

Zawsze umiałam grać. Trafiając na obleśnego typu, stawałam się intrygującą uwodzicielką. Mając do czynienia ze szlachetnym obrońcą uciśnionych, byłam niewiniątkiem o sarnich oczach. Na tego ochroniarza nie zadziało ani pierwsze, ani drugie z moich wcieleń.

Prawie mi się udało. Drzwi supermarketu już się rozsunęły, kiedy wielka łapa opadła na moje ramię. Tylko kilkanaście kroków dzieliło mnie od cichej uliczki wysadzonej drzewami o żółtopomarańczowych liściach.

Mężczyzna ścisnął mnie jak imadłem, a potem zaprowadził do biura na drugim końcu sklepu. To było maleńkie pomieszczenie bez okien ledwie mieszczące starą szafę na dokumenty, biurko i drukarkę. Wyjął z mojej torby bochenek chleba, ser i jabłko, i położył to wszystko na blacie między nami. Na widok tych rzeczy poczułam wstyd, ale ze wszystkich sił starałam się wytrzymać jego spojrzenie. Oświadczył, że mnie nie puści, jeśli nie podam nazwiska. Na szczęście nie miałam przy sobie portfela. Po co komu portfel, skoro nie ma pieniędzy?

Próbowałam na tym facecie wszystkich swych zwyczajowych sztuczek, ze łzami włącznie, ale na próżno. To nie był mój najlepszy popis aktorski. Nie mogłam oderwać wzroku od chleba. Czułam skurcze żołądka, nigdy przedtem nie byłam tak głodna.

Słyszę go teraz. Rozmawia z policjantami pod drzwiami zamkniętego na klucz biura. Spoglądam na tablicę ogłoszeń. Wisi tam grafik pracowniczy, rozpisana na punkty procedura postępowania z kartami kredytowymi z uśmiechniętą buźką dorysowaną na dole i kilka zdjęć z nocnej zmiany.

Nigdy nie chciałam pracować w supermarkecie. W ogóle nigdzie nie chciałam pracować, ale nieoczekiwanie czuję ukłucie zazdrości.

– Przepraszam, że zawracam wam głowę, ale ta zdzira nie chce podać nazwiska.

Ciekawe, czy facet wie, że go słyszę.

– Nic się nie stało. Zabierzemy ją stąd – mówi inny głos.

Drzwi się otwierają i spogląda na mnie para gliniarzy, mężczyzna i kobieta, oboje mniej więcej w moim wieku. Ona ma ciemne włosy starannie związane w koński ogon, a facet jest chudy i ma ziemistą cerę. Już wiem, że okaże się dupkiem. Siadają po drugiej stronie biurka.

– Jestem posterunkowy Thompson, a to posterunkowa Seirs. Zostałaś przyłapana na kradzieży na terenie tego sklepu – mówi funkcjonariusz, nie starając się nawet ukryć znudzenia w głosie.

– Nie kradłam – mówię, naśladowując ton dobrze wychowanej kobiety, jakim mówiła moja macocha. – Szłam do kasy, kiedy on mnie złapał. Ten człowiek ma problem z kobietami.

Patrzą na mnie powątpiewająco, taksują brudne ubranie i tłuste włosy.

Zastanawiam się, czy śmierdzieć. Posiniaczona i opuchnięta twarz nie działa na moją korzyść. Pewnie dlatego zostałam złapana.

– Kiedy tu weszliśmy, obrzucił mnie wulgarnymi epitetami. Nazwał mnie – zniżam głos – zdzirą i dziwką. Obrzydliwość. Mój ojciec jest prawnikiem – dodałam wyniosłym głosem damy. – Spodziewam się, że będzie chciał pozwać sklep za niewłaściwe zachowanie jego pracownika, kiedy opowiem mu, co mnie tu dzisiaj spotkało.

Wymieniają się spojrzeniami, a ja widzę, że nie kupują mojej bajeczki. Powinnam była uderzyć w płacz.

– Skarbie, wszystko będzie dobrze. Podaj nam tylko swoje nazwisko i adres. Przed nocą wrócisz do domu – oznajmia funkcjonariuszka.

Jest w moim wieku, a zwraca się do mnie jak do dziecka.

– Możemy cię aresztować i zabrać na komisariat – dodaje posterunkowy. – Zostaniesz w celi, póki nie ustalimy twojej tożsamości. Będzie o wiele prościej, jeśli od razu podasz swoje nazwisko.

Próbują mnie przestraszyć i nawet im się to udaje, ale z zupełnie innego powodu, niż przypuszczają. Kiedy zdejmą moje odciski palców, ustalenie tożsamości nie zajmie im wiele czasu. Dowiedzą się, co zrobiłam.

– Byłam bardzo głodna. – Drżenie mojego głosu wcale nie jest udawane.

Decyzję podejmuję pod wpływem ich wzroku. Są w nim litość i odraza, zupełnie jakby odmawiali mi jakiegokolwiek wartości. Z pewnością jestem dla nich tylko kolejną bezdomną, ludzkim śmieciem, z którym trzeba się uporać. Odnajduję przechowane w pamięci wspomnienie. I już wiem, jak wybrnę z tych tarapatów.

Siła słów, które za chwilę padną z moich ust, jest ogromna. Przepływa przez moje ciało jak porcja wódki, rozluźnia ściśnięte gardło i wywołuje mrowienie w palcach. Bezradność znika, wiem, że dam radę. Spoglądam na posterunkową Seirs, potem na posterunkowego Thompsona, delektując się chwilą. Obserwuję ich uważnie w oczekiwaniu na moment, w którym zmieni się wyraz ich twarzy.

– Nazywam się Rebeca Winter. Jedenaście lat temu zostałam uprowadzona.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

2014 r.

Opatulona płaszczem i ze spuszczoną głową siedzę w pokoju przesłuchań. W pomieszczeniu jest bardzo zimno. Czekam już od godziny, ale wcale się nie boję. Wyobrażam sobie, jakie zamieszanie wywołałam wśród ludzi po drugiej stronie lustra. Pewnie wzywają członków jednostki zajmującej się poszukiwaniem zaginionych, oglądają zdjęcia Rebeki i porównują je ze mną. To ich powinno przekonać, bo podobieństwo jest uderzające.

Zobaczyłam to wiele miesięcy wcześniej. Byłam wtedy z Peterem, który dawał mi trochę ciepła. Zwykle na kacu robiłam się płaczliwa i spędzałam cały dzień w swoim pokoju, słuchając smętnej muzyki. Z nim było inaczej. Wstaliśmy w południe, usiedliśmy na kanapie, jedząc pizzę i paląc papierosy, aż poczuliśmy się lepiej. To było w czasach, kiedy uważałam, że pieniądze moich rodziców nie mają znaczenia, a ja potrzebuję tylko miłości.

Oglądaliśmy głupi program zatytułowany „Poszukiwani”. Prowadzący mówili o serii makabrycznych morderstw w domu starców w Melbourne. Zaczęłam rozglądać się za pilotem, bo informacja o masakrowanych staruszkach gwarantowała błyskawiczne pogorszenie nastroju. Już miałam zmienić kanał, kiedy prowadzący przeszli do kolejnej historii, a na ekranie pojawiło się zdjęcie. Ta dziewczyna miała mój nos, moje oczy, moje miedziane włosy. A nawet moje piegi.

– Siedemnastego stycznia dwa tysiące trzeciego roku Rebeca Winter skończyła wieczorną zmianę w McDonaldzie usytuowanym w Manuce na południowym przedmieściu Canberry – mówił udramatyzowanym głosem lektor – ale zniknęła gdzieś na trasie między przystankiem autobusowym a domem. Odtąd nikt więcej jej nie widział.

– Jasny gwint, to ty? – zapytał Peter.

Na ekranie pojawili się rodzice dziewczyny. Mówili, że ich córka zaginęła ponad dziesięć lat temu, ale nadal mają nadzieję na jej odnalezienie. Matka była bliska płaczu. Na kolejnej fotografii Rebeca Winter miała na sobie jasnozieloną sukienkę i obejmowała ramieniem jakąś nastolatkę o jasnych włosach. Przez chwilę usiłowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miałam taką sukienkę.

Portret rodzinny: rodzice wyglądający trzydzieści lat młodziej, dwaj szeroko uśmiechnięci bracia i Rebeca pośrodku. Idylla. Aż się prosiło o biały płótek wokół domu.

– Kurwa, czy to twoja dawno zaginiona bliźniaczka? – dalej pytał Peter.

– Niedoczekanie twoje!

Zaczęliśmy żartować z jego fantazji o figlach z bliźniaczkami i szybko zapomniał o całej historii. W jego mózgu nic nie zostawało zbyt długo.

Próbuję sobie przypomnieć każdy szczegół, jaki podano w tamtym programie. Rebeca Winter pochodziła z Canberry, była nastolatką, w chwili zaginięcia miała piętnaście, może szesnaście lat. Szczęśliwie się złożyło, że bok twarzy mam posiniaczony i spuchnięty, co maskuje dzielące nas różnice. Zanim opuchlizna i sińce znikną, będę już daleko stąd. Muszę tylko kupić sobie czas potrzebny na wydostanie się z komisariatu. Może pojedę na lotnisko. Przez chwilę zadaję sobie w myślach pytanie: co potem? Zadzwoić do taty? Nie rozmawiałam z nim od opuszczenia domu. Kilka razy próbowałam dzwonić z automatu telefonicznego, nawet wybrałam numer jego komórki, ale wtedy moją głowę wypełniał głuchy odgłos padającego ciała i trzęsącymi się rękami odwieszałam słuchawkę. Tata nie chciałby ze mną rozmawiać.

Przez uchylone drzwi zagląda do środka policjantka i posyła mi uśmiech.

– To nie potrwa długo. Przynieść ci coś do jedzenia? – mówi.

– Tak, proszę.

W jej głosie pobrzmiwa lekkie zakłopotanie. Spogląda na mnie, po czym szybko odwraca wzrok.

Połknęli haczyk.

Z baru obok komisariatu przynosi mi pojemnik z parującym makaronem. Jest tłusty i trochę posklejany, ale nigdy w życiu nic mi tak nie smakowało. W końcu do pokoju wchodzi oficer śledczy, kładzie na stole teczkę z aktami i odsuwa sobie krzesło. Z grubą szyją i małymi oczkami wygląda na ordynarnego i prymitywnego. Po sposobie, w jaki siada, wnioskuję, że najlepszą metodą na takiego kogoś będzie odwołanie się do jego ego. Facet usiłuje zagarnąć dla siebie jak najwięcej przestrzeni. Kładzie ramię na oparciu drugiego krzesła, szeroko rozstawia nogi.

– Przepraszam, że tak długo to trwało. – Posyła mi uśmiech.

– W porządku – odpowiadam cichym głosem, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. Lekko odwracam głowę, by widział tę stronę mojej twarzy, którą pokrywają sińce.

– Niedługo zawieziemy cię do szpitala.

– Nie jestem ranna. Chcę jechać do domu.

– Takie mamy procedury. Dzwoniliśmy do twoich rodziców, ale nie odbierali telefonu.

Wyobrażam sobie telefon dzwoniący w pustym domu Rebeki Winter. Pewnie tak jest lepiej. Rodzice dziewczyny tylko by skomplikowali sprawę. Policyjny detektyw bierze moje milczenie za rozczarowanie.

– Nie martw się, na pewno wkrótce uda się nam z nimi skontaktować. Będą musieli przyjechać tutaj na identyfikację. Potem pojedziecie razem do domu.

Ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba, to zdemaskowanie w obecności policjantów. Moja pewność siebie słabnie. Muszę to jakoś odkręcić.

– Niczego bardziej nie pragnę, jak znaleźć się w domu – mówię ze

spuszczoną głową.

– Wiem, ale to nie potrwa długo. – Zwraca się do mnie takim tonem, jakby klepał mnie po głowie. – Smakowało? – Patrzy na pusty pojemnik po makaronie.

– Bardzo. Wszyscy są dla mnie tacy mili – mówię, nie wychodząc z roli przestraszonej ofiary.

Funkcjonariusz otwiera szarą teczkę. To akta Rebeki Winter. Czas na przesłuchanie. Przebiegam wzrokiem pierwszą stronę.

– Jak masz na imię? – pyta.

– Rebeca – odpowiadam ze spuszczoneymi oczami.

– Gdzie byłaś przez cały ten czas, Rebeco? – Pochyliła się w moim kierunku.

– Nie wiem – szepczę. – Strasznie się bałam.

– Czy był tam ktoś jeszcze? Kogoś innego z tobą przetrzymywano?

– Nie, byłam sama. – Widzę, że przysuwa się jeszcze bliżej, jego twarz dzieli od mojej zaledwie kilkanaście centymetrów. – Uratowaliście mnie – dodaję, patrząc mu prosto w oczy. – Dziękuję.

Widzę, jak nabiera powietrza. Jesteśmy zaledwie trzy godziny jazdy od Canberry. Muszę tylko trochę go docisnąć. Teraz, kiedy poczuł się wielki, nie będzie w stanie mi odmówić. To moja jedyna szansa na wydostanie się stąd.

– Pozwoli mi pan jechać do domu? Proszę...

– Musimy najpierw cię przesłuchać, potem zawieźć do szpitala na badania.

To ważne.

– Nie można zrobić tego w Canberze? – Pozwalam, by łzy spłynęły mi po policzkach. Mężczyźni nie znoszą patrzeć na płaczące kobiety. Z jakiegoś powodu czują się wtedy nieswojo.

– Zostaniesz przewieziona do Canberry już niedługo, ale najpierw musimy trzymać się procedur, rozumiesz?

– Ale pan tu jest szefem, prawda? Jeśli pan pozwoli mi iść, reszta będzie musiała pana posłuchać. Chcę zobaczyć moją mamę.

– Dobrze. – Zrywa się z krzesła. – Nie płacz, zobaczę, co się da zrobić.

Wraca z dobrą nowiną. Do Canberry przewiozą mnie policjanci, z którymi przyjechałam na komisariat, a tam zajmie się mną policjant z wydziału osób zaginionych, który pracował nad sprawą Rebeki Winter. Kiwam głową i uśmiecham się do niego. Spoglądam na niego jak na bohatera.

Nie dojadę do Canberry. Na lotnisku byłoby mi łatwiej się ulotnić, ale jestem pewna, że i w tej sytuacji sobie poradzę. Widzą we mnie ofiarę, więc ucieczka nie powinna być trudna.

Kiedy wychodzimy z pokoju przesłuchań, wszyscy odwracają się w moim kierunku. Jedna z kobiet przyciska do ucha słuchawkę.

– Jest tutaj. Zaraz zapytam. – Przyciska telefon do piersi i spogląda na policyjnego detektywa. – To pani Winter. W końcu ją złapaliśmy. Chce

porozmawiać z Rebecą. Może?

– Oczywiście – odpowiada, uśmiechając się do mnie.

Kobieta podaje mi telefon. Rozglądam się. Wszyscy mają spuszczone głowy, ale wiem, że uważnie się przysłuchują. Biorę od niej telefon i przykładam do ucha.

– Halo?

– Becky, to ty?

Otwieram usta. Powinnam coś powiedzieć, ale nie wiem co.

A ona mówi dalej:

– Och, skarbie, Bogu dzięki. Nie mogę w to uwierzyć. Dobrze się czujesz? Zapewniali, że nic ci nie jest, ale trudno mi w to uwierzyć. Tak cię kocham. Wszystko z tobą dobrze?

– Tak.

– Zostań, gdzie jesteś. Tata i ja przyjedziemy po ciebie.

Jasna cholera!

– Właśnie mieliśmy ruszać – mówię prawie szeptem. Nie chcę, żeby zdradził mnie głos.

– Nie, proszę, nigdzie nie jedź. Zostań tam, gdzie jesteś bezpieczna.

– Szybciej dojadę z nimi. Już wszystko ustalone.

Słyszę, jak przetyka ślinę.

– Przyjedziemy naprawdę szybko – mówi przez ściśnięte gardło.

– Muszę kończyć. – Patrzę na strzygących uszami ludzi i dodaję: – Do widzenia, mamó.

Kiedy oddaję telefon, słyszę w słuchawce jej łkanie.

Ostatnie promienie słońca już zgasły. Niebo jest jasnoszare. Jedziemy już od godziny. Rozmowa się urwała. W powietrzu wisi niezadane pytanie, co się ze mną działo przez te lata, ale policjanci trzymają język na wodzy.

Na szczęście dla mnie, ponieważ sami pewnie mieli lepsze rozeznanie ode mnie, gdzie Rebeca Winter spędziła minioną dekadę.

Z radia dobiega leniwy głos Paula Kelly’ego, krople deszczu dudnią o dach auta i spływają po szybach. Czuję narastającą senność.

– Włączyć ogrzewanie? – pyta Thompson, taksując moją kurtkę.

– Nie, jest dobrze – odpowiadam.

Prawda jest taka, że nie mogę zdjąć kurtki bez względu na temperaturę w wozie. Tuż poniżej zgięcia łokciowego mam znamię, ciemnobrązową plamkę wielkości dwudziestocentówki. W dzieciństwie jej nienawidziłam, ale mama wciąż mi powtarzała, że to ślad po pocałunku anioła. To jedno z moich nielicznych wspomnień o niej. Dorastając, zaczęłam lubić to znamię. Może dlatego, że patrząc na nie, myślałam o niej. A może dlatego, że było po prostu częścią mnie. Nie było jednak częścią Bec. Wątpiłam, by ci idioci dokładnie przeczytali akta i zwrócili uwagę na słówko „brak” w rubryce „znaki szczególne”. Mimo to nie chciałam

ryzykować.

Próbowałam zmusić się do ułożenia planu ucieczki, ale zamiast tego nie mogłam się opędzić od myśli o mamie Rebeki. O sposobie, w jaki mi powiedziała, że mnie kocha. Zabrzmiało to zupełnie inaczej niż w wykonaniu mojego taty, który robił to w obecności innych ludzi albo kiedy usiłował wymóc na mnie grzeczne zachowanie. U niej te słowa wypłynęły z samego wnętrza jej istoty, z trzewi. Kobieta, do której jedziemy, naprawdę mnie kocha. A raczej kocha tę, za którą mnie uważa. Ciekawe, co robi w tej chwili. Obdzwania przyjaciół, by podzielić się dobrymi wieściami? Pierze dla mnie pościel? Jedzie do sklepu po nadprogramowe zakupy i martwi się, że z ekscytacji nie zaśnie? Wyobrażam sobie, co się stanie, kiedy poinformują ją o mojej ucieczce w drodze. Tych dwoje policjantów czeka mnóstwo kłopotów. Nieważne, nimi zupełnie się nie przejmuję, ale co z nią? Co ze świeżo posłanym łóżkiem dla mnie? Co z zapasami w lodówce? Co z nagromadzoną miłością? Wszystko pójdzie na marne.

– Muszę do łazienki – oznajmiam na widok znaku, który informował, że gdzieś blisko jest toaleta.

– Dobrze, skarbie – mówi posterunkowa Seirs. – Na pewno nie chcesz poczekać na stację benzynową?

– Nie. – Mdli mnie od tych uprzejmości.

Auto zjeżdża na drogę gruntową i zatrzymuje się przed ceglana toaletą. Obok mieści się stare stanowisko do grillowania, stoją dwa stoły piknikowe. Za nimi zaczynają się gęste zarośla. Jeśli zyskam przewagę na starcie, nie znajdą mnie w tym gąszczu.

Policjantka rozpiną pas, ale uprzedzam jej zamiary:

– Nie jestem dzieckiem. Sama się wysikam, nie potrzebuję pomocy.

Wysiadam z auta i trzaskam drzwiami, nie dając jej szans na polemikę. Deszcz spływa mi po spoconej twarzy. Miło wyjść z dusznego auta. Przed pójściem do toalety spoglądam przez ramię i widzę, jak reflektory świecą w strugach deszczu, a wycieraczki pracowicie usuwają wodę z przedniej szyby. Widzę też, że policjanci rozmawiają i wiercą się na siedzeniach.

Toalety są koszmarne. Na betonowej podłodze stoi woda, zgniecione chusteczki pływają w niej jak miniaturowe góry lodowe. W powietrzu wisi odór piwa i wymiocin, obok toalety stoi pusta butelka po piwie, deszcz bębni o blaszany dach. Wyobrażam sobie, jaka czeka mnie noc w tej ulewie. Będę musiała iść, póki nie dotrę do miasta, a potem co? Znowu zgłodnieję, a pieniędzy nadal nie mam. Ostatni tydzień był najgorszym tygodniem w moim życiu. Musiałam podrywać facetów w barach, żeby mieć gdzie spać. A pewnej nocy, z braku innych możliwości, musiałam schować się w publicznej toalecie w parku i przy najdrobniejszym szmerze podskakiwałam jak oparzona, bo wyobrażałam sobie najgorsze. Miałam wrażenie, że ta noc zapadła na wieczność i nigdy już nie ujrzę

światła dnia. Ta toaleta przypominała mi tamtą.

Moja determinacja słabnie. Przez chwilę wyobrażam sobie inaczej spędzoną noc: ciepłe łóżko, pełny żołądek i pocałunek w czoło. To mi wystarczy.

Butelka z łatwością pęka, uderzona o kant sedesu. Podnoszę duży kawałek szkła. Kucam w kabinie i przytrzymuję rękę kolanami. Dociera do mnie, że zaczęłam jęczeć, ale nie pora na słabość. Jeszcze chwila i policjantka przyjdzie sprawdzić, co się ze mną dzieje. Przyciskam ostrą końcówkę odłamka do brązowej plamy. Przeszywający ból odbiera mi oddech. Z rany leci więcej krwi, niż się spodziewałam, ale nie przerywam. Skóra odchodzi od ramienia jak od obieranego ziemniaka.

Podszywka ślizga się po otwartej ranie, gdy wkładam kurtkę. Wyrzucam krwawe dowody do kosza na odpadki i zmywam krew z rąk. Przed oczami zaczynają mi latać ciemne plamy, żołądek wyczynia dzikie harce. Łapię się krawędzi umywalki i oddycham głęboko. Dam radę.

Słyszę trzask drzwi auta, potem kroki.

– Wszystko w porządku? – woła posterunkowa Seirs.

– Zemdliło mnie, mam chorobę lokomocyjną – odpowiadam, sprawdzając, czy w umywalce nie ma śladów krwi.

– Skarbie, jesteśmy prawie u celu. Powiedz, kiedy zrobi ci się niedobrze, to się zatrzymamy.

Deszcz pada jeszcze mocniej, niebo spowija głęboka czerń, lodowate powietrze pomaga walczyć z nudnościami. Gramolę się na tylne siedzenie wozu i zamykam drzwi zdrową ręką. Wracamy na autostradę. Unoszę pulsujące bólem ramię i opieram o zagłówek. Boję się, żeby krew nie zaczęła ściekać do nadgarstka. Głowę wspieram na szybie. Mdłości ustąpiły, pozostało wrażenie unoszenia się na wodzie. Pod wpływem monotonnego dźwięku deszczu, łagodnych tonów radia i panującego w wozie ciepła zamykam powieki i zapadam w półsen.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy, zanim dobiegła mnie rozmowa policjantów.

– Chyba zasnęła – mówi posterunkowy.

Słyszę skrzypienie skórzanego siedzenia. Posterunkowa odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, ale się nie ruszam.

– Na to wygląda – stwierdza. – Musi być zmęczona.

– Jak myślisz, co się z nią działo przez te lata?

– Według mnie prysnęła z jakimś facetem, może za niego wyszła.

W którymś momencie miał jej dość i ją wyrzucił. Sądzę, że był bogaty. Patrzyła na nas wszystkich z góry.

– Powiedziała, że została uprowadzona.

– Wiem, ale nie zachowuje się jak ofiara porwania – stwierdza posterunkowa Seirs.

– Właśnie.

– Zważywszy na okoliczności, jest w całkiem niezłym stanie. Jeśli została porwana, to facetowi na pewno na niej zależało w jakiś chory sposób. A co ty o tym sądzisz?

– Szczerze mówiąc, mam to gdzieś – mówi posterunkowy Thompson. – Ale myślę, że czeka nas odznaczenie albo pochwała.

– No nie wiem. Może jednak powinniśmy zawieźć ją do szpitala? Nie wiem, czy dupek naprawdę tak po prostu ją wypuścił na jej jedno pstryknięcie palców.

– Właściwie jaka jest procedura? Wiem, co trzeba robić w przypadku zaginięcia dzieci, ale co się robi, kiedy wracają?

– Nie mam zielonego pojęcia. Musiałam mieć kaca, kiedy o tym mówili.

Śmieją się oboje, po czym milkną.

– Wiesz, przez cały dzień dręczyło mnie pytanie – przerywa ciszę policjantka – kogo ona mi przypomina. No i w tej chwili mnie olśniło. Tę dziewczynę w szkole średniej, która opowiadała wszystkim naokoło, że ma guza mózgu i na cały tydzień idzie do szpitala na operację. Uczniowie zaczęli zbierać dla niej pieniądze, wielu z nas myślało, że ona umrze. Wróciła w poniedziałek i przez kilka godzin była najpopularniejszą dziewczyną w szkole, aż wreszcie ktoś zauważył, że nie ma ogolonych włosów, nawet trochę. Cała historia od początku do końca była wyssana z palca.

– Tamta dziewczyna patrzyła na ciebie jak nasza księżniczka z tylnego siedzenia, kiedy po nią przyjechaliśmy – odparł Thompson. – Mierzy cię tym zimnym spojrzeniem, jednocześnie kombinując, jak zrobić cię w ciula na milion sposobów.

Po chwili przestają ich słuchać. Przypominam sobie, że po przyjeździe do Canberry będę rozmawiać z oficerem śledczym, ale jestem zbyt rozbita, żeby wymyślić wiarygodne odpowiedzi na pytania, które na pewno padną. Samochód zjeżdża z głównej drogi.

Budzę się pod wpływem szarpnięcia hamulców. W wozie zapala się światło, gdy policjantka otwiera drzwi po swojej stronie.

– Obudź się, młoda damo – mówi.

Próbuję się podnieść, ale mięśnie mam jak z galarety.

Słyszę nieznanego mi głos.

– Funkcjonariusze Seirs i Thompson, jak mniemam. Jestem starszy inspektor Andopolis. Dzięki, że pofatygowaliście się z nią aż tutaj.

– Nie ma sprawy, inspektorze.

– Zacznijmy od razu. Jej matka jest wniebowzięta, ale najpierw ja mam do niej mnóstwo pytań.

Słyszę, jak otwiera tylne drzwi od mojej strony.

– Rebeco, nawet nie wiesz, jak się cieszę – mówi, po czym klęka obok mnie.

– Dobrze się czujesz?

Próbuję na niego spojrzeć, ale jego twarz wiruje mi przed oczami.

– Dobrze – mamroczę.

– Dlaczego jest taka blada? – ostrym tonem pyta inspektor. – Co z nią?

– Nic jej nie jest, to tylko choroba lokomocyjna – mówi policjantka.

– Wezwijcie karetkę! – wybucha Andopolis i odpina mi pas. – Rebeco, słyszysz mnie? Co się stało?

– Zraniłam się w rękę podczas ucieczki – słyszę swój głos. – Trochę boli, ale poza tym nic się nie dzieje.

Andopolis odchyła połę mojej kurtki. Zaschnięta krew sięga do samego obojczyka. Widzę to jak przez mgłę.

– Kretyni! Pieprzeni kretyni! – woła Andopolis.

Mam wrażenie, że jego głos coraz bardziej się oddala. Nie widzę reakcji policjantów, nie widzę ich blednących twarzy. Owszem, nie widzę, ale mogę sobie wyobrazić.

Uśmiecham się jeszcze na tę myśl, a potem osuwam się w ciemność.

ROZDZIAŁ DRUGI

Bec, 10 stycznia 2003 r.

Bec już dawno temu postanowiła żyć w taki sposób, jakby była stale obserwowana, a to na wypadek, gdyby za rogiem czaiła się ekipa filmowa albo jej lustro okazało się lustrem weneckim. To oznaczało koniec z ziewaniem bez zasłaniania ust czy dłubaniem w nosie w łazience. Chciała zawsze wyglądać tak, jak powinna wyglądać szczęśliwa i ładna szesnastolatka.

Ale tym razem było inaczej. Od kilku dni miała nieprzyjemne wrażenie, że jest pod baczłą obserwacją, jednak gdy błyskawicznie odwracała głowę, nikogo nie widziała. Może po prostu miała zwidy.

Byłoby przerażające, gdyby wszystkie lęki atakujące człowieka stały się rzeczywistością, a inni uznaliby go za szaleńca. Max, sąsiad Bec, krzyczał po nocach, ale mama powiedziała, że pewnie kłóci się z kimś przez telefon. Kiedyś swoim krzykiem obudził Bec o czwartej nad ranem. Oczywiście dyskretnie wyjrzała przez szparę w zasłonach i co zobaczyła? Że Max wrzeszczy sam do siebie. Kilka tygodni później wybił kamieniem okno w ich kuchni, więc tata wezwał policję, która zabrała Maxa. Po powrocie już nie krzyczał, tylko siedział nieruchomo na ganku i stawał się coraz grubszy.

Lepiej bać się cały czas czy nie czuć absolutnie nic? Bec jeszcze nie znalazła odpowiedzi na to pytanie.

Pałace słońce wyglądało spomiędzy cieniutkiej warstewki chmur. Jeszcze trochę, a przypiekłaby sobie plecy. Za bardzo lubiła jednak ten obraz samej siebie. Leży na plecach w basenie Lizzie, w zielonym bikini, szeroko rozpościera pokryte piegami ramiona, oddycha spokojnie i głęboko, a jej pępek raz po raz napełnia się wodą. Zastanawiała się, czy akurat teraz ktoś ją obserwuje. Okna sypialni ojca i brata Lizzie wychodziły na basen. W ostatnim roku kilkakrotnie przyłapała ich na taksowaniu jej wzrokiem. Powinna uznać to za obrzydliwość, a jednak wcale tak tego nie odczuwała.

Usłyszała dudnienie stóp o beton, na chwilę wszystko zamilkło, a potem powierzchnia wody eksplodowała fontanną, gdy Lizzie wskoczyła w kucki do basenu. Po chwili szaleńczo rozchichotana wynurzyła się na powierzchnię z włosami przyklejonymi do twarzy.

– Prawie cię miałam!

– Wariatka! – ze śmiechem zawołała Bec, próbując ją podtopić. Lizzie złapała ją w pasie i zaczęły się siłować, wijąc się jak splecione w uścisku węgorze do wtóru pisków i chichotów. Bec w końcu wepchnęła przeciwniczkę pod wodę.

Lizzie wynurzyła się, prychając i odgarniając włosy z twarzy, i zaproponowała:

– Rozejm? – Wyciągnęła do Bec mały palec, nie przestając kaszleć.

Na chwilę złączyły dłonie, po czym Bec odpłynęła jak najszybciej na wypadek, gdyby przyjaciółka zmieniła zdanie. Oparła się o wyłożony kaflami brzeg basenu i starała się uspokoić oddech. Żałowała, że to nie jej dom, a Lizzie nie jest jej siostrą, chociaż tak bardzo się różniły. Bec była szczupła i płaska, podczas gdy Lizzie miała ciało miękkie i krągłe w odpowiednich miejscach. Kiedy Lizzie malowała usta czerwoną szminką, Bec myślała, że jej najlepsza przyjaciółka wygląda jak Marylin Monroe, ale nigdy nie powiedziała tego na głos.

– Znowu kręci mi się w głowie. – Krople wody spływały z rzęs Lizzie, gdy bacznie przyglądała się Bec.

– To twoja wina. – Bec oparła głowę o ramię. Kac powoli odpuszczał, zawroty głowy minęły, żołądek powoli się uspokajał. – Wczorajszy wieczór był świetny. – Tym słowem towarzyszył znaczący uśmiezek. Przyjaciółka nawet nie wiedziała o najlepszych momentach.

– Miałyśmy szczęście. – Lizzie z westchnieniem odepchnęła się od krawędzi basenu. – Lepiej już idź, bo Ellen da ci popalić.

– Cholera! Która godzina? – Bec wygramoliła się z basenu. Rozgrzany beton palił jej stopy, gdy w podskokach zmierzała do salonu. Porwała telefon z kontuaru w kuchni. Było wpół do trzeciej. Miała szansę zdążyć do pracy tylko wtedy, jeśli mocno się pośpieszy. Na wyświetlaczu zobaczyła ikonkę wiadomości. Od niego.

Właśnie się obudziłem. Noce z tobą są niesamowite.

Cieszyła się, że Lizzie nie widzi jej głupawego uśmiechu, z jakim biegnie na górę po strój do pracy. Raz po raz powtarzała sobie w duchu słowa esemesa. Teraz zyskała pewność, że on naprawdę ją lubi. Na podeście schodów wpadła na Jacka, brata Lizzie. Zza otwartych drzwi jego sypialni dobiegały ciężkie metalowe rytmy. Instynktownie wyciągnął przed siebie rękę, a ona poczuła jej ciepło w dolnej części pleców. Przez ułamek sekundy byli tak blisko siebie, jakby się obejmowali. Czowała na skórze jego oddech, jego zapach.

– Przepraszam! – Jack cofnął dłoń jak oparzony.

Onieśmielony wbił wzrok w podłogę i poczerwieniał. Nagle dotarło do niej, że jest prawie naga. Zapiszczała i pobiegła do pokoju Lizzie. Rzuciła mokre bikini na dywan i włożyła roboczy uniform. Cuchnął olejem do smażenia i przykleił się do wilgotnej skóry. Żałowała, że nie ma czasu na prysznic i umycie włosów, ale zawsze robiła wszystko na ostatnią chwilę. Chwyciła kosmetyczkę, nałożyła korektor i grubą warstwę podkładu, potem puder i tusz do rzęs. Lubiła podkreślać oczy grubą konturówką, ale w pośpiechu łatwo się upaćkać. Raz w życiu przyszła do szkoły podobna do pandy i nie chciała więcej tego doświadczyć. W pędzie włożyła balerinki, złapała torbę i zbiegła na dół, przeskakując po dwa schody.

– Na razie, małpo! – zawołała do Lizzie, która w odpowiedzi pokazała jej środkowy palec.

Brama zamknęła się za nią z trzaskiem i Bec pognęła ulicą, sprawdzając czas. Za siedemnaście trzecia, więc powinna zdążyć. Zwolniła kroku, bo było za gorąco na bieganie. Ciężkie powietrze przyciskało ją do ziemi. To była irytująca strona lata, dzień w dzień ponad czterdzieści stopni. Przejechała palcami po włosach. Były prawie suche. Miała nadzieję, że nie skręcą się w niesforne loki.

On niedziele miał wolne, Bec chciała jednak, żeby tam był. Porównaliby swoje kace, omówili wydarzenia minionego wieczoru i uśmieali zdrowo. Kciuki biegały po klawiaturze. Napisała:

W drodze do roboty. Szkoda, że cię tam nie będzie :)

Czytała tę wiadomość raz po raz i nie była pewna, czy chce ją wysłać. Nie chciała być aż tak bezpośrednia, chociaż czytała kiedyś w jakimś kobiecym czasopiśmie, że bezpośredniość jest wskazana. Zdecydowała, że uśmiechnięta buźka musi zniknąć, bo była zbyt dziecinna. Zatrzymała palec nad klawiszem „wyslij”. Serce waliło jej w piersi. Zamknęła oczy i opuściła palec, a na jej twarzy pojawił się figlarny uśmiezek. Ciekawe, czy Lizzie domyślała się czegośkolwiek. Bec lubiła ten dreszczyk ekscytacji, który dawała świadomość tajemnicy. To było jak igranie z ogniem.

Przez moment przebiegła jej przez głowę myśl o innej tajemnicy. Wspomnienie o niej paliło jak dotknięcie rozgrzanym do czerwoności metalem. Było wyraziste i bolesne. Próbowwała odsunąć je od siebie. Nie powinna w ogóle o tym myśleć.

Liście zaszeleściły pod jej nogami, gdy skręciła w główną ulicę. W powietrzu unosił się intensywny zapach rozgrzanego słońcem eukaliptusa, oczy łzawiły. Liście były wyschnięte i czarne na krawędziach, zupełnie jakby piekące promienie spaliły je na wiór. Zebrało jej się na wymioty. Nie chciała ponownego kontaktu z wczorajszym piwem. Przystanęła, złapała się gałęzi i zacisnęła mocno powieki.

Wczorajszy wieczór był udany. Dla tych przeżyć warto było dzisiaj trochę pocierpieć. Najlepsze wieczory poza domem trafiały się nieoczekiwanie. Wczoraj zamykała bar. Zmywała podłogi i czyściła frytkownicę, zatykając nos dwoma palcami. Matty zajmował się grillem. Jego grube palce były czarne od tłuszczu. Bec nie miała pojęcia, dlaczego Matty nigdy nie używa rękawic. Kiedyś bała się tego potężnego faceta z tatuażami na rękach, ale przy bliższym poznaniu okazał się najmilszym mężczyzną, jakiego znała. Bardziej przypominał misia niż członka gangu motocyklowego.

– Po zamknięciu spotykam się z Ellen i Lukiem w pubie. Dołączysz do nas?

– Myślisz, że mogłabym przyprowadzić Lizzie? – zapytała.

Zgodził się, ale nawet gdyby odmówił, i tak by poszła.

W piątkę grali w bilard, a Matty i Luke na zmianę stawiali jej piwo. Nienawidziła piwa, ale nie chciała prosić o cydr, lubiła czuć się jak chłopcy.

W pubie było ciemno i pachniało piżmem. Kiedy otworzyła drzwi toalety, zobaczyła w lustrze swoje rozszerzone źrenice, zanim jeszcze zareagowały na jasne światło jarzeniówek. Poprawiła makijaż. Żałowała, że nie ma ubrania na zmianę, nie mogła jednak pozwolić, żeby ten fakt zepsuł jej wieczór.

Próbowała nie gapić się na Luke'a, chociaż bardzo chciała, żeby do niej podszedł. W końcu zrezygnowała z bilardu i usiadła. On zrobił to samo.

– Jak leci, koleżanko? – zapytał.

Uwielbiała, kiedy zwracał się do niej jak do równej sobie. Najbardziej na świecie nie znosiła być traktowana jak mała dziewczynka.

Kiedy usiadł przy niej, poczuła bijące od niego ciepło. Obserwując resztę towarzystwa podczas gry, wymieniali sprośne uwagi. Promieniowała, gdy udało jej się rozśmieszyć Luke'a. On zdradził jej kilka sekretów. Ona chłonęła jego słowa. Chciała, żeby ją pocałował. Nie zrobił tego, ale raz wziął ją za rękę i ścisnął mocno, patrząc jej w oczy. Nie musiał nic mówić. Zgadywała, o czym myślał. Była za młoda. Jakiś czas temu wspólnie pracowali na wieczornej zmianie i wtedy powiedział jej o zasadzie, której trzyma się jego przyjaciel. Można randkować z kimś młodszym o połowę plus siedem lat. Spotykanie się z kimś poniżej tej granicy wieku jest niewłaściwe.

– A ty kiedy skończysz siedemnaście lat? – zapytał żartobliwie.

Tamtego dnia do siedemnastych urodzin brakowało jej trzech miesięcy. Dzisiaj tylko miesiąca. Musiała cierpliwie poczekać.

Podkład rozpływał się w słońcu. Bec wydłużyła krok. W McDonalddie była klimatyzacja, chociaż w punkcie obsługi kierowców niewiele to dawało. Ścisnęła kciuki, żeby wylądować dzisiaj przy głównej ladzie. I nagle znowu poczuła te ciarki na karku. Odwróciła się. Nikogo. Ulica była dziwnie pusta. Kto mógł, chował się w klimatyzowanych wnętrzach. Przyspieszyła, ale niepokój pozostał.

Po pracy wracała do domu autobusem. Kiedy wysiadła, niebo było czarne, a powietrze nadal ciężkie i duszne. O tej późnej porze na jej przedmieściu zawsze panowała cisza. Ulica, przy której mieszkała Lizzie, oddychała. W otwartych oknach domów paliły się światła, słychać było muzykę i śmiech mieszkańców. Przez siatkowe drzwi przenikał apetyczny zapach kolacji na gorąco.

Na przedmieściu Bec wszyscy szczelnie zasłaniali kotary. Wokół nich widać było tylko niebieską poświatę telewizorów.

Bec chciała jak najszybciej dotrzeć do domu, otworzyć drzwi, poczuć chłód klimatyzacji, zobaczyć rozbawioną rodzinę zajętą oglądaniem jakiegoś głupiego sitcomu. Chciała poczuć się bezpieczna za zamkniętymi drzwiami.

Chciała, żeby tak było. Tyle że to nie była jej rodzina.

Nogi bolały ją coraz bardziej, gdy szła w górę swojej ulicy. To była długa i trudna zmiana. Ellen zrugowała ją za spóźnienie, bo Bec dotarła do pracy dziesięć minut po czasie. W odbiciu swojej twarzy w stali nierdzewnej zobaczyła

rozmazany makijaż i włosy skrócone w loki. W tamtej chwili nie mogła temu zaradzić. Siedząc w okienku przeznaczonym do obsługi kierowców, czuła, jak słońce pali jej przedramiona. Przed wyjściem od Lizzie nie zdążyła posmarować się filtrem przeciwsłonecznym.

Wyczerpanie zrobiło swoje. Bec dopadło uczucie, które zwykle jej towarzyszyło, gdy była tak zmęczona, że wszystko w jej mniemaniu szło źle. To strasznie dobijające, dlatego starała się nie myśleć o Luke'u. W obecnym stanie umysłu dzieliłaby włos na czworo i doszłaby do wniosku, że wcale się Luke'owi nie podoba, że jest idiotką i robi z siebie pośmiewisko.

Wolnym krokiem zbliżyła się do domu. Był pogrążony w ciemnościach. W żadnym oknie nie paliło się światło.

ROZDZIAŁ TRZECI

2014 r.

Snop białego światła wylania się z gęstej ciemności. Jest zbyt jaskrawe, więc zamykam oczy. Mam sucho w gardle, głowa mi pęka. Z jękiem podnoszę rękę i pocieram powieki. Zahaczam czymś o policzek. Mrugam i spoglądam na nadgarstek. Widzę na nim szpitalną plastikową opaskę z napisem tłustym drukiem **WINTER, REBECA**. Półprzytomna rozglądam się dookoła. W nogach łóżka stoi krzesło, a na nim śpi rozparty policjant, którego pamiętam z wczoraj.

Boże, to będzie o wiele trudniejsze, niż mi się wydawało.

Kiedy stałam w ciemnej toalecie, chłód, strach i wyczerpanie wydawały mi się większym złem niż brnięcie w kłamstwo. Teraz jednak, w szpitalnej sali z policjantem blokującym dostęp do drzwi, uświadamiam sobie, że chyba popełniłam błąd. Głupio założyłam, że zacznę nowe życie, a cały ten proces przebiegnie bez komplikacji.

W pokoju panuje cisza. Zakłóca ją tylko oddech śpiącego policjanta i tłumiona rozmowa z innej sali. Po prawej stronie mam okno. Może się uda.

Najciszej, jak mogę, podnoszę się do pozycji siedzącej. Rękę mam zabandażowaną, opatrunek cuchnie środkiem antyseptycznym, ale najważniejsze, że nie czuję bólu. Pewnie dzięki płynowi, który sączy się z kroplówki do żyły. Spoglądam w dół. Mam na sobie tylko majtki i cienką szpitalną koszulę. Ktoś mnie rozebrał. Przez chwilę mam ochotę się zaśmiać, no bo ileż to razy budziłam się w cudzym łóżku bez ubrania?

Policjant wydaje z siebie donośne chrapnięcie i sam się budzi.

– Bec – mówi, przecierając oczy i posyłając mi uśmiech.

Wpatruję się w niego bez słowa. W tej chwili nie uda mi się wyjść przez te drzwi.

– Pamiętasz mnie? – dodaje. – Spotkaliśmy się wczoraj wieczorem. Jestem Vincent Andopolis. – Przygląda mi się uważnie.

Wszystko dzieje się za szybko. Nie mam pojęcia, co mu odpowiedzieć.

– Mąci mi się w głowie. – Mój głos brzmi obco pod wpływem snu i środków przeciwbólowych. Najlepiej nie mówić za dużo i spróbować znaleźć wyjście z tej absurdalnej sytuacji.

Pamiętam go. To policjant z wydziału osób zaginionych, który nazwał konwojujących mnie funkcjonariuszy kretynami. Wieczorem nie zdążyłam przyjrzeć mu się dokładnie. W zimnym świetle szpitalnych lamp wygląda inaczej. Jego szare oczy i szerokie ramiona sugerują, że kiedyś był przystojnym mężczyzną, ale teraz koszula ledwie dopina mu się na brzuchu, a włosy przyprószone są siwizną.

– Był tu pan przez całą noc? – pytam.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś znowu zniknęła. Twoja mama nas pozwie, gdyby do tego doszło. – Uśmiecha się krzywo. – Boli? – pyta, wskazując moje ramię.

– Nie jest źle – odpowiadam, chociaż czuję w ręce pulsujący ból. I dostrzegam coś na sąsiednim krześle.

Andopolis podąża za moim spojrzeniem.

– Twoi rodzice rozmawiają z moim partnerem. – Chrząka. – Jest jeszcze parę rzeczy, które musimy zrobić, zanim do nich wrócisz.

Stosik na krześle tworzą starannie złożone spodnie od pizamy, T-shirt, bielizna i leżąca na górze szczotka do włosów.

– Byli już tutaj? – pytam. Na pewno nie, myślę.

– Nie mogli w to uwierzyć, póki cię nie zobaczyli.

Jestem w szoku. Byli tu, kiedy spałam. Obserwowali mnie. I nadal wierzą, że jestem ich córką. Przypuszczam, że pomógł mi siniec na twarzy. Najtrudniejsza przeszkoda już za mną, pokonałam ją bezwiednie. Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. Andopolis odwzajemnia go.

– Szczerze mówiąc, Bec, nic nie mogło mnie bardziej uradować niż twój widok. To cud.

Cud?! Co za palant. Jak ktoś tak tępy może pracować w wydziale osób zaginionych? Panika, którą poczułam parę chwil temu, mija. Może nie będzie tak trudno przejść przez to wszystko.

– Prawdziwy cud – mówię, posyłając mu swój najbardziej promienny uśmiech.

Nie odpowiada, tylko patrzy na mnie bez słowa. Pewnie myśli, że to taka specjalna chwila, że łączą nas te same emocje.

– Kiedy stąd wyjdę? – pytam.

– Możliwe, że jeszcze dzisiaj. Wyjaśnimy parę kwestii i będziesz wolna.

– Jakich kwestii?

– Mam do ciebie kilka ważnych pytań. Poza tym muszą cię przebadać, żeby się upewnić co do twojego stanu zdrowia.

Staram się nie mrugać. Jestem ugotowana.

Andopolis wyjmuję z kieszeni notes i mówi:

– Według policjantów z Nowej Południowej Walii zgłosiłaś, że padłaś ofiarą uprowadzenia.

Kiwam głową. Póki nie obmyślę jakiegoś planu, im mniej będę mówić, tym lepiej.

– Znasz człowieka czy ludzi, którzy cię porwali? To znaczy czy znałaś ich przed porwaniem? – W jego oczach widzę autentyczne przejęcie.

Potrząsam przecząco głową.

– Pamiętasz, gdzie byłaś przetrzymywana? Pomocny będzie każdy najdrobniejszy szczegół.

– Wszystko jest niewyraźne, jak za mgłą – mówię powoli.

Andopolis patrzy na mnie w milczeniu, jakby spodziewał się dalszego ciągu. Cisza dzwoni w uszach.

W końcu odwraca wzrok, zamyka notes i chowa go do kieszeni.

– Dam ci trochę czasu. Wrócimy do tego po badaniach.

– Potem wrócę już do domu?

Spogląda mi w oczy, jakby na coś czekał.

– Naprawdę chcesz wrócić do domu? – pyta w końcu.

– Oczywiście. – Próbuję poprzeć tę deklarację przekonującym uśmiechem.

– Niedługo przyjdzie tu pielęgniarka – informuje mnie.

Drzwi zamykają się za nim lekko. Wyskakuję z łóżka. Kręci mi się w głowie, ale nie przywiązuję do tego wagi. Ciągnąc za sobą kropłówkę, podchodzę najpierw do okna. To szklana tafla zaplombowana na stałe, nie da rady otworzyć. Szpital pewnie się bał, że pacjenci będą wyskakiwać przez okno. Skok z drugiego piętra też może skończyć się tragicznie. Na zewnątrz rzeka ludzi płynie w obie strony. Lekarze i sanitariusze wchodzą żwawym krokiem, chorzy wychodzą, powłócząc nogami. Przed szpitalem stoją samochody, taksówki, karetki. Nawet gdybym włożyła ubranie, które przywieźli rodzice Rebeki, trudno byłoby tak po prostu stąd wyjść.

Podchodzę do krzesła, rozkładam różowy T-shirt i spodnie od piżamy z nadrukowanymi kotami. Wygląda na to, że mam podobne wymiary do niej. Będą pasować. Świetnie się składa. Biorę do ręki szczotkę i widzę na niej splątane miedziane włosy.

Kiedy do pokoju wchodzi pielęgniarka, leżę w łóżku niewinna jak baranek. Jeśli przejdę te badania, to zyskam nową tożsamość. Nagroda za tę grę jest zbyt wielka, żeby z niej zrezygnować tuż przed finałem.

Podczas badania zaciskam pięści. Lekarz obejrzał mnie od stóp do głów w poszukiwaniu obrażeń, a teraz mówi głośno spomiędzy moich nóg:

– Będzie trochę zimne.

– Może trochę zapiec.

– Jeszcze chwila i kończymy.

Przybieram upokorzoną minę, chociaż przywykłam do obecności mężczyzn w tym miejscu.

– Dziękuję, Rebeco. Byłaś dzielna – dodaje lekarz. – Możesz wstać.

Zasuwa za sobą zasłonę, jakby została mi jeszcze skromność, którą należałoby zachować i uszanować. Wkładam majtki i słucham, jak lekarz zwraca się do pielęgniarki:

– Możesz przygotować zestaw do pobrania wymazu? Potrzebujemy też

trzech fiolek do strzykawki.

Niedoczekanie. Nie pozwolę pobrać sobie próbki DNA ani krwi. Wtedy od razu by odkryli, że nie jestem Rebecą Winter. Ale nie tylko, bo również poznaliby moją prawdziwą tożsamość.

Parawan się rozsuwa i lekarz pyta:

– Jesteś gotowa, Rebeco?

Pielęgniarka zerka na mnie, po czym szybko odwraca wzrok.

– Chcę już do domu. – Spuszczam głowę, włosy opadają mi na twarz. Przygotowuję się do odegrania sceny.

– Wiem, że to trochę przykre, ale już prawie koniec. Potrzebujemy tylko wymazu z wnętrza policzka i trochę krwi.

– Błagam, nie chcę więcej bólu. Dłużej tego nie wytrzymam. – Trafiłam w idealny ton, mój głos jest wysoki i pełen paniki.

W zaciśniętej dłoni trzymam miedziane kosmyki zebrane ze szczotki. Szarpnię własne włosy, ale na tyle słabo, żeby żadnego nie wyrwać.

– Czy to wystarczy? Już nie mogę. – Podnoszę rękę i pokazuję im kłęb włosów. Nie podnoszę wzroku, ale słyszę, jak pielęgniarka wciąga powietrze.

Zaczynam łkać, zanoszę się płaczem jak małe dziecko. Jeden szloch przechodzi w drugi. Trzęsę się jak w malignie. Najtrudniej zacząć, potem jest łatwo. W ostatnich tygodniach miałam wiele powodów do płaczu, a teraz daję ujście emocjom. Pielęgniarka robi krok w moją stronę, wyciąga do mnie dłoń w cienkiej gumowej rękawiczce i ostrożnie wyjmuję mi z ręki włosy Bec.

Bułka z masłem.

Auto wjeżdża pod górę ulicą, przy której mieszkała Rebeca Winter. W końcu ich widzę, tę zwyczajnie wyglądającą parę w średnim wieku. Moi nowi rodzice. Mają przygarbione plecy, spuszczone głowy. Stoją w milczeniu przed swoim wielkim białym domem. Słońce prześwieca przez gałęzie rosnącego obok garażu starego eukaliptusa, rzucając cień na fasadę. Idealne przedmieście klasy średniej zastygłe w oczekiwaniu na mnie.

Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu matka podnosi głowę. Serce wali mi mocniej. Szpital mógł być zwykłym szczęśliwym trafem. Widzieli mnie nieprzytomną, z posiniaczoną twarzą i może zobaczyli to, co chcieli zobaczyć. Teraz, kiedy mam otwarte oczy, poruszam się i mówię, nie zdołam jej oszukać. Czuję na sobie wzrok Andopolisa we wstecznym lusterku. Matce Bec wystarczy jedno spojrzenie, by zdemaskować mnie jako oszustkę. Nieważne, ile czasu upłynęło, matka zawsze rozpozna własną córkę.

– Zwykle w takich przypadkach towarzyszy nam specjalnie przeszkolony agent – mówi Andopolis – ale twoi rodzice go nie chcieli.

Kiwam głową. Jestem zbyt zdenerwowana, żeby okazać żywsze emocje, chociaż brak agenta z pewnością działa na moją korzyść. Już samo przekonanie

rodziców będzie wyczynem. Obecność empatycznego i „pomocnego” agenta z przyklejonym do twarzy uśmiechem byłaby dodatkową przeszkodą. Tacy ludzie wiedzą, jak zachowują się prawdziwe ofiary.

– Będziesz musiała porozmawiać z psychologiem, Bec. Ale wszystko po kolei.

Posyłam mu słaby uśmiech. Nigdy w życiu nie będę rozmawiać z psychologiem.

Zatrzymujemy się na podjeździe. Przez chwilę mam ochotę zostać w samochodzie, ukryć się na tylnym siedzeniu. Andopolis wysiada i otwiera mi drzwi, a mnie nachodzą wątpliwości. Nie wiem, czy dam radę. Rebeca – Bec – była żywym człowiekiem, nie jakąś mglistą postacią, a ja nigdy jej nie spotkałam. Nigdy nie słyszałam jej głosu.

Wysiadając z auta, nie patrzę na matkę, tylko ze spuszczoną głową wbijam wzrok w obsypane białymi kwiatami pelargonie rosnące wzdłuż ścieżki.

– Becky? – Zbliża się do mnie, delikatnie dotyka mojego ramienia, jakby sprawdzała, czy nie jestem zjawą.

Podnoszę głowę. W końcu muszę spojrzeć jej w oczy. Wpatruje się we mnie intensywnie. W jej spojrzeniu jest tylko miłość. Mam wrażenie, jakby świat przestał istnieć. Jesteśmy tylko my dwie, nic innego się nie liczy. Wyciąga do mnie ramiona i zamyka w uścisku. Czuję na sobie bicie jej serca, ciepło jej ciała miesza się z moim. Pachnie wanilią.

Znad jej ramienia dobiega głos ojca:

– Dziękuję, Vince.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówi Andopolis. – Przywieźcie ją o trzeciej.

– Do zobaczenia, stary.

Słyszę dźwięk otwieranych drzwi. Andopolis wsiada do auta, włącza silnik i odjeżdża, a mama wypuszcza mnie z objęć. Natomiast ojciec taksuje mnie od stóp do głów. W garniturze i koszuli wygląda na urzędnika. Ma ciemne oczy i gładko ogoloną twarz. Ubrał się jak do pracy, chociaż wiedział, że dzisiaj tam nie pójdzie. Ciągle jest w szoku, że wziął dzień urlopu z powodu powrotu do domu dawno zaginionej córki.

– Nie wiem, co powiedzieć, Becky.

Przyciąga mnie do siebie. Jest inaczej niż z mamą, trochę niezręcznie, krępująco. Czuję zapach wody po goleniu, a potem jeszcze jakąś dziwną woń, jakby zgnilizny.

Matka odwraca się i otwiera drzwi. Dyskretnie wyciera oczy i mówi:

– Wejź do środka, Bec.

Głos jej się załamuje. W tej chwili dociera do mnie, że przeszłam test. Przyjęli mnie. To mój dom, moje życie.

Od tej chwili jestem Rebecą Winter.

Już zapomniałam, jak przyjemny jest gorący prysznic. Możliwość umycia włosów i ogolenia nóg mnie uskrzydla, chociaż gdy to robię, muszę chronić zranioną rękę przed strumieniem wody. Owijam się ręcznikiem i szczęśliwa oddycham głęboko w kłębach pary. Gdybym podjęła inną decyzję, byłabym zmarznięta i sama w brudnych ciuchach, pewnie ciągle jeszcze mokrych od deszczu. Wzdrygam się na myśl o tym.

Wychodząc z łazienki, uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie jest pokój Rebeki. Otwieram pierwsze drzwi przy łazience. To wielka szafa pełna starannie złożonych kompletów pościeli. Ostrożnie otwieram drzwi naprzeciwko. Rodzice siedzą w kuchni na dole. Nie chcę, żeby mnie usłyszeli. Trafiam do sypialni o pustych ścianach, w której stoją tylko dwa jednoosobowe łóżka. Czy to pokój dla mnie? Na piętrze są jeszcze jedne drzwi, więc postanawiam je otworzyć. Skradam się po chodniku jak najciszej.

Ze ścian spoglądają na mnie z plakatu członkinie zespołu Destiny's Child i Gwen Stefani. Łóżko tonie w rózu. Na nocnym stoliku siedzi szmaciana lalka. Na biurku leży stos podręczników do dziesiątej klasy. Podręczniki z czterech pierwszych klas stoją w rzędzie na półce wiszącej nad biurkiem, obłożone w papier z Harrym Potterem. Wszędzie są fotografie. Jej fotografie. Uśmiechnięta Rebeca Winter pozuje w objęciach z koleżankami, najczęściej z jedną o długich blond włosach. W tym pokoju życie stanęło w miejscu w oczekiwaniu na powrót tej samej szesnastolatki.

Przyglądam się zdjęciom, przytrzymując ręcznik. Krople wody kapią mi z mokrych włosów na dywan. Dziewczyna na zdjęciach emanuje żywiołowością i witalnością. Wygląda na pewną siebie i swobodną. Analizując rysy jej twarzy, dostrzegam, że jest mniej do mnie podobna niż początkowo sądziłam. Ma mniejszy nos, większe oczy. Nawet kształt twarzy jest nieco inny. Przez dziesięć lat twarz może się jednak zmienić, więc każdą różnicę zrzucę na wpływ czasu.

Czas stwarza jeszcze inny problem. Obliczam szybko, że Bec miałaby teraz około dwudziestu siedmiu lat. Ja mam tylko dwadzieścia cztery. Pierwszy raz w życiu chciałabym wyglądać na starszą.

Otwieram drzwi szafy wnękowej. Ubrania wiszą na wieszakach, ale ze środka atakuje mnie zapach stęchlizny. Tych drzwi od dawna nikt nie otwierał. Na widok szkolnego mundurka Bec ścisza mnie w żołądku. Szybko sięgam po T-shirt i pierwsze z brzegu dzinsy, po czym zamykam szafę. Wszystko jest lepsze od infantylnych piżamowych spodni w kotki, których słodycz przyprawia o mdłości. Dzinsy dobrze leżą, chociaż przeszkadza mi świadomość, że mając prawie dwadzieścia pięć lat, mam na sobie biodrówki i firmowy T-shirt Guess, noszone przez szesnastolatkę. Materiał koszulki przylega do skóry. Wyczuwam słaby zapach piżma. To musi być woń jej ciała zachowana w bawełnie koszulki. Ciarki

przechodzą mi po plecach.

Matka i ojciec siedzą na dwuosobowej sofie w salonie. Przed obojgiem leżą nietknięte kanapki. Trzecia leży przed jednym z pustych krzeseł stojących naprzeciwko sofie. Siadając, widzę na jednym z foteli zwiniętego w kłębek kota. Zawsze chciałam mieć jakieś zwierzę.

– Pomyśleliśmy, że zjemy lunch tutaj, żebyś czuła się komfortowo – mówi mama.

– Świetnie, dzięki! – mówię, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi. Żałuję, że nie wiem o Rebecce czegoś więcej, nie znam szczegółów z jej życia. Wybieram więc rolę posłusznej córki, o jakiej marzy każdy rodzic. Będę przyzwoita, wdzięczna za okazywane serce i niewinna. Gryzę kęs kanapki. Jestem głodna jak wilk.

– Ale pyszna. Dziękuję, że ją zrobiłaś, mammo.

– Oczywiście, skarbie. – Uśmiecha się promiennie. To działa.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Paulem i Andrew – mówi tata.

– Tak? – Odpowiadanie pytaniami jest łatwym sposobem podtrzymywania rozmowy, kiedy człowiek nie ma pojęcia, o czym mówi druga strona.

– Tak. Przylecę dzisiaj późnym wieczorem.

Rozglądam się po pokoju. Na ścianach wiszą zdjęcia w ramkach. Na jednym dwaj identyczni, szeroko uśmiechnięci mali chłopcy z dumną Bec między nimi. Na paru innych są coraz wyżsi, aż dorastają jej do ramienia. Na pozostałych są sami, najpierw jako nastolatki, już bez tego szerokiego uśmiechu, za to z kilkudniowym zarostem, w końcu z brodami i w garniturach. Musieli być jej braćmi.

– Nie mogę się doczekać – mówię.

– Wspaniale. – Uśmiecha się i gryzie kanapkę.

– Założę się, że będziesz chciała zadzwonić do Lizzie – mówi mama.

Kiwam głową, wsuwając resztę kanapki do ust. Nie mam pojęcia, kim jest Lizzie.

– Tylko nie dzwoń do nikogo, kto mógłby skontaktować się z mediami. To ostatnia rzecz, jakiej nam teraz trzeba – dodaje ojciec.

– Naprawdę myślisz, że ktoś byłby do tego zdolny? – pytam, nie wychodząc z roli naiwnej.

– Nigdy nic nie wiadomo, skarbie.

Oczywiście, że poleciliby do mediów, ale przynajmniej na razie nie ma to znaczenia, przecież zamierzam unikać dawnych przyjaciół Rebeki. Mam już na koncie tyle kłamstw, że muszę się pilnować na każdym kroku.

Palcem zbieram okruchy z talerza. Mam ochotę na jeszcze jedną kanapkę, ale nie chcę o nią prosić. Podnoszę wzrok i widzę, że oboje wpatrują się we mnie intensywnie. Przypomniałam sobie, co powiedziała policjantka w aucie. Że nie

zachowuję się jak ofiara porwania.

– Tak się cieszę, że jestem w domu; że jestem już bezpieczna – mówię.

Matka znowu zaczyna płakać, a właściwie spazmatycznie szlochać, kryjąc twarz w dłoniach. Mija wiele czasu, zanim się uspokaja.

Kiedy podjeżdżamy pod komisariat, pytam rodziców, czy pójdą ze mną. Ściskam mamę za rękę. Potrzebuję jej pomocy przy niektórych pytaniach. Policjanci są uczeni, jak rozpoznawać kłamstwo. Nieważne, jak dobrze umiem grać, ich zadaniem jest przejrzeć mnie na wylot.

– Zapytamy, czy możemy ci towarzyszyć – mówi mama i rusza przed siebie.

Ale tata łapie ją za ramię i osadza w miejscu.

– Wydaje mi się, że Vince chce rozmawiać tylko z tobą, Bec. Poczekamy na ciebie tutaj – zwraca się do mnie.

Mama cofa się ze spuszczoną głową. Ciągle ma czerwone i spuchnięte od płaczu oczy.

Umundurowany policjant dyżurny prowadzi mnie do środka. W T-shircie Rebeki nagle robi mi się gorąco.

W moim kierunku zmierza mężczyzna w nowym garniturze z ręką wyciągniętą przed siebie.

– Rebeca Winter? – pyta, a kiedy potakuję, wita mnie uściskiem dłoni, przedstawiając się przy tym: – Detektyw Vali Malik, partner Vince’a.

– Bec! – Andopolis podchodzi do nas z teczką pod pachą. – Wyglądasz o wiele lepiej.

Nigdy nie wspominał o partnerze.

– Dzięki – mówię.

– Chodź ze mną – rzuca Malik, okręcając się na obcasie idealnie wypolerowanego buta.

Wlokąc się za nimi jak na ścięcie, zerkam do pokoju po lewej stronie. Widzę ogromną tablicę pokrytą kartkami, których treści nie mogę odczytać z tej odległości. Na tablicy wisi mapa, duże zdjęcie roześmianej Rebeki patrzącej wprost w obiektyw i zbliżenie leżącego w trawie uszkodzonego telefonu komórkowego. Przy wielkim stole siedzi kilku mężczyzn. Jeden z nich podnosi głowę i patrzy na mnie. Andopolis kładzie mi rękę na plecach i łagodnie popycha dalej, posyłając mi krzepiący uśmiech.

– Tutaj – mówi, otwierając drzwi po prawej.

Spodziewam się kolejnej betonowej klatki jak w Sydney, ale ku memu zaskoczeniu znajduję się w słonecznym pokoju z kanapami, miniaturowym stolikiem i plastikową skrzynką z zabawkami w rogu. Ale tak samo jak w Sydney na jednej ze ścian widnieje ogromne lustro. Ciekawe, czy gliniarze, których przed chwilą widziałam, przyjdą popatrzeć. Malik wskazuje mi jedną z kanap. Skrzypi, kiedy się na niej sadowię.

– Życzysz sobie czegoś, Rebeco? Kawy? Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Jak samopoczucie po powrocie do domu? – pyta Andopolis, siadając naprzeciwko mnie.

– Niesamowite.

– Miło słyszeć – mówi z uśmiechem.

Malik siada na krześle po mojej lewej ręce i otwiera teczkę.

– Dostaliśmy twoje wyniki badań. Wygląda na to, że wszystko w porządku – stwierdza, przewracając kartki.

Zwycięstwo. Nawet ja nie mogę uwierzyć, że mi się udało. W tej chwili muszę jednak unikać triumfalizmu. Przede mną kolejny etap gry, i to taki, który wymaga najwyższej koncentracji.

Przyglądam im się przez chwilę. Malik jest co najmniej piętnaście lat młodszy od Andopolisa, ma ostre rysy twarzy i nieskazitelny wygląd. Przy nim Andopolis wygląda jak menel.

– Nie było pana rano w szpitalu, kiedy się ocknęłam – zagaduję Malika.

– Rozmawiałem wtedy z twoimi rodzicami. – Uśmiecha się lekko. – Cieszę się, że znowu jesteś z rodziną, Rebeco, ale w tej chwili musimy skupić się na śledztwie. Im dłużej z tym zwlekamy, tym mniejsze prawdopodobieństwo uzyskania odpowiedzi.

Miał rację z tym małym prawdopodobieństwem, bo nie zamierzałam udzielić im żadnych odpowiedzi. Mój plan, to zwodzić ich jak najdłużej. Wyjęli notesy. Ding-dong – druga runda. Z pierwszej wyszłam zwycięsko, liczyłam więc, że w drugiej pójdzie mi równie dobrze. A potem wszystko będzie już łatwiejsze.

– Możesz opisać miejsce, w którym byłaś przetrzymywana? – Malik nie traci czasu na czcze gadanie.

– Nie miałam możliwości... – urywam dla spotęgowania efektu – nie miałam możliwości wyrzżenia na zewnątrz. To mogło być wszędzie. Przykro mi, ale nie jestem w stanie pomóc.

– W porządku, Bec. Nic na siłę. Jak sądzisz, ile czasu upłynęło między twoją ucieczką a zetknięciem z policjantami? Złapali cię w Sydney, więc przypuszczalnie byłaś przetrzymywana w tamtym rejonie – mówi Andopolis.

Myślę o tamtej nocy w tanim hotelu w Kings Cross. To było zaledwie tydzień temu, a jakby upłynęła wieczność. Wysypałam pieniądze na materac. Wiedziałam, że nie wystarczy na opłacenie noclegu. Usiłowałam zasnąć. Z ulicy dobiegały krzyki kobiet, przekleństwa mężczyzn, brzęk tłuczonych butelek. Następnego dnia miałam wylądować na ulicy.

– Nie umiem powiedzieć. Przykro mi.

W pomieszczeniu wisi specyficzny zapach, zupełnie jak w szpitalu. Domyślam się, że odkażają zabawki po każdym dziecku. Spoglądam na

miniaturowy stolik i krzeselko. Zastanawiam się, czy Andopolis kiedykolwiek siedział przy nim z dzieckiem i prosił, żeby używając lalki, pokazało doznana krzywdę.

– Wiem, że to trudne, ale musisz nam powiedzieć wszystko, co pamiętasz – mówi Malik.

Biorę głęboki oddech, gotowa opowiedzieć im wszystko, na co w takim napięciu czekają. Wszystko zaplanowałam: sala tortur, zamaskowani mężczyźni. Połkną haczyk, a ja będę ich wodzić za nos po całej Australii. Już mam otworzyć usta, kiedy przypominam sobie zdjęcie z pokoju przesłuchań. Rebeca Winter – młoda i szczęśliwa. Naprawdę chcę przypisać jej tak upiorne przejścia? Spoglądam na Malika, przenoszę wzrok na Andopolisa. Na ich twarzach zastygł wyraz oczekiwania. Byłam głupia. Cokolwiek powiem, i tak nie ma i nie będzie miało wpływu na prawdziwe losy Rebeki. Jak mogło mi to w ogóle przyjść do głowy? Teraz to moje życie, nie jej. Muszę wykazać się sprytem. To jasne jak słońce, że kiedy opowiem im tę mrozącą krew w żyłach historię, oni, jak to wyszkoleni gliniarze, zaczną drążyć i szybko znajdą luki, nieścisłości, pęknięcia w logicznym łańcuchu zdarzeń. Czyli im mniej powiem, tym lepiej. A najlepiej nic nie mówić.

– Problem polega na tym – mówię cicho – że nic nie pamiętam.

– Nic? – Malik próbuje ukryć rozczarowanie, ale słyszę je wyraźnie w jego głosie.

– A ostatnie zdarzenia? Pamiętasz, kto cię uderzył? Skąd ten siniec? – dopytuje Andopolis, patrząc na bok mojej twarzy.

Spuszczam wzrok, jakbym wstydziła się tego, co widzi. W rzeczy samej historia jest dość wstydliwa. Uciekałam przed handlarzem owocami. Ukradłam dwa jabłka, a w trakcie ucieczki potknęłam się i runęłam na chodnik. Nikt mnie nie uderzył.

– Nie pamiętam.

– A ręka? – drąży Andopolis. Nawet jeśli jest zły, nie daje tego po sobie poznać.

W milczeniu kręcę przecząco głową.

– Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz – mówi łagodnie Andopolis – powiedziałaś, że zraniłaś się podczas ucieczki. Pamiętasz to?

– Tak. Nie. Zapomniałam.

– Pamiętasz ucieczkę? – pyta Malik.

Wciążam powietrze. Nie mam wyjścia, muszę im coś dać.

– Pamiętam, że rozbijam szybę – mówię, przypominając sobie rozbitą butelkę w toalecie. Wzdrygam się na to wspomnienie, co zauważyli, widzę to. – Ramię mi uwięzło, ale nie mogło mnie to zatrzymać. Tak sobie rozkazałam. Pamiętam, jak powtarzam sobie, że mam mało czasu.

– Dlaczego miałaś mało czasu? – pyta natychmiast Malik.

Bo wiedziałam, że czekająca na zewnątrz policjantka zaraz przyjdzie sprawdzić, co się dzieje, odpowiadam w myślach. Zastanawiam się, jak bez posądzenia o mściwość zapytać, czy straciła pracę. Chyba jednak lepiej nie zaczynać tego tematu.

Szkoda, że nie mogę w tej chwili nacisnąć klawisza „Pauza”, wyjść na papierosa, mieć czas na namysł i znaleźć najlepsze wyjście z tej sytuacji. Spodziewałam się jednego śledczego. Obecność dwóch działa na mnie deprymująco. Bombardują mnie pytaniami, nie dając czasu do zastanowienia.

– Jak długo mnie szukaliście? – Czuję się pewniej, kiedy to ja zadaję pytania.

Malik spogląda na Andopolisa. Pewnie wtedy nie był jeszcze ubranym po cywilnemu policyjnym detektywem, tylko zwykłym żółtodziobem w mundurze.

– Śledztwo trwało bardzo długo. Szukaliśmy wszędzie – mówi powoli Andopolis.

Zaczynam rozumieć, skąd to przejęcie w jego oczach. Musiał mieć do mnie mnóstwo pytań.

– Mieliście podejrzanego?

– W kręgu naszego zainteresowania znalazło się kilka osób.

– Kto?

– Dlaczego nie zaczniemy od początku? – przerywa Malik. – Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie sprzed uprowadzenia?

W ten sposób znowu kierował uwagę na mnie. Błyskawicznie wracam pamięcią do programu telewizyjnego.

– Byłam w pracy. W McDonalddie. Reszta jest zamazana.

Na twarzy Andopolisa pojawia się ten charakterystyczny krzywy uśmiezek. Udało mi się. Andopolis kładzie teczkę na stole i otwiera ją. W środku są fotografie pięciorga uśmiechniętych ludzi w uniformach McDonalda.

– Pamiętasz ich?

– Tak. Oczywiście, ale... Minęło tyle czasu. – Serce mi wali. T-shirt nagle uwiera mnie pod pachami, zaczynam się pocić zupełnie jak na egzaminie.

– Pamiętasz ją? – Andopolis wskazuje palcem młodą dziewczynę. Jej urody nie przyćmiewa nawet nietwarzowy uniform. Jasne włosy ma związane w koński ogon, oczy błyszczą. Poznają ją. To ona jest na większości zdjęć w pokoju Rebeki.

– Była moją najlepszą przyjaciółką – mówię. Nagle przypominam sobie słowa ojca. – To Lizzie.

– A inni? – pyta Malik. To musi oznaczać, że zaliczyłam pierwsze trafienie.

– Pamiętam Lizzie. A resztę... Wiem, że ich znam... – Przybieram znękaną minę. – Nienawidzę tego uczucia dezorientacji – kończę z rozpaczą w głosie.

– Już dobrze, Bec, nie będziemy się śpieszyć – uspokaja mnie Andopolis. – To ludzie, którzy jako ostatni widzieli cię przed zniknięciem. To Ellen Park, twoja szefowa.

Kobieta wygląda na jakieś dwadzieścia pięć lat, ale postarza ją niepokój w oczach.

– To Lucas Masconey. – Andopolis wskazuje przystojnego chłopaka po dwudziestce. – A to Matthew Lang, był kucharzem. – Potężny muskularny mężczyzna ma w uchu mnóstwo srebrnych kolczyków. – Pamiętasz go?

– Tak jakby.

– A konkretniej? – naciska Malik.

Ten Matthew musiał być podejrzanym. Na pierwszy rzut oka to oczywisty kandydat w oczach policji.

– Nie – mówię odrobinę zbyt szorstko.

Spoglądam na swoje dłonie, biorę kilka głębokich oddechów. Muszę coś zrobić. Zaczynam wychodzić z roli, a nie mogę ani na chwilę być postrzegana inaczej niż ofiara.

– Ile czasu trwało, zanim zrezygnowaliście z poszukiwań? – pytam.

Przez twarz Andopolisa przebiega cień.

– Nie zrezygnowaliśmy, tylko śledztwo utknęło w martwym punkcie. – Mówiąc dalej, odwraca wzrok. Już wiem dlaczego. Czuje się winny. – Sprawdziliśmy każdy trop. Rozumiesz?

– Tak.

Znowu widzę w jego oczach poczucie winy, chociaż usilnie stara się je ukryć.

– Skupmy się na tamtym dniu. – Malik uparcie wraca do sedna rozmowy. – Mówiliśmy o twojej ostatniej zmianie w McDonaldzie.

Musiałam się go pozbyć. Był dobrym śledczym, ale nie cierpiał na przerost ego. Traktował tę sprawę w kategoriach czysto zawodowych, a ja stanowiłam jej element. Nic więcej.

– Chętnie napiłabym się herbaty. Jeśli mogę – mówię cicho, zerkając na Malika.

– Dobrze, zaraz przyniosę.

Kiedy drzwi zamykają się za nim, pochylam się w stronę Andopolisa.

– Nie lubię go – szepczę z udawanym przerażeniem w głosie.

– Dlaczego? – pyta zaskoczony.

– Boję się go. Czuję się przy nim nieswojo. Nie może mnie pan sam przesłuchać?

Widzę, jak pierś Andopolisa unosi się lekko. Idiota. On też nie lubi Malika. Przypuszczalnie nie chce dzielić się swoją sprawą z młodym mądralą.

– Ufam panu – dodaję. – Postara się pan?

– Zobaczą, co się da zrobić.

Wstaje z kanapy i wychodzi z pokoju. Ciekawi mnie, jaką rozmowę prowadzą po drugiej stronie lustra. Siłą woli zmuszam się, żeby nie patrzeć w tamtą

stronę.

Kilka minut później Andopolis wraca z kubkiem herbaty, a w kącikach ust igra mu triumfalny uśmiezek.

– Załatwione, Bec. Będziemy rozmawiać we dwójkę.

– Dziękuję!

– Nie ma za co. – Stawia kubek na stoliku obok mnie. – Jeśli zdenerwujesz się albo poczujesz nieswojo, od razu mów. Postaram się temu zaradzić. Zgoda?

– Zgoda – mówię, posyłając mu najbardziej niewinne ze swoich spojrzeń. Andopolis sądzi, że jesteśmy po tej samej stronie.

– Świetnie. A teraz, jeśli jesteś gotowa, wróćmy do tamtej nocy. Nocy twojego porwania. Każdy szczegół, jaki sobie przypomnisz, może pomóc w odnalezieniu człowieka, który ci to zrobił.

Traktował mnie jak delikatne dziecko, a właśnie na tym mi zależało.

– Coś pamiętam – mówię.

– Co?

Patrzę przed siebie i wolno liczę w myślach do dziesięciu. W pokoju zalega grobowa cisza.

– Byłam zmarznięta i przerażona. Wszystko spowijała ciemność. – Mówię wolno, z namysłem budując napięcie. – Pamiętam dźwięk syren. Były coraz bliżej. Myślałam, że jadą mi na ratunek, ale pojechali dalej. W końcu całkiem ucichły. Zrozumiałam, że znowu jestem sama. – Spoglądam na Andopolisa. Na jego twarzy malują się wina i wstyd. Mam go. – Jestem zmęczona. Chciałabym wrócić do rodziców.

W drodze do domu ogarnia mnie senność. Mam ochotę położyć się na tylnym siedzeniu i zasnąć. Naprawdę jestem bardzo zmęczona.

– Nie macie nic przeciwko temu, że zdrzemnę się przed ich przyjazdem? – pytam. Zdążyłam już zapomnieć imion braci.

– Oczywiście, odpocznij. Musisz być wykończona.

Kładąc się w pościeli Rebeki, zastanawiam się przez chwilę, czy została zmieniona na świeżą. Czy może to ta sama pościel, w której leżała jedenaście lat temu tego dnia, gdy wyszła z domu i już nie wróciła. Chyba jednak mama ją zmieniła.

W pewnej chwili słyszę dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i dwa męskie głosy. To muszą być jej bracia. Pewnie oczekują, że zejdem na dół przywitać się z nimi, ale myśl o wstaniu z łóżka jest dla mnie nieznośna. Ramię mi pulsuje. Bandaż jest zawinięty zbyt ciasno. Postanawiam, że zejdem za chwilę. Najpierw niech matka przybliży im wszystkie szczegóły, opowie o utracie pamięci i ranie na ramieniu.

Przewracam się na bok. Nie dbam o to, czy pościel Rebeki została zmieniona, czy nie. Ważne, że jest mi ciepło, a miękka tkanina otula łagodnie.

Własne łóżko w szpitalu było cudowne, ale to poczucie bezpieczeństwa i komfortu sprawiło, że miniony tydzień wydał mi się tylko złym snem.

Otwieram oczy. Za oknem szarzeje. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam. Zwlekam się z łóżka, czując w ustach nieprzyjemny smak. Palcami przeczesuję włosy i otwieram drzwi sypialni. Prędzej czy później muszę stanąć twarzą w twarz z rodziną. Im dłużej będę zwlekać, tym trudniej będzie mi to zrobić. Schodzę po schodach. W domu panuje dziwna cisza, chociaż świecą się wszystkie światła. Przez chwilę myślę, że domownicy wyszli, ale przecież nie zostawiliby mnie samej tak szybko.

Z prawej strony dobiega mnie lekki szmer, więc tam idę, i moim oczom ukazuje się kuchnia. I rodzina siedząca przy okrągłym stole. Matka, ojciec i dwóch braci. Przed każdym z nich stoją brudne talerze. Właśnie zjedli kolację. Milczą, nawet nie patrzą na siebie.

Staję w drzwiach. Czekam, aż któreś z nich poruszy się, dostrzeże moją obecność, ale na próżno. Nadal siedzą sztywni, milczący, z lekko opuszczonymi głowami i pustym wzrokiem. Tłumaczę sobie, że dla nich to też był trudny dzień. Mimo wszystko wyczuwam w tym obrazku idealnej rodziny coś dziwnego. W tej chwili mam jednak ważniejsze problemy. Ignoruję wewnętrzny głos i wchodzę do kuchni.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bec, 11 stycznia 2003 r.

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy Bec w końcu zamknęła drzwi sypialni, weszła pod kołdrę i zgasiła lampkę. Była kompletnie wyczerpana. Prawie dwadzieścia minut stała pod prysznicem, zmywając z siebie tłuszcz i usuwając zapach smażonego mięsa. Jęknęła z ulgą, kiedy wreszcie mogła się położyć. Kontakt z miękką bawełnianą pościelą sprawiał jej przyjemność. Postanowiła, że koniec z zostawianiem w barze po zamknięciu. Dla dodatkowo płatnej godziny nadliczbowej nie warto tak harować.

Zmęczenie mąciło jej myśli. Jutro miała wolny dzień. Wspaniale. Będzie robić, na co tylko przyjdzie jej ochota. I obmyśli strategię rozmowy z Ellen. Nie zamierzała martwić się na zapas, by nie psuć sobie przyjemności, którą odczuwała, leżąc we własnym łóżku w pograżonym w ciszy pokoju. Do jej nogi przytulał się wyciągnięty jak struna kot Hektor. Czula na skórze, jak jego brzuch unosi się i opada w rytm oddechu.

Coś wyrwało ją ze snu. Jakiś szelest; wrażenie, że ktoś przestępuje z nogi na nogę. Ktoś był w pokoju.

Ze strachu nie otwierała oczu. Nie chciała zobaczyć, co czai się w ciemnościach. Wystarczyło, że czuła napięcie w powietrzu, jawny znak, że w pokoju oddycha nim jeszcze inny człowiek. Pod ciepłą pościelą jej skóra pokryła się gęsią skórą. Tylko nie to. Nie znowu.

Wyteżyła słuch. Sekundy wydawały się wiecznością. Ciszy nie mącił żaden dźwięk. Może to był tylko zły sen.

Wiedziała, że powinna otworzyć oczy, sprawdzić, upewnić się. Odgłos przebijał się przez ciszę. Był tak słaby, że niemal niesłyszalny. Kocie pomrukiwanie. Bardzo powoli uniosła powieki.

Natychmiast dostrzegła brak Hektora. Widziała tylko wgnieciony ślad po jego puszystym ciele. Po chwili go zobaczyła. Siedział w rogu pokoju i mruczał, patrząc na coś. Miała ochotę zaśmiać się z samej siebie. To tylko kot. Mimo to nadal czuła się nieswojo. Coś było nie tak.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, wydała z siebie tłumiony okrzyk. W rogu dostrzegła cień, którego nie powinno tam być. Widziała jedynie zarys, onyksową plamę na antracytowym tle. Obcy element w jej pokoju. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy kształt zaczął się poruszać.

Bardzo powoli, jak w zwolnionym tempie, odwrócił się, rozprostował ręce i nogi, powiększył się w nienaturalny dla człowieka sposób. Zacisnęła powieki, krzyk uwiązł jej w gardle. Nie chciała zobaczyć, jaką formę to coś przybrało po wyjściu z kąta. Nie chciała napotkać spojrzenia tej zjawy.

Przerażenie zmroziło jej krew w żyłach, gdy czekała na dotyk zimnej dłoni na policzku. Jak wtedy. Wstrzymała oddech.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi.

Czyżby cień zniknął? Chciała wypuścić powietrze z płuc, ale była sparaliżowana strachem. Nagle coś ciężkiego obilo jej się o kolana. Cofnęła się raptownie. Zaplątała się w kołdrę i z głuchym hukiem spadła na podłogę. Ból przeszył jej ramię, ale zacisnęła zęby i wyciągnęła rękę, żeby zapalić lampkę.

Na chwilę światło ją oślepiło, a potem go zobaczyła. Hektor siedział pośrodku materaca i mrugał oczami. Zakłęła pod nosem i wzięła go na ręce. Ciszę przecięło przeraźliwe miauknięcie. Bec przytuliła kota do siebie. Czując bicie małego serca na swojej piersi, uspokoiła się na tyle, że zdołała podejść do drzwi, zamknąć je i zablokować krzesłem.

To nie był kot. Tu chodziło o coś więcej. Miała spocone dłonie, nie była w stanie zapanować nad ich drżeniem. Czowała adrenalinę płynącą w żyłach.

Sięgnęła po telefon. Musiała z kimś porozmawiać, opowiedzieć o tym, co właśnie przeżyła, upewnić się, że nie oszalała. Poprzednio to był chyba zły sen, ale tym razem zdarzyło się naprawdę. Minęła trzecia w nocy. Lizzie wściekłyby się na nią, że ją budzi.

Bec spróbowała spojrzeć na siebie z boku. Spodziewała się, że Lizzie wyśmieje ją za dziecienny strach przed duchami. Nie chciała narażać się na kpiny. Zamiast dzwonić, napisała esemesa:

Coś było w moim pokoju. Mój dom jest chyba nawiedzony.

Odłożyła telefon na szafkę przy łóżku.

Tuż przed wyłączeniem lampki zauważyła, że przy obróźce Hektora brak srebrnego dzwoneczka. Duch by go nie zabrał.

Może dzwoneczka już wcześniej tam nie było, pomyślała i zwinęła się w kłębek pod kołdrą.

Długo nie mogła zasnąć, a kiedy wreszcie zapadła w sen, dręczyły ją koszmary. Pod ich wpływem obudziła się nagle mokra od potu. Zerknęła na telefon, było piętnaście po jedenastej. Miała trzy nieodebrane połączenia od Lizzie i dwa esemesy.

Pierwszy:

Ha, ha, ale się boję.

Po dwóch nieodebranych telefonach kolejny:

Wszystko w porządku?

Na ten Bec odpisała:

Tak. Wskoczmy na miasto? Wszystko ci opowiem.

W porannym świetle pokój wyglądał zupełnie inaczej. Panował w nim spokój, a przestrzeń należała wyłącznie do niej. Twarze Johnny'ego Deppa i Gwen Stefani, zdjęcia Bec i jej przyjaciół, świetnie upozowane fotogeniczne dziewczyny

z Destiny's Child, listewki w drzwiach do garderoby, półka na książki nad łóżkiem – wszystko było przyjazne i dobrze znane. Nocny koszmar wydawał się tym, czym w rzeczywistości był, czyli nocnym koszmarem. Czymś, co nie mogło zdarzyć się naprawdę w jej własnym pokoju. Jednak po zamknięciu oczu Bec znowu widziała ten ciemny kształt nienaturalnie zgięty w kącie. To wspomnienie było prawdziwe, równie realne jak zmywanie podłogi w pracy czy pieszy powrót do domu z przystanku autobusowego.

Telefon zawibrował, przyszedł esemes od Lizzie:

Za godzinę w Silver Cushion.

Bec wyskoczyła z łóżka i spojrzała w lustro, żeby obejrzeć sobie plecy. Widniał na nich siny ślad po upadku na podłogę. Przeklęty kot.

Przyszło jej do głowy, że może w domu coś uległo zmianie. Może został w nim jakiś ślad po wczorajszej obecności zjawy. Jednak nie. Kiedy otworzyła drzwi sypialni, wszystko wyglądało tak samo jak wczoraj. Kremowa wykładzina w korytarzu, po której cicho stąpała bosymi stopami, tak jak wczoraj przypominała aksamit.

Gdy zajrzała do pokoju Paula i Andy'ego, miała ochotę parsknąć śmiechem. Tutaj zdecydowanie nic się nie zmieniło. Ubrania i klocki lego na podłodze, skotłowana pościel na łóżkach. Przypomniała sobie, jaką scenę urządzili, gdy mama zasugerowała, że najwyższy czas na przeprowadzkę jednego z nich do innego pokoju. Zamknęła drzwi. Odór brudnych skarpetek przyprawiał ją o mdłości. W powietrzu wisiała woń zbliżającego się dojrzewania.

Biała drewniana poręcz była w dotyku gładka i miła jak co dzień. Starannie wyfroterowana drewniana podłoga na parterze zaskrzypiała pod bosymi stopami Bec. Z kuchni dobiegł chichot, co oznaczało, że chłopcy są w domu. Zajrzała do pokoju rodziców. Ich podwójne łóżko stało pośrodku nieskazitelnie czystej sypialni urządzonej w minimalistycznym stylu. W znajdującym się obok wolnym pokoju zimowa garderoba, spakowana w plastikowe pokrowce, czekała na zmianę pory roku. W rogu stał wciąż nieużywany sekretarzyk matki. Bec zajrzała do pralni. Za kosztami na bieliznę znajdowały się drzwi, które prowadziły do garażu. Były lekko uchylone. Garaż to najbardziej przerażająca część domu, nikt z własnej woli tam nie wchodził, jeśli nie musiał. W środku było ciemno i pachniało stęchlizną, a na brudnej betonowej posadzce piętrzyły się pudła. Rodzice nawet już nie parkowali tam auta. Bec była pewna, że w garażu roi się od pajaków. Panująca wewnątrz ciemność sączyła się przez szparę w drzwiach, nasuwając skojarzenia z ciemnością nocy i przypominając o sennym koszmarze. Bec z impetem zatrzęsła drzwiami.

W salonie wszystko było jak wczoraj. Kanapy stały w takiej samej odległości, drewniane drzwiczki zasłaniały telewizor, by rodzice mogli udawać, że wcale go nie mają. Zadowolona Bec poszła do kuchni. Cokolwiek nawiedziło ją w nocy, uleciało w świetle dnia.

Paul i Andrew, nadal w przykrótkich piżamach, siedzieli obok siebie przy okrągłym stole. Między nimi stało opakowanie czekoladowych płatków śniadaniowych, a miseczki mieli pełne mleka kakaowego. Śmiali się szaleńczo, ich ciemnorude włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Bec poczuła nagły przypływ siostrzanej miłości. Miała ochotę jeszcze bardziej zwichrzyć im czupryny, powstrzymała się jednak, wiedząc, że uznają ten gest za protekcyjny.

– Gotowy? – zapytał Paul.

– Mhm – odparł Andrew.

Podnieśli miseczki z mlekiem.

– Raz, dwa, trzy! – zawołał Paul i zaczęli duszkiem opróżniać naczynia. Ich gardła pracowały rytmicznie, brązowe krople płynu spadały na blat.

– Pierwszy! – wrzasnął Andrew, po czym postawił miskę i wytarł usta grzbietem dłoni.

– O cholera! – krzyknął Paul. To słowo zabrzmiało w jego ustach nienaturalnie. Obaj spojrzeli na Bec w oczekiwaniu bury za takie słownictwo, ale po chwili wybuchnęli śmiechem.

– Jesteście odrażający! – powiedziała rozbawiona. Koszmar minionej nocy zaczynał się zacierać. – Wyglądasz jak Hitler – zwróciła się do Paula, który miał na górnej wardze wąsy z czekoladowego mleka.

– *Goot a morgan!* – zawołał, przyprowadzając brata o paroksyzm śmiechu.

Pokręciła głową i wysypała do miski swoje bezcukrowe muesli.

– Co dzisiaj robisz, Becky? – zapytał Andrew.

– Spotykam się z Lizzie w mieście.

– Możemy iść z tobą? – zapytał Paul.

Dwie pary identycznych jasnoniebieskich oczu wpatrywały się w nią intensywnie. Wiedziała, że chłopcom bardzo się nudzi. Letnie wakacje trwały już dwa miesiące, a im nie wolno było chodzić samym dalej niż do pobliskich sklepów. Mama była nadopiekuńcza, zachowywała się tak, jakby akurat to przedmieście było jedynym bezpiecznym miejscem na świecie. Przecież mieszkali w Canberze, na litość boską. Bec nie wiedziała, dlaczego chłopcy nie łamali zakazu. Ona na pewno by ich nie wydała, jednak nie chciała popychać do niesubordynacji. Co innego niekablowanie, ale czuła, że to byłoby niewłaściwe.

– Możemy? Proszę – powiedział błagalnie Paul.

Bec miała wyrzuty sumienia, ale musiała omówić z Lizzie wydarzenia minionej nocy, a nie mogła tego zrobić przy młodszych braciach, którzy by się im plątali pod nogami. Poza tym chciała zrobić z Lizzie coś, co byłoby niemożliwe w obecności braci.

– Nie dzisiaj – powiedziała. – Następnym razem.

– Jutro?

– Jutro pracuję, ale co powiecie na niedzielę?

– Może być – odparł Andrew.

Widziała, że obaj są mocno zawiedzeni, bo uśmiech zniknął z ich twarzy. Nie lubiła rozczarowywać braci. Czowała wtedy klucie w sercu, jakiego nie doświadczała w żadnej innej sytuacji.

– Pójdziemy na basen, jeśli będziecie mieli ochotę, dobrze?

– Nie wygadasz, jeśli poskaczemy na bombę?

– Nie pisnę ani słowa. Przyrzekam. – Przejechała dwoma palcami po wargach w geście sznurowania ust.

Chłopcy popatrzyli na siebie, po czym zwrócili się do niej rozpromienieni.

– Super – skwitował Paul.

Poklepała ich po głowach. Potępili ten gest zgodnym jękiem, ale siostra nie umiała zapanować nad tym drobnym odruchem czułości. Po chwili poszła na górę, żeby się ubrać.

Lizzie czekała na ławce na Garema Place tuż przy Silver Cushion. Canberra była pełna dziwacznych rzeźb, ale z jakiegoś powodu właśnie tę Bec lubiła najbardziej. Wyglądała jak napełniony do połowy bukłak leżący na czarnych schodach. Latem słońce odbijało się od metalicznej powierzchni i raziło w oczy, a gładka powierzchnia parzyła skórę. Bec klapnęła na ławce obok Lizzie.

– Dlaczego siedzisz akurat tutaj? – zapytała przyjaciółkę.

– Przez emo – odparła rzeczowo Lizzie. Cztery nastolatki w pasiastych czarno-czerwonych skarpetkach, z oczami obwiedzionymi czarną kredką i nastroszonymi włosami, obsiadły Silver Cushion. – Boję się, że to zaraźliwe. – Wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

Bec wiedziała, że Lizzie nie przesadza. Niczego nie znosiła tak bardzo jak fatalnych ciuchów. Właśnie dlatego tak dobrze funkcjonowały jako najlepsze przyjaciółki, po prostu idealnie się dopełniały. Obie włożyły dzisiaj letnie sukienki i brązowe sandały. I wcale nie musiały umawiać się telefonicznie co do stroju. Zresztą nie chodziło tylko o strój, zgadzały się we wszystkim, zupełnie jakby były ulepione z tej samej gliny i miały jedno serce.

Gdyby wcześniej nie wysłała Lizzie wiadomości o wczorajszej nocy, nie poruszyłaby teraz tego tematu. W tej chwili ich wygląd, ich wizerunek był idealny: dwie ładne beztroskie nastolatki otwarte na wszystko, co przyniesie trwające lato. Cień w pokoju nie pasował do tego obrazka.

– Co się stało? – zapytała Lizzie.

Idealny obrazek zamigotał i zniknął.

– Przejdziemy się i pogadamy, dobrze?

– Może bracia próbowali cię nastraszyć? – zapytała Lizzie, gdy Bec zdała jej relację z wczorajszej nocy.

– Wykluczone. Posikaliby się ze śmiechu, gdyby udało im się tak mnie przerazić. Na dodatek nie wyczułam w tym nic... ludzkiego.

- Więc co to według ciebie było? Jakiś złośliwy duch?
- Prędzej widmo. Nie duch, nie zjawa, ale coś złego i konkretnego, czego nie powinno tam być.
- Rany – powiedziała Lizzie, nie patrząc na przyjaciółkę. – To straszne.
- Bec obawiała się, że Lizzie wykpi ją i nazwie wariatką, ale wydawała się równie przejęta jak ona.
- To było straszne.
- Myślisz, że się powtórzy? Może dzisiaj zostaniesz na noc u mnie?
- Może powinnam. Brr, więcej nie chcę o tym myśleć.
- Wiem o czymś, co na pewno poprawi ci nastrój.
- Bec ujrzała w oczach Lizzie znajomy figlarny błysk.
- Myślałam, że już nie zapytasz! – zawołała.

Chichotały szaleńczo, gdy biegiem pokonywały ostatnie schody ruchome i stanęły przed białą fasadą domu towarowego. Do środka weszły już z poważnymi minami.

Najważniejszą sprawą podczas kradzieży w sklepach jest spokojna pewność siebie. Bec nauczyła się tego na samym początku. Kiedy wyglądem i zachowaniem wzbudzi się podejrzenie sklepowego ochroniarza, ten zaczyna patrzeć człowiekowi na ręce i odbiera mu szansę na udaną akcję.

Po drugie, trzeba wybrać rzecz z podszewką. Bec przeglądała zawartość wieszaków w dziale mody młodzieżowej, próbując znaleźć ubranie z metką firmy, którą jej mama zna jako bardzo drogą. W końcu znalazła: Scanlan & Theodore. Doskonale. Nabrała już takiej wprawy, że robiła to automatycznie. Okręciła ramiączka sukienki na sąsiednim wieszaku. Wyglądało to tak, jakby wisiała tam tylko jedna sukienka, podczas gdy naprawdę były dwie. Do przymierzalni można wziąć sześć rzeczy. Bec szybko wybrała pięć innych obfitych sukienek i cienka jedwabna tkanina zniknęła między grubymi dzianinami, marszczeniami i zakładkami. Przy wejściu do przymierzalni dziewczyna o udreżonej twarzy automatycznie policzyła wieszaki Bec, prawie na nie nie patrząc, podała czerwoną plastikową plakietkę z cyfrą sześć i wskazała kabinę.

Bec włożyła jedwabną sukienkę przez głowę i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. I tak by ją wzięła, ale cieszyła się, że tym razem ciuch naprawdę dobrze na niej leży. Jedwab miał kolor niebieski z zielonkawym odcieniem i pięknie współgrał z bladą skórą. Miękkie fałdy pięknie układały się na figurze. Bec wiedziała, że musi znaleźć racjonalny powód, żeby zaprezentować się w niej Luke'owi. Zdjęła sukienkę, wyjęła z torebki małe nożyczki i starannie wycięła podszewkę wokół metki antykradzieżowej. Wycięty kawałek tkaniny z metką włożyła do kieszeni jednej z pięciu pozostałych sukienek, a tę wybraną zwinęła i wsadziła do torebki. Do przymierzalni weszła z sześcioma wieszakami i tyle samo wieszaków z niej wyniosła.

– Przepraszam, ale nie leżą za dobrze – zwróciła się do ekspedientki, której mina jasno mówiła, że nic jej to nie obchodzi. – Znalazłaś coś? – zwróciła się do Lizzie, która czekała na nią przed przymierzalnią.

– Nie. Chodźmy stąd.

Po wyjściu z klimatyzowanego domu towarowego upał wydawał się jeszcze bardziej dokuczliwy, niemal zabójczy. W powietrzu tańczyły śmieci i suche liście wzbijane mocnymi podmuchami wiatru. Bec poczuła odpływ adrenaliny, w miejsce której pojawiło się zmęczenie.

– Co masz? – zwróciła się do Lizzie.

– Dwie sukienki od Marca Jacobsa. Potem ci pokażę. Chciałam wziąć tylko jedną, ale zorientowałam się, że ta dziewczyna nic by nie zauważyła, nawet gdybym wyszła z przymierzalni z pustymi wieszakami. A ty co upolowałaś?

– Scanlan & Theodore. Tylko jedna, ale za to warta prawie trzysta.

– Świetnie!

Bec zaczynała się pocić. Czuła sól gromadzącą się nad górną wargą. Przeciągnęła dłonią po karku. Skóra była śliska od tłustej wydzieliny. Obrzydliwość.

– Może wpadniemy do Gusa? – zaproponowała Lizzie.

U Gusa było zawsze chłodno i ciemno. Przez cały dzień serwowali tam śniadaniowe menu.

– Dobry pomysł.

Wolała wydać trochę na jedzenie, niż wracać od razu do domu.

Przystanąła nagle. Pieniądze. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Dotąd była pewna, że coś, co nawiedziło jej pokój, nie było człowiekiem. A jeśli to jednak był człowiek? Być może wyjaśnienie tajemniczego zdarzenia było najprostsze i najbardziej oczywiste z możliwych: włamywacz.

– Wiesz co, jednak pojedę do domu. Nie mam siły, jestem wykończona.

Lizzie zatrzymała się, spojrzała na przyjaciółkę z niekłamaną troską i spytała:

– Wszystko w porządku?

– Mhm – mruknęła Bec bez przekonania.

Lizzie mocno ją przytuliła, ale tylko na sekundę. Na dłuższe przyjacielskie czułości było zdecydowanie za gorąco.

– Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie i uznasz, że jednak zanocesz u mnie, dobrze? – powiedziała.

– Dobrze. Dzięki – odparła Bec.

Siedziała w autobusie, czując narastającą panikę. Jazda dłużyła się niemiłosiernie. Pojazd zatrzymywał się co kilka przecznic, wpuszczając i wypuszczając pasażerów. Zastanawiała się, po co w autobusie klimatyzacja, skoro przy każdym otwarciu drzwi do środka wdierał się podmuch rozgrzanego

powietrza, które niosło słaby, lecz wyraźnie wyczuwalny swąd pożarów buszu. Zmarszczyła nos. Przejęła się, kiedy pierwszy raz zobaczyła o tym artykuł w *The Canberra Times*. Na czwartej stronie zwracała uwagę czarno-biała fotografia szalejącego żywiołu. Bec zwykle nie czytała gazet, ale dla tego artykułu zrobiła wyjątek. Jego ton nie był alarmistyczny, może dlatego, że uwagę ludzi zaprzętało wiele innych spraw. Całą sąsiednią stronę zajmował apel skierowany do mieszkańców miasta. Wielkie drukowane litery głosiły:

WIDZISZ COŚ PODEJRZANEGO – INFORMUJ!

Bec coś o tym wiedziała. Gdyby zadzwoniła na numer telefonu podany na dole strony, miała szansę jedną na dziesięć, że po drugiej stronie słuchawki odezwie się mama. Wszystko odbywało się w ramach nowej kampanii antyterrorystycznej, obecnej nie tylko w gazetach, ale również na billboardach i w telewizji. Co gorsza, mama przynosiła z pracy opowieści o ludziach szpiegujących własnych sąsiadów. Bec nie miała pojęcia o polityce i podobnych sprawach, mimo to nie mogła się nadziwić, że ludzi bardziej ciekawi nowe i drogie auto sąsiada niż pożar szalejący tak blisko, że można go poczuć.

Nawet nie podziękowała kierowcy przy wysiadaniu, tylko szybkim krokiem ruszyła w stronę domu, a w połowie drogi puściła się biegiem, nie zważając na to, że zrujnuje fryzurę i makijaż. Rozgrzane powietrze omiało twarz, ale Bec zupełnie to nie przeszkadzało, bo liczyło się tylko jedno: musiała jak najszybciej sprawdzić, czy jej pieniądze leżą tam, gdzie leżeć powinny. Zatrzymała się dopiero pod drzwiami, wyjęła klucze, pośpiesznie włożyła je do zamka, weszła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i od razu usłyszała żalosne zawrozczenie Andrew:

– To był tylko żart! Naprawdę żart...

– To wcale nie jest śmieszne.

Bec przystanąła u dołu schodów. W głosie taty wychwyciła autentyczną złość.

– Nie bądź dla nich zbyt surowy. To dzieci. Nie rozumieją tego – cicho powiedziała mama.

– Za bardzo im pobłażasz – odparł tata spokojniejszym tonem.

Bec nie chciała tego słuchać. Wbiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie.

– Bec? – zawołała za nią mama.

Ale nie zareagowała, tylko z impetem otworzyła drzwi do swojego pokoju i porwała z komody mówiącą lalkę Cabbage Patch. Podniosła jej sukienkę i otworzyła zamykaną na rzep klapkę, pod którą znajdowało się miejsce na baterie. Ale zamiast nich tkwiły tam banknoty o nominale dwudziestu i pięćdziesięciu dolarów. Bogu dzięki. To był cały jej zarobek za ubiegły rok. Prawie sześć tysięcy dolarów upchniętych w brzuchu zabawki. Usłyszała na schodach wolne kroki mamy. Ostrożnie odłożyła lalkę na miejsce, wyjęła z torebki sukienkę, stanęła przed lustrem i przyłożyła ją do siebie.

– Wszystko w porządku? Czemu tak biegłaś? – zapytała mama, lustrując strój córki.

– Chciałam znów ją przymierzyć, tym razem w domu, nie w sklepie – odparła z uśmiechem. – Co się dzieje?

Matka przeniosła spojrzenie na swoje dłonie.

– Wydało się, że Paul i Andrew zakradali się do domu sąsiadów. Max powiedział, że przyłapał ich na szeptaniu pod swoim łóżkiem.

– Na szeptaniu?

– Udawali głosy w jego głowie. – Matka westchnęła. – Są za młodzi, żeby to zrozumieć. Myśleli, że to dobry żart, że nie ma w tym nic złego, bo Max jest stuknięty.

– Przecież jest stuknięty, prawda? – odparła Bec, nie odrywając wzroku od swojego odbicia w lustrze. Chciała dać mamie do zrozumienia, że gdyby pozwalała chłopcom częściej wychodzić z domu, zapewne nic takiego by im nie strzeliło do głowy.

– Nie jest stuknięty. Jest schizofrenikiem.

Bec była prawie pewna, że schizofrenik oznacza stukniętego, ale nie chciała już o tym rozmawiać. Mama znowu utkwiała spojrzenie w jej zdobyczy i powiedziała:

– Ta sukienka wygląda na bardzo drogą.

– To Scanlan & Theodore. Lepiej, żebyś nie znała ceny. – Bec uniosła brwi.

Mama skrzyżowała ręce.

– Tyle pracujesz, a potem lekką ręką wydajesz całą wypłatę. Mogłabyś sobie odłożyć na coś naprawdę ładnego.

– To jest bardzo ładne! – Bec udała urażoną, ale w głębi duszy była bardzo z siebie zadowolona. Wszystko stało się zbyt łatwe.

– To twoje pieniądze, zrobisz, jak zechcesz, ale nie lataj tak, bo dostaniesz udaru cieplnego – powiedziała mama, po czym wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Patrząc w lustro na ukradzioną sukienkę, nastroszone loki i spoconą twarz, przez chwilę Bec miała wyrzuty sumienia. Wtedy jej wzrok padł na odbicie lalki i wina uleciała, ustępując miejsca poczuciu triumfu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

2014 r.

Przez chwilę mam wrażenie, że jestem u siebie w domu. Ściskam kciuki pod kołdrą w nadziei, że moja macocha jest już na zajęciach pilatesu dla kobiet na wczesnym etapie ciąży, i zjem śniadanie z tatą bez konieczności wysłuchiwania jej biadolenia i gładzenia.

Gdy otwieram oczy, pokój osacza mnie z każdej strony. Niemodne już plakaty z idolami nastolatków, zdjęcia na ścianie, szmaciana Cabbage Patch na komodzie przy łóżku. W tej samej chwili wracają do mnie wspomnienia minionego tygodnia, Perth, Sydney, szpital. Usiłuję przełknąć ślinę, a wraz z nią lęk ściskający gardło. Przemiana w całkiem inną osobę i funkcjonowanie jako ta „inna osoba” to coś piekielnie trudnego.

Dokonuję analizy sytuacji. Rodziców zwiodłam koncertowo, ale z Andopolisem muszę zachować ostrożność. Okazało się, że nie jest tak głupi, jak mi się w pierwszej chwili wydawało, ale nadal mam szansę owinąć go sobie wokół palca, jeśli rzeczywiście dopadają go wyrzuty sumienia, że zawiódł Rebecę. Mój niepokój budzili bliźniacy. Okazali mi serdeczność, zamknęli w mocnym niedźwiedzim uścisku, kiedy przerwałam im kolację, ale wyczułam u nich wahanie. Nigdy przedtem nie grałam roli starszej siostry. Nie wiem, jak to jest. Paul i Andrew byli atrakcyjni. Obaj to ludzie skazani na sukces. Jeden jest prawnikiem, drugi studiuje medycynę. Nie umiałam ich odróżnić. Gdybym miała siostrę bliźniaczkę, stanęłabym na głowie, żeby wyglądać inaczej niż ona, ale moim nowym braciom najwyraźniej na tym nie zależało. Obaj byli gładko ogoleni, mieli krótko przystrzyżone ryżawe włosy i idealnie dopasowane do sylwetki T-shirty. Chciałam, żeby jak najprędzej wyjechali.

Niechętnie zwlekam się z łóżka i otwieram garderobę Bec. Woń piżma jest już słabsza, a może po prostu zdążyłam do niej przywyknąć. Powoli przeglądam jej rzeczy, oceniając rozmiar każdej z nich. Ku mojemu zaskoczeniu miała ciuchy kilku naprawdę dobrych marek. Przesuwając wieszaki, zauważam różową kołdrę i kilka upchniętych z tyłu pluszaków. Nie chciała już uchodzić za dziecko, a jednocześnie nie umiała wyrzucić ukochanych zabawek. Na chwilę przestaje być dla mnie tylko zdjęciem z rejestru osób zaginionych i nabiera cech człowieka z krwi i kości.

Postanawiam nie wkładać niczego ze znaną metką. Wybieram prostą i skromną bawełnianą sukienkę. Krój o obniżonej talii i jasny materiał kojarzą się z niewinnością. Dzisiaj mam spotkanie z Andopolisem i chcę utrwalić jego opinię o mnie. Siniec na twarzy zbladł, przybierając żółtą barwę. Dłużej nie mogłam budować swojej roli na tym sińcu. Teraz w pierwszym rzędzie musiałam pomyśleć

o odpowiednim stroju.

Zdejmując sukienkę przez głowę, wyczuwam w kieszeni coś twardego. To złożona kartka papieru. Na samej górze widnieje napis drukowanymi literami EGZORCYZMY, a pod nim gotyckimi literami w ramce „Magia dla współczesnej wiedźmy”. Trudno mi sobie wyobrazić, że Bec interesowała się pogańskimi obrzędami, przecież jej pokój wygląda jak gniazdko panienki z dobrego domu. Z drugiej strony, nastolatki lubią mieć sekrety. Składam kartkę i dodaję ją do pozostałych rzeczy, które ukrywała. Skoro tak długo udało jej się utrzymać to w tajemnicy, ja nie mam zamiaru jej zdradzać.

Mając szesnaście lat, chowałam skręty w podłożeniach zasłon. Był to hipisowski etap mojego życia. Poznałam wtedy grupę starszych od siebie ludzi z dreadami i w wielobarwnych koszulkach, którzy przesiadywali w pobliżu dworca kolejowego. Przez cały miesiąc utrzymywałam ich w przekonaniu, że mieszkam w komunie pod Fremantle, gdzie panował zakaz noszenia ubrań. To było w czasach, gdy jeszcze nie posiadałam sztuki operowania subtelnymi kłamstwami. Jeden z członków komuny dowiedział się, kto jest moim ojcem. Nazywali go „magnatem naftowym” i nie rozumieli, dlaczego kwituję to śmiechem. Hipisi opowiadali o miłości i życzliwości, ale chyba nigdy nie spotkałam równie złośliwych i drażliwych ludzi. Macam dół zasłon Bec. Nic.

Wychodzę z pokoju i słyszę stłumione głosy braci. Przystaję na chwilę, licząc, że zdołam wyłowić sens rozmowy, ale gwałtownie się urywa. Musieli usłyszeć moje kroki. Zastanawiam się, czy nie zastukać do drzwi, ale nie bardzo wiem, co miałabym im powiedzieć.

W salonie na dole tata ogląda telewizję. Właściwie nie jestem do końca pewna, czy ogląda, czy tylko wpatruje się w ekran. Ma szkliste oczy. Ciarki przechodzą mi po plecach. Nie odrywa wzroku od telewizora, nawet gdy stoję w drzwiach. Idę więc dalej do kuchni. Mama stoi przy zlewie i zmywa naczynia.

– Dzień dobry – mówię.

Na dźwięk mojego głosu podskakuje przestraszona.

– Przepraszam, Bec. Zamyśliłam się. Chcesz śniadanie?

– Pewnie, jeśli to nie problem.

– Oczywiście, że nie. – Mama wyciąga zatyczkę z odpływu i zdejmuje gumowe rękawiczki. Woda z bulgotem uchodzi ze zlewu.

– Dzięki! Potrzebujesz pomocy? – pytam, pamiętając o roli dobrej córki.

– Nie, usiądź sobie i odetchnij. O której przyjeżdża Vince?

– Nie wiem. Powiedział tylko, że rano.

Obserwuję mamę, jak roztrzepuje jajka z mlekiem i wylewa na patelnię. Pod wpływem smakowitego zapachu cieknie mi ślinka. Poznawszy prawdziwy głód, nie wiem, czy kiedykolwiek spojrzę jeszcze na jedzenie w ten sam sposób.

– Mam dla ciebie telefon – mówi mama, skinieniem głowy wskazując nowy

iPhone na kontuarze.

– Ojej! Bardzo dziękuję!

Włączając go, czuję tę samą ekscytację, jaką budzi we mnie obcowanie ze lśniącymi nowością przedmiotami. Usiłuję nad nią zapanować. To właśnie pogoń za tą ekscytacją przysporzyła mi wielu kłopotów.

– Numer się nie zmienił – oznajmia mama.

– Świetnie. Jak ci się udało go zachować?

– Wystarczyło regularnie płacić rachunki.

Odkładałam telefon na stół. Rebeca przypuszczalnie nie żyła, mimo to rodzice płacili co miesiąc abonament przez ponad dziesięć lat. Ekscytacja nowym przedmiotem mija. Robi mi się smutno.

– Proszę, skarbie. – Mama stawia przede mną parujące jajka. – Nie martw się, pamiętałam o kawie.

Posyłam jej uśmiech. W tym przejawia się matczyzna miłość. Zastanawiam się, czy moja mama też podsuwała mi jedzenie z takim oddaniem. Wątpię. Pamiętałabym ją lepiej, gdyby tak się zachowywała. Kiedy o niej myślę, przychodzi mi do głowy tylko oprawiona fotografia, którą tata trzymał nad kominkiem. Gdyby nie ona, nie znałabym nawet twarzy mamy. Łapczywie pochłaniam jajka. Mają konsystencję kremu i lekko słonawy posmak.

– Dziękuję, mamó – mówię między kęsami.

Nie zauważam, jak kubek kawy wyslizguje się z jej rąk, słyszę dopiero dźwięk tłuczonego naczynia, które spada na podłogę.

– Kurwa, co się stało? – wołam i natychmiast żałuję przekleństwa, chociaż matka sprawia wrażenie, jakby tego nie usłyszała. Już jest na czworakach i opętańczo wyciera parującą kawę. Wokół niej leżą kawałki rozbitego kubka. Wstaję, żeby jej pomóc.

– Przepraszam – szepce, podnosząc głowę i spoglądając na mnie.

– Nic się nie stało. Pomogę ci.

– Nie, nie trzeba. To moja wina. Jestem głupia.

Sięgam po plastikową torebkę, klękam i zaczynam zbierać kawałki porcelany.

– Tak mi przykro, Bec – powtarza matka przyciszonym głosem.

– Naprawdę nic się nie stało. To tylko kubek.

– Nie powiesz im, prawda? – Patrzy na mnie wzrokiem przestraszonego dziecka.

Na ścierce, którą trzyma w dłoni, widzę małe czerwone plamki i wielkie brązowe plamy po kawie.

– Skaleczyłaś się? – pytam, łapiąc ją za rękę. Między kciukiem a palcem wskazującym widzę rozciętą skórę.

– To nic. To kara za niezdarność.

– Ja to zrobię. A ty umyj rękę i zaklej ranę plastrem.

– Och, Becky, zawsze byłaś wspaniałą dziewczynką. Żałuję, że poświęcałam ci za mało uwagi. Wybacz mi.

Pierwszy raz jest mi jej bardzo żal. Ta kobieta obwinia się za to, co spotkało Bec.

– Było minęło, mamó. Teraz zajmij się swoją ręką.

Widok krwi płynącej z otwartej rany przyprawia mnie o mdłości. Mama wstaje i obmywa rękę pod kranem. Kończę wycierać podłogę i wrzucam kawałki porcelany do kosza.

– Widzisz? Nie ma śladu! – staram się dodać jej otuchy, chociaż nie przywykłam do roli pocieszycielki.

– Powinnam była okazać ci, jak wiele dla mnie znaczysz.

Mówi z nieobecnyim spojrzeniem, a ja myślę o tacie, który nigdy mi tego nie okazał. Nie byłam dla niego ważna. Po prostu stanęłam mu na drodze.

– Już dobrze. – Nadaję głosowi łagodny ton. – Wróciłam i będę dobrą córką.

– Wystarczy, że będziesz sobą. – Ściska mi dłoń, a ja myślę, że ona ma rację. Nie muszę grać roli dobrej córki, żeby mnie pokochała. Ona już mnie kocha. – Potrzebuję cię tutaj. Nie opuścisz mnie znowu, prawda? – pyta cicho, usilnie wpatrując się w zlew. Wygląda na zmęczoną i przygnębioną.

– Nie – odpowiadam.

Spogląda na mnie i jej oczy nabierają blasku. Widzę w nich mieszaninę nadziei, miłości i strachu. To mnie przytłacza.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – mówię z przekonaniem. Nie jestem pewna, kiedy podjęłam tę decyzję, ale wiem jedno: nie zamierzam się cofnąć. Ciężko zapracowałam na to nowe życie. Zapłaciłam za nie własnym ciałem. Tym razem gram na poważnie.

Idąc w kierunku niebieskiego holden commodore'a Andopolisa, zauważam, że wsuwa coś pod kołnierzyk koszuli. Uśmiecha się do mnie, gdy otwieram drzwi i sadowię się na siedzeniu obok niego.

– Dzień dobry! – witam się serdecznie i radośnie.

– Dzień dobry. Jak samopoczucie?

– Dobrze. Cudownie było znowu położyć się we własnym łóżku.

– Cieszę się.

W jego aucie wisi zapach pikantnego jedzenia. Po drodze pewnie jadł śniadanie.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Pomyślałem, że zawiozę cię na komisariat. – Przekręca kluczyk w stacyjce i wrzuca wsteczny bieg. – Przekonamy się, czy coś sobie przypominisz.

Odwraca się, żeby spojrzeć w tylną szybę. Koszula opina mu się na klatce piersiowej, i wtedy dostrzegam odznaczający się pod materiałem kształt krzyżyka

na łańcuszku. Spoglądam w okno, by ukryć uśmiech. Katolik. To wyjaśnia poczucie winy. Nie będzie z nim trudno.

– Wiem, że to bolesne, ale chcę, żebyś przypomniła sobie wieczór, kiedy zostałam uprowadzona. – Przyciskiem otwiera okna po swojej i mojej stronie. – Może jakieś dźwięki albo zapachy odświeżą ci pamięć.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu. Za oknami przesuwa się Canberra. Jest inna niż Perth. Mijamy przedmieścia. Wszędzie widzę skrawki buszu kontrastującego z surową i prostą architekturą.

Domy są zadbane i nowe, otoczone świeżo pomalowanymi płotami i starannie przyciętymi trawnikami. Nigdzie nie widzę starych szeregowców ani typowych wiejskich chat, do jakich przywykłam. Wszystko wygląda, jakby zostało zbudowane w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Im bliżej miasta, tym drogi stają się szersze i okazalsze. Po obu stronach migają niezliczone fontanny oraz imponujące budynki ważnych instytucji. Wszędzie panują idealna czystość i symetria. Mam wrażenie, że cała przestrzeń miasta jest zdezynfekowana.

Wjeżdżamy na parking położony na tyłach komisariatu.

– Dzisiaj będziemy sami? – pytam. Towarzystwo wężącego Malika, którego tak sprytnie się pozbyłam, jest tym ostatnim, czego potrzebuję. Wiem, że jakikolwiek błąd najpewniej skończy się dla mnie katastrofą.

– Nasza psycholog chce z tobą rozmawiać.

Po moim trupie, myślę.

– Chcę rozmawiać tylko z panem – odpowiadam.

– Nie bój się, przyjmijmy wolne tempo. Spotkanie z psychologiem na pewno bardzo ci pomoże. Spotkasz się z nią, kiedy będziesz gotowa.

Może ten facet naprawdę jest idiotą.

Kładzie mi rękę na plecach i prowadzi do tego samego pomieszczenia co wczoraj. Po wejściu od razu zauważam, że coś tu przybyło, to znaczy telewizor z odtwarzaczem wideo. Andopolis sadowi się naprzeciwko mnie, nie wspominając ani słowem o telewizorze.

– Jak minął wczorajszy wieczór? – pyta.

– Jak sen – mówię słodkim tonem.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

Spogląda na mnie dziwnym wzrokiem. Na jego twarzy maluje się trudne do zdefiniowania napięcie. Wiem, że Andopolis ma poczucie winy, ale intuicyjnie wyczuwam tu coś więcej. W jego oczach dostrzegam udrękę. Przez chwilę zastanawiam się, czy trzyma w domu stosy zdjęć Rebeki. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby tak było.

– Po co to? – pytam, wskazując telewizor. W tej chwili zależy mi tylko na tym, żeby Andopolis przestał tak się we mnie wpatrywać. Od jego wzroku ciarki chodzą mi po plecach.

– Dla odświeżenia ci pamięci. – Podnosi rękę w obronnym geście. – Nie chodzi o twoje uprowadzenie. Jeszcze nie. Chodzi o czas przed porwaniem.

Przed porwaniem? Po co chciał wiedzieć, co wydarzyło się przed zaginięciem Rebeki? Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie, ale jeśli dzięki temu czas nam prędszej minie, to nie zamierzam protestować.

Andopolis sięga po pilota leżącego na podłokietniku kanapy.

– Wiem, że to może okazać się trudne, ale według mnie to ważne. W porządku?

– W porządku. – Mam nadzieję, że to jakieś rodzinne filmy. Może dowiem się czegoś więcej o niej. O sobie.

Wcisną guzik PLAY. Przez ekran przebiegają czarne linie, potem pojawia się szary pokój. Przed obiektywem siedzi nastolatka z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Elizabeth Grant, przesłuchanie numer pięć, trzydziesty stycznia dwa tysiące trzeciego roku, godzina dwudziesta pierwsza czterdzieści siedem – mówi głos zza kamery. Naprzeciw dziewczyny siedzi mężczyzna. Widzę tylko tył jego głowy, ale natychmiast rozpoznaję Andopolisa.

– Wszystko już opowiedziałam – mówi dziewczyna stłumionym głosem. – Nie rozumiem, dlaczego ciągle do tego wracamy.

To pokój przesłuchań. Inny od tego, w którym trzymali mnie w Sydney.

– Chcemy znać wszystkie szczegóły, nawet pozornie nieistotne.

Dziewczyna podnosi głowę. Wygląda strasznie. Ma rozmazany makijaż, czarne ślady tuszu pod oczami, twarz pokrytą czerwonymi plamami, ciekący nos. Mimo to ją rozpoznaję. To najlepsza przyjaciółka Rebeki, Lizzie.

– Dobrze – odpowiada.

Żal mi jej. Jest za młoda, żeby tak wyglądać, żeby być w takim stanie, wyczerpana i zgnębiona.

– Opowiedziałas mi o ostatnich tygodniach, ale zastanawiam się, czy zapamiętałaś jeszcze coś, co może mieć dla nas znaczenie. Coś, co wydało ci się podejrzanym. Coś, co dotyczy szkoły albo jej życia rodzinnego.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

Lizzie coś ukrywa. Widzę to wyraźnie i zastanawiam się, czy Andopolis też. Przygląda jej się bez słowa przez dłuższą chwilę, wreszcie mówi:

– Twoja przyjaciółka zaginęła. – W jego głosie pobrzmiwa inny, zimny ton.

– Może w tej chwili ktoś się nad nią pastwi, a ty tu uprawiasz swoje gierki.

– Nie uprawiam żadnych gier! – szłocha Lizzie.

Spoglądam na Andopolisa. To był brutalny chwyt z jego strony. Dotąd nie robił na mnie wrażenia okrutnego. Teraz nieporuszony wpatruje się w monitor.

– Więć wysił się – mówi dalej na nagraniu. – Przypomnij sobie te wszystkie sytuacje, w których Rebeca wydała ci się inna, zachowywała się inaczej niż zwykle. Kiedy czułaś, że coś jest nie tak.

Lizzie bierze kilka głębokich oddechów, a ja nachylam się w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

– Jest coś takiego. Nie wiem, czy to pomoże, ale skoro chce pan wiedzieć...
– Wystraszona patrzy na Andopolisa, ale nie doczekawszy się reakcji, mówi dalej:
– To było dawno temu, zeszłego lata. Pojechałam do babci, a po powrocie Bec wydała mi się inna.

– Pod jakim względem?

– Nie wiem. Trudno to wyjaśnić. – Lizzie ma kłopot z doborem słów. – Ona... To było bardzo subtelne. Pewnie tylko mi się wydawało. Nikt inny tego chyba nie zauważył. W każdym razie nikt o tym nie mówił. Ale Bec to moja najlepsza przyjaciółka, jesteśmy jak siostry. – Lizzie przetyka ślinę, broda jej drży.

– Nie maż się, proszę – mówi Andopolis.

Co za dupek. Odsuwam się od niego na kanapie, a na ekranie Lizzie opiera drżące ręce na stole i próbuję się uspokoić.

– Przepraszam – szepcze i znowu przetyka ślinę.

– Na czym polegały te zmiany? Potrzebuję konkretów – ciągnie Andopolis.

– Trudno to wyjaśnić. Zrobiła się nerwowa, bardziej strachliwa, wściekała się o byle co. I jeszcze coś. Bec zawsze trzymała się prosto, czy jak stała, czy jak chodziła, bo chciała wyglądać na wyższą, ale po powrocie od babci zauważyłam zmianę w jej wyglądzie. Ubrania dziwnie na niej wisały. Długo nie mogłam zrozumieć dlaczego, w końcu zrozumiałam, że Bec się garbi. Jakby się chowała.

– Problemy okresu dojrzewania? – pyta Andopolis.

– Żeby pan wiedział! – woła gniewnie Lizzie. Jej reakcja mnie zaskakuje. Może była kimś więcej niż przestraszoną dziewczynką. – Było w tym coś więcej. Nie zwierzała mi się już jak kiedyś. Poza tym Jack powiedział, że przyszła do nas do domu, kiedy byłam u babci. Po co przyszła, skoro wiedziała, że wyjechałam? To było dziwne.

– Pytałaś ją o to?

– Nie.

Nachylam się jeszcze bardziej i uważnie obserwuję Lizzie. Próbuję dostrzec coś więcej, o czym nie mówi Andopolisowi, ale im bliżej się przysuwam w stronę telewizora, tym bardziej jej twarz staje się zbiorem kolorowych punktów.

Andopolis wyłącza telewizor.

– Co się stało przed twoim zaginięciem? – pyta, patrząc mi prosto w oczy. – Co się stało latem dwa tysiące drugiego roku?

Na to nie byłam przygotowana.

– Nie wiem. Nic. Lizzie coś sobie wyobraziła, zobaczyła więcej, niż było. Dojrzewałam i tyle.

– Wyobraziła to sobie czy dojrzewałaś? Powiedz mi.

Czuję się przyparta do muru. Andopolis zapomniał, że ma do czynienia

z dorosłą kobietą, nie z przestraszoną nastolatką jak Lizzie.

– Jedno i drugie. Minęło już tyle czasu. – Muszę zmienić temat, i to jak najszybciej. Andopolis może wiedzieć o tym więcej, niż pokazuje. – Lizzie była bardzo smutna – zagajam. – Biedactwo. Chciałabym teraz wyciągnąć do niej rękę i mocno ją uściskać.

– Nie możesz cofnąć czasu, Bec. – W głosie Andopolisa słyszę ból, w oczach widzę wciąż tę samą udrękę.

Sprawy nie idą po mojej myśli. Nie mogę rozgryźć Andopolisa. Przemiliły człowiek z krzywym uśmiechem wydaje się zupełnie innym człowiekiem. Może powinnam była jednak wybrać Malika.

– Muszę to wiedzieć. Tu i teraz. – Andopolis nie spuszcza ze mnie oczu.

– Wiedzieć co?

– Czy kogoś kryjesz.

Tego się nie spodziewałam. Mam nadzieję, że Andopolis widzi moje zaskoczenie.

– Nie. Jasne, że nie! Jak mogłabym kryć kogoś, kto mi to zrobił? – Z emocji drży mi głos, patrzę na niego jak na zdrajcę.

Andopolis daje się nabrać na ten chwyt.

– Przepraszam, Bec. Nie chciałem cię zranić. – Wyciąga do mnie rękę w pocieszającym geście, ale rozmyśla się i cofa ją. Przeprosił, lecz dla mnie to za mało. Czuję zmianę w układzie sił. Andopolis odzyskuje kontrolę. Za szybko. Nie mogę na to pozwolić.

W drodze powrotnej postanawiam milczeć. Ludzie nie znoszą niepewności. Wiem, że jeśli jestem dla nich miła, a potem bez powodu nagle staję się chłodna i obojętna, dostają szału.

– Dobrze się czujesz? – Andopolis pierwszy przerywa ciszę.

Kiedy nie odpowiadam, zjeżdża na bok.

– Co się dzieje, Bec? – pyta. – Dąsas się o to, co powiedziałem na komisariacie?

Kręcę przecząco głową.

– W takim razie o co chodzi?

Liczę w duchu do dziesięciu i wpatruję się intensywnie w swoje kolana.

– Ile to jeszcze potrwa? – pytam.

– Niedobrze ci? – Andopolis myśli, że pytam o jazdę.

– Niedobrze mi od tego przypominania sobie rzeczy, których nie chcę pamiętać.

– Naprawdę nie chcesz wiedzieć, kto ci to zrobił? – Andopolis wygląda na autentycznie wstrząśniętego.

– Chcę jechać do domu i być szczęśliwa z rodziną – odpowiadam nieco zbyt agresywnie. Przygryzam wewnętrzną część policzka, aż łzy stają mi w oczach. –

Dlaczego pan mi tego odmawia? – mówię, patrząc na niego jak na potwora.

– Robię to dla ciebie, Bec! Chcę znaleźć człowieka, który cię uprowadził, i ukarać go.

– A to, czego ja chcę, się nie liczy?

– Oczywiście, że się liczy – odpowiada cicho, chociaż oboje wiemy, że to nieprawda.

Nie odzywam się. Po kilku sekundach Andopolis uruchamia silnik. Cholera, mam dość tych gier. Chciałabym się odprężyć, poczuć się komfortowo w swoim nowym życiu. Musi być jakiś sposób skłonienia napalonego na rozwiązanie sprawy detektywa, żeby trochę odpuścił. Trudno mi się myśli, kiedy cały czas gram. Potrzebuję chwili samotności.

Spoglądam na telefon, przyciskam losowo różne ikonki, udając, że nie umiem go obsługiwać.

– Jest! – mówię triumfalnie po kilku minutach jazdy w zupełnej ciszy.

– O co chodzi?

– W końcu odkryłam, jak napisać i wysłać esemesa! Nie rozumiem, dlaczego producenci coraz bardziej komplikują te urządzenia.

Andopolis nie odpowiada, zupełnie jakby młoda kobieta, która nie potrafi obsługiwać się iPhone'em, to najsmutniejsze zjawisko, z jakim miał do czynienia.

– Wysadzi mnie pan w Yarralumli? – pytam, postanawiając wykorzystać chwilę jego słabości. – Tata prosił mnie o pomoc w zakupach.

Na krótką chwilę krzyżuje spojrzenie z moim. Wyczuwam, że ma ochotę zaprotestować, ale zmienia zdanie. Dobrze. Łaknę papierosa, poza tym chcę znowu zaznaczyć, kto jest górą. Andopolis wjeżdża na parking przed sklepami, zatrzymuje się obok furgonetki i odwraca się do mnie, nie wyłączając silnika.

– Chcesz, żeby to wreszcie się skończyło, i ja to rozumiem, ale ta historia się nie skończy, póki nie złapiemy winnego.

Nigdy go nie złapią. Ktokolwiek to zrobił, dawno już zniknął.

– Jutro chciałbym pójść twoimi śladami z dnia zaginięcia. Odtworzyć drogę z przystanku do domu, jazdę autobusem, wyjście z pracy. Coś musisz pamiętać. Spróbujesz? Dla mnie?

– Dobrze – mówię, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, lekko rozchylając usta. – Dla pana.

Andopolis na mgnienie oka zatrzymuje spojrzenie na mojej spódniczce i odsłoniętych nogach, ale przyłapany na tym, szybko odwraca wzrok. Ciekawe, ile zdrowasiek będzie musiał odmówić za nieczyste myśli.

– Do zobaczenia jutro. – Wyskakuję z auta i trzaskam drzwiami.

W drodze do domu palę jednego papierosa za drugim. Nie wiem, kiedy nadarzy się kolejna okazja. Wciągając dym, czuję, jak schodzi ze mnie napięcie i mięśnie się rozluźniają. Świeci słońce, chociaż powietrze jest rześkie. Na nogach

czuję gęsią skórę, ale wszystko mi jedno. Dobrze mieć trochę czasu dla siebie z dala od bacznych wzroku obserwatorów. Patrząc na swój nowy telefon i daję się prowadzić niebieskiej strzałce wskazującej mi drogę do domu Bec.

Słyszając za plecami dźwięk opon, zerkam przez ramię. Czarna furgonetka. Jedzie znacznie poniżej dozwolonej prędkości. Na parkingu obok auta Andopolisa stała czarna furgonetka. Czyżby jej kierowca mnie śledził? Odsuwam od siebie tę niedorzeczną myśl. Andopolis napędził mi strachu. Skręcam w ulicę Rebeki, a furgonetka mija mnie i jedzie dalej. Śmieję się w duchu z własnej paranoi i łączywie zaciągam się papierosem. Może powinnam była kupić miętówki. Mała Rebeca pewnie nie paliła.

Telefon sygnalizuje nadejście wiadomości. Otwieram ją przekonana, że mama pisze z zapytaniem, o której wracam.

Mylę się.

Wynocha.

Tylko tyle.

Słyszę pisk opon. Furgonetka wróciła i jedzie za mną w górę ulicy. Serce tłucze mi się w piersi. A jednak ktoś mnie śledzi. Rzucam papierosa i zaczynam biec. Furgonetka przyśpiesza, ja też. Jestem już na podjeździe przed domem, dopadam drzwi, otwieram je, zamykam z trzaskiem za sobą i opieram się o nie plecami, ledwie łapiąc oddech.

– To ty, skarbie? – dobiega z kuchni wołanie mamy.

– Tak!

Przez chwilę mam ochotę opowiedzieć jej o esemesie i furgonetce, jednak mama na pewno zawiadomiłaby Andopolisa, a tego nie chcę. Nie chcę dać mu kolejnego powodu do prowadzenia śledztwa. Spoglądam przez nakrapianą szybę w drzwiach. Ulica jest pusta.

Odwracam się plecami do kuchni, by mieć pewność, że mama mnie nie usłyszy, i wybieram numer, z którego została wysłana wiadomość.

– Wybrany numer jest wyłączony lub poza zasięgiem. Sprawdź numer i spróbuj ponownie – informuje mnie kobiecy głos.

Wsuwam telefon do kieszeni i idę do salonu. Andrew i Paul siedzą z tatą ciągle zapatrzonym w przestrzeń. W telewizji nadają program informacyjny, ale nikt go nie ogląda.

– Jak poszło? – pyta mama, stając w drzwiach salonu w gumowych rękawiczkach.

– Vince dostał apopleksji? – rzuca Andrew.

– Dało się wytrzymać. – Gdy siadam na krześle, Hektor wskakuje mi na kolana i zwija się w kłębek. Drapię go za uszami. Serce zaczyna mi się uspokajać, ale panika nie mija. Dobrze, że mogę czymś zająć ręce.

– Przypomniałaś sobie coś? – pyta Paul.

– Nie bardzo.

Wszyscy patrzymy w ekran telewizora. Nowy premier pojawia się na konferencji prasowej. Niekorzystne oświetlenie podkreśla jego wielkie uszy. Następuje przebitka na matki z dziećmi wyciągane z niewielkiej łodzi przez uzbrojonych mężczyzn w mundurach.

– Kto to? – pytam, wyczuwając odpowiedni moment.

– Kto?

– On – wskazuję na ekran, na którym znowu pojawia się premier.

– Nie wiesz, kim jest Tony Abbott? – mówi jeden z nich. To chyba Andrew. Spuszczam głowę, udając zawstydzenie.

– To nasz premier – odzywa się tata, nie odrywając wzroku od ekranu.

Paul i Andrew patrzą na mnie, ale ich miny nie bardzo mi się podobają. Bracia sprawiają wrażenie zaskoczonych i zmieszanych, podczas gdy ja spodziewałam się współczucia. Uświadamiam sobie, że muszę skłonić ich do mówienia. Zwykle ludzie czują sympatię do tych, którym ufają i mogą się zwierzyć.

– Pamiętacie, kiedy widzieliście mnie ostatni raz? To by mi pomogło ułożyć w całość okruchy wspomnień.

– Nic nie pamiętasz?

– Nie bardzo. Wszystko spowija mgła. – Już żałuję, że nie zapytałam o coś innego. Przeszłość to niebezpieczny temat.

– Cóż... – zaczyna ten, którego uważam za Andrew – muszę przyznać, że byłaś... wredna.

We troje wybuchamy śmiechem, napięcie mija. W duchu gratuluję sobie tego posunięcia.

– Wcale nie! – protestuję, ponieważ intuicja podpowiada mi, że tak wypada.

– Byłaś, byłaś, Becky. Obiecałaś, że weźmiesz nas na basen, pamiętasz? A potem się wściekłaś, bo znalazłaś w moim plecaku świerszczyk – mówi Paul.

– A potem już nigdy cię nie widzieliśmy – dopowiada Andrew. – Doskonały powód, żeby nabawić się seksualnych kompleksów.

Kwitujemy te słowa śmiechem, chociaż ten, którego uważam za Paula, uważnie mnie obserwuje. Zupełnie jakby czekał, co powiem.

Omam nie podskakuję ze strachu na dźwięk pukania do drzwi. Słyszę, jak mama wychodzi z kuchni i idzie je otworzyć.

– Do ciebie, Bec – mówi po chwili.

Wychodzę z salonu, wyobrażając sobie mężczyznę, a za jego plecami czarną furgonetkę, którą mnie stąd zabierze. Nie może tego zrobić, nie przy tylu świadkach. Ale na schodach stoi elegancka kobieta w ciemnozielonej marynarce, spódnicy do kompletu i cielistych pończochach. Jasne włosy ma ciasno upięte w kok. Patrzy na mnie jak na ducha.

– Bec? – mówi pytająco.

Rozpoznaję ją w chwili, kiedy wyciąga do mnie ręce i zamyka w mocnym uścisku. Widziałam ją na nagraniu wideo.

Kiedy odrywa się ode mnie zapłakana i zasmarkana, mówię:

– Witaj, Lizzie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bec, 12 stycznia 2003 r.

Tego dnia Bec miała poranną zmianę. I tak nie mogła spać. Zablokowała klamkę krzesłem, ale w głębi duszy wiedziała, że jeśli źródłem jej niepokoju jest jakaś siła paranormalna, blokada na nic się nie zda. W pokoju było gorąco i duszno. Mimo włączonej klimatyzacji czuła rozpalone powietrze przenikające przez cegły i szkło do wnętrza domu. Na dzisiaj zapowiadali czterdzieści trzy stopnie.

Leżała nieruchomo, nasłuchując odgłosów porannej krzątania rodziców: szczęku miseczek oplukiwanych przez mamę, brzęczyka sygnalizującego otwarcie zmywarki. Głos taty był przytłumiony, głosu mamy nie słyszała wcale. Czekwała na trzaśnięcie drzwi wejściowych i dźwięk uruchamianego silnika auta. Odrzuciła przeponą koldrę, wstała i zeszła do kuchni po wodę.

Mama do perfekcji opanowała sztukę usuwania wszelkich śladów swojej obecności. Kuchnia zawsze wyglądała jak dekoracja, nie jak miejsce, w którym się żyje, oddycha i je. Nawet zlew był idealnie suchy. Bec uśmiechnęła się do siebie, wiedząc, że kiedy w kuchni zjawią się bliźniaki, wszystko się zmieni. Mijając stół, przejechała palcem po drewnianym blacie. Wczoraj przy kolacji miała ochotę o zjawie opowiedzieć mamie, ale ona jak zwykle była tak bardzo skupiona na synach, że na córkę nawet nie spoglądała. Czasem sprawiała wrażenie, jakby w ogóle zapomniała o jej istnieniu. Poza tym wątpliwe, żeby uwierzyła w opowieść o zjawie. Prędzej by uznała, że Rebeca kłamie albo straciła rozum.

Usłyszała trzask. W ułamku sekundy rzuciła się na podłogę i policzkiem przywarła do płytek. Po chwili dźwięk się powtórzył. To nie był strzał, nawet nie przypominał strzału. Bec podniosła się z ziemi i zerknęła przez zwiewne zasłonki. Sąsiad Max mocował obluzowaną sztachetę w płocie. Odetchnęła z ulgą. Oczywiście, że to nie broń. Strach ma wielkie oczy. Tyle że hałas przywołał wspomnienie lśniącej strzelby, którą odkryła w garderobie rodziców kilka miesięcy wcześniej, gdy chciała przymierzyć nowe czarne szpilki mamy i sprawdzić, czy da radę w nich chodzić. Broń wisiała za wieszakami, wyglądała na nową. Hebanowa kolba była nieskazitelnie czysta, długa lufa aż błyszczała. Poza telewizją czy filmem Bec nigdy jeszcze nie widziała broni. Kiedy ostatnim razem zaglądała do garderoby, na pewno jej tu nie było. Wyciągnęła rękę i poczuła pod palcami chłód stali.

Nalała wodę z kranu do szklanki, pociągnęła duży łyk i omal jej nie wypluła. Woda była tak gorąca, że prawie poparzyła język. Bec postawiła szklankę pod kran i czekała, aż polecą zimna woda, ale nie doczekała się. W porannym słońcu rury musiały bardzo się nagrzać. Z premedytacją postawiła szklankę na środku pustego blatu i poszła na górę przygotować się do pracy.

W drodze na przystanek autobusowy poczuła znajome już mrowienie karku. Napięła mięśnie ramion, żeby pozbyć się tego wrażenia. To musiała być gra jej wyobraźni. Wtedy kątem oka dostrzegła przesuwający się kształt. Gwałtownie określiła się na pięcie i napotkała spojrzenie chłopca. Miał jakieś dziesięć lat, rozwieszał na drzewach plakaty. Był ubrany w krótkie spodenki w piłki futbolowe. W słońcu Bec zobaczyła jasny meszek na jego nogach.

– Widziałaś go? – zapytał.

Bec spojrzała na plakat. Było na nim zdjęcie zaginionego maltańczyka. Chłopiec wieszał plakaty na każdym drzewie. Patrzył na nią z nadzieją w zaczerwienionych i spuchniętych oczach.

– Nie, przykro mi.

Odwrócił się, zanim zobaczyła łzy znowu napływające do oczu. Biedne dziecko.

– Ale będę się rozglądać! – zawołała.

Zerknął na nią przez ramię i posłał jej smutny uśmiech. A potem zaczął rwać taśmę, żeby powiesić plakat na kolejnym drzewie.

Bec przypomniała sobie, jak rodzice rozwiesili plakaty, gdy zaginęła ich kotka Molly. Tydzień później zjawili się w domu z niespodzianką, z czarno-białym kotkiem. Nazwali go Hektor. Bec zasmuciła myśl, że rodzice uznali Molly za łatwo zastępowalną. Zupełnie jakby oczekiwali, że Bec nie dostrzeże różnicy. To głupie, pomyślała, siadając na ławce na przystanku. Nikt tak naprawdę całkiem nie znika. Nadal przecież gdzieś istnieje.

Przez szybę obserwowała, jak Luke napełnia frytkownicę. Był zamyślony, miał pozbawione wyrazu spojrzenie. Nigdy nie umiała rozszyfrować jego myśli. Nawet jej się to podobało. Jego oczy zmieniały wyraz, kiedy spoglądał na nią. I to podobało jej się najbardziej. Były wtedy łagodne i lekko zmrużone. Zastanawiała się, jak Luke ją postrzega. Pewnie sądził, że budzi się z taką idealną skórą i pięknie ułożonymi włosami. Że jest młoda, ładna i lekko podchodzi do życia. Dręczyło ją pytanie, czy kiedykolwiek myślał o niej źle, czy uważał ją za naiwną albo głupią.

Kiedy zapukała w drzwi, a on podniósł wzrok, poczuła przyjemny dreszcz.

– Wpuść mnie! – zawołała. – Zaraz się tu ugotuję!

– A magiczne słowo? – odkrzyknął, idąc w jej kierunku.

– Palant! O to słowo chodziło?

Zaśmiał się i schylił, żeby otworzyć drzwi. Ten widok sprawił jej dziwną przyjemność. Gdyby nie szkło między nimi, przytuliłaby jego głowę do siebie. Luke wstał i pociągnął do siebie drzwi. Zawstydzona poczerwieniała pod wpływem tych myśli.

– Chociaż raz jesteś o czasie – powiedział Luke.

– Tylko dla ciebie – rzuciła, mijając go z nadzieją, że nie zauważył jej pąsowych policzków. Rzuciła torebkę na zapleczu i zwlekała z wyjściem na salę,

aż zyskała pewność, że rumieńce zniknęły.

– Myślisz, że będzie dziś tłok? – zapytała, manipulując przy maszynie do coli.

– Osobiście nie wyobrażam sobie nic bardziej odrażającego niż smażone jedzenie w czterdziestostopniowym upale.

Kiedy otworzyli drzwi, na zewnątrz czekała już grupka pierwszych klientów. Matty wpadł do kuchni, w biegu wiążąc fartuch.

– Przepraszam, stary – rzucił w stronę Luke'a.

– Wiesz, że mnie to nie obchodzi – odparł Luke.

– Ciepłe naleśniki – warknął pierwszy klient, mężczyzna w średnim wieku. – I syrop klonowy, ale obok, nie na naleśnikach.

– Oczywiście. Płaci pan trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów. – Bec próbowała się uśmiechać.

Po przetoczeniu się pierwszej fali klientów przy kasie zrobiło się spokojnie. Ludzie siedzieli przy stolikach i w milczeniu opróżniali tace.

– Czemu on zawsze prosi o syrop obok naleśników? – spytała Bec przyciszonym głosem, patrząc na Luke'a. – Jest tu codziennie rano. Wie, że serwujemy gotowce do podgrzania.

– Bo to snob. – W przeciwieństwie do niej Luke nie zniżył głosu. – Bo na tym przedmieściu ludzie lubią udawać bogatych, nawet jeśli jedzą w pieprzonym McDonalddie.

Bec nigdy wcześniej nie myślała o tym w ten sposób. Patrzyła, jak matka cicho ruga swoje dziecko za rzucanie w nią frytkami i rozgląda się po sali, czy ktoś ją obserwuje. W kierunku lady jednak nie spojrzała. Pewnie nie dba o to, że widzi ją obsługa, pomyślała Bec. Na opinii pracowników McDonalda jej nie zależy. Luke miał rację. Ci ludzie uważali się za lepszych od niej i nie szanowali jej pracy, chociaż bywali tu regularnie. Wraz z tą myślą pojawiło się u Bec pragnienie sukcesu, dokonania czegoś nadzwyczajnego i pokazania im, gdzie ich miejsce. Nie bardzo jednak wiedziała, co chciałaby robić. Była dobra z większości przedmiotów w szkole, ale w niczym wybitna. Czasem rozmawiała z Lizzie o założeniu firmy projektanckiej. Wszystko zaczęło się od złośliwych żartów. Siedziały w kawiarni U Gusa, uważnie obserwowały przechodniów, a potem wspólnie zastanawiały się, jak ubrałyby daną osobę, wymyślały styl pasujący do sylwetki, kolory pasujące do karnacji. Teraz traktowały te rozmowy bardzo poważnie.

Luke i Matty stali przy kuchni i przerzucali się pieprzonymi żartami, których nie do końca rozumiała. Rozpaczliwie pragnęła uczestniczyć w ich rozmowie, ale nie chciała zachowywać się jak irytująca młodsza siostra. Zastanawiała się, skąd u nich taki dobry nastrój mimo długiego stażu pracy w tym miejscu. Luke miał dwadzieścia lat, Matty przynajmniej dwadzieścia siedem. Powiedział jej kiedyś, że uczył się kreatywnego pisania na uniwerku. Opublikował w prasie kilka

opowiadań, napisał nawet powieść, ale ponieważ jego kariera pisarska utknęła w martwym punkcie, po prostu przestał pisać. Zasmuciła ją ta rezygnacja z marzeń. Za smutniejszy uznała jednak przypadek Luke'a. Luke był bardzo inteligentny, ale nie poszedł na studia. Czasem sprawiał wrażenie, jakby wycofał się z życia. Bec była pewna, że kiedy wreszcie zostaną parą, przekona go, że wystarczy odrobina wysiłku, a życie może stać się niewiarygodnie interesujące.

– Zawsze się zastanawiam, o czym tak dumasz – zagadnął ją Luke, wpatrując się w nią intensywnie.

Nie czerwień się, nie czerwień się, powtarzała sobie w duchu.

– O twoim tyłku – odparła wolno. – Nie mogę przestać myśleć o twoim tyłku.

– Ale z ciebie zboreznica – powiedział.

Z kuchni dobiegł donośny śmiech Matty'ego. Luke odwrócił się szybko, żeby wyjąć frytki z oleju, ale Bec zdążyła zauważyć jego pąsowiejące policzki.

Z każdą godziną upał się potęgował. Matty pocił się nad burgerami i od czasu do czasu wtrącał jakąś uwagę do rozmowy Bec i Luke'a. Bec lubiła Matty'ego, ale w jego obecności musiała ciągle uważać na słowa, powściągać chęć do flirtu i nie zdradzać swoich uczuć. Mimo tych przeszkód praca z Lukiem zawsze wprawiała ją w euforię. Matty i Luke zwracali się do niej jak do dorosłej, jakby dorównywała im rozumem, a nie była głupawą dziewczynką, która nie ma pojęcia, o czym rozmawiają, chociaż czasem rzeczywiście tak się czuła. Nie przejmowała się tym. Wystarczyło jej, że traktują ją jak równą sobie. Zapamiętywała rzeczy, o których nie miała pojęcia, żeby po powrocie do domu poczytać o nich w internecie.

Pod jednym ze stołów zauważyła plecak. Czarny, pękaty, bez logo znanych firm. Starła się zignorować ten fakt. To pewnie własność jakiegoś zapominalskiego klienta. Zajęła się z Lukiem zabawą w wyszukiwanie najgorszych tatuaży. Ludziom, którzy zwykle nie odsłaniali ciała, niemiłosierny skwar nie pozostawił wyboru. Teraz prezentowali światu druty kolczaste na pomarszczonych ramionach i wyblakłe delfiny na kostkach. Po trzydziestu minutach plecak nadal leżał pod stołem. Bec wyobrażała sobie siłę ewentualnego wybuchu, ich szczątki rozrzucone po sali i wymieszane ze szczątkami innych ludzi.

Wskazała plecak Luke'owi. Kiedy ruszył w kierunku stolika, złapała go za ramię.

– Co jest? – zapytał.

– Nie wiem. Nie chcę wyjść na wariatkę, ale ten widok mnie przeraża.

– Jeśli coś zauważysz, zgłoś to! – zawołał z kuchni Matty, naśladowując intonację lektora ze spotu telewizyjnego.

– To nie to. Chodzi o to, że... – umilkła. Poczuli się jak idiotka. Może widziała za wiele programów informacyjnych. W dniu zamachów w szkole cały

dzień oglądali wiadomości.

Matty wyszedł z kuchni, ocierając pot z czoła. Patrzył na nią dziwnym wzrokiem. W tej chwili jego potężna sylwetka budziła przestach.

– Nie bądź głupia. Te spoty to czysty rasizm – powiedział.

– O czym ty mówisz? To mogło się zdarzyć. To się już zdarzyło!

Matty wziął głęboki oddech i oparł dłonie na kontuarze. Był zły.

– Eliminujemy Aborygenów z życia społecznego, odsyłamy uchodźców do obozu w Villawood, a tych, którzy już dostaną pozwolenie na pobyt, atakujemy rasistowską propagandą. To powrót do polityki „Białej Australii”.

W tej chwili Bec naprawdę czuła się jak głupia dziewczynka. Zupełnie nie rozumiała, o co Mattowi chodzi.

– Jeśli wierzysz w Sąd Ostateczny – ciągnął Matt – to wszyscy dostaniemy to, na co zasłużyliśmy. Z powierzchni ziemi zmiecie nas i pochłonie ocean. To, co robimy teraz, jest odrażające, a wszystko idzie w jeszcze gorszą stronę.

– A może połknie nas wielki wieloryb? – rzucił Luke.

– Moby Dick! – zawołała Bec i oboje wybuchnęli śmiechem.

Matt bez słowa poszedł do kuchni. Bec żałowała, że nie są z Lukiem sami. Matt trochę ją przestraszył tyradą o rasizmie i wizją pochłaniającego ich oceanu. Słyszała już od niego równie płomienne przemowy, jak wtedy, kiedy nazywał Johna Howarda bigotem i homofobem. Jej rodzice też nie przepadali za premierem. Właściwie nikt go nie lubił, ale Matt był w swoich ocenach bezkompromisowy.

Do środka wszedł spocony mężczyzna. Miał spaloną słońcem twarz. Odetchnął z ulgą na widok plecaka i zarzucił go sobie na ramię. Luke zrobił minę i rzucił Bec znaczące spojrzenie. Poczuli się jak idiotka. Nie lubiła złej atmosfery w pracy. Podeszła do Matty’ego i oparła głowę o jego ramię.

– Przepraszam – powiedziała. – Te spoty w telewizji strasznie mnie wystraszyły. Jestem głupia.

Matt objął ją ramieniem. Przywarła policzkiem do jego szerokiej piersi.

– Nie przepraszaj, Becky. Teraz mnie jest głupio. Jesteś bystra, dlatego czasem zapominam, jaki z ciebie dzieciak.

Nie była pewna, czy to komplement, ale w silnym uścisku Matta czuła się bezpiecznie, jakby nigdy nie miało jej spotkać nic złego.

– Hej, a ja? – Luke podszedł do nich i zamknął w uścisku.

– Wracajcie do pracy. – Matt łagodnie odsunął ich od siebie. – Jest za gorąco na takie przytulanki!

Bec wróciła za kontuar z szerokim uśmiechem na twarzy. W pracy mogła być serdeczna i naturalna, zupełnie inna niż w domu.

– W przyszłym miesiącu mam urodziny – zwróciła się do Luke’a. – Co mi dasz w prezencie?

Siedemnaście lat. Kończyła siedemnaście lat, a to oznaczało, że Luke

wreszcie będzie mógł ją zaprosić na randkę. To byłby najwspanialszy prezent.

– Szczerze mówiąc, już mam coś dla ciebie – odparł. – Zaczekaj chwilę.

Bec kręciło się w głowie od domysłów, gdy Luke wrócił z mopem w rękach.

– Wszystkiego najlepszego z okazji nadchodzących urodzin! W damskiej toalecie jest potop – oznajmił.

Mimo najszczerzych chęci nie wymyśliła żadnej ciętej riposty, złapała więc mopa i pobiegła do toalety.

Woda z odkręconego kranu przelewała się przez brzeg umywalki na podłogę. Brodząc po wodzie, Bec podeszła do umywalki i zakręciła kran. Jakaś kobieta zostawiła odkręconą wodę, inna to zobaczyła, ale zamiast natychmiast zareagować, poszła z zażaleniem do Luke'a. Wytarcie zalanej podłogi mogło potrwać całą wieczność. W łazience unosiła się przykra woń. Tutaj klimatyzacja nie docierała.

Bec przez godzinę zbierała wodę. Raz po raz w drzwiach stawały klientki, które chciały skorzystać z toalety. Informowane przez Bec o zalaniu, z niesmakiem mierzyły ją wzrokiem od stóp do głów i demonstracyjnie wychodziły, jakby to ją winiły za całą tę sytuację. Bec cierpiała na myśl o swoim wyglądzie. Była brudna, na domiar złego zaczęła się pocić. Żalotne. Nie taką chciała się oglądać. Gdyby po drugiej stronie lustra naprawdę była kamera, to Bec zdecydowanie by wołała, żeby w tej chwili nikt jej nie filmował albo żeby akurat była przerwa na reklamę. To był jeden z tych rzadkich momentów, kiedy z całego serca nienawidziła tej pracy.

W końcu podłoga została wytarta do sucha. Przed wyjściem z łazienki Bec sprawdziła swoje odbicie w lustrze. Wytarła rozmazany tusz do rzęs pod oczami i poćwiczyła kilka uśmiechów. Ciągle wyglądała nieźle. Nie tak świeżo jak wcześniej, ale zdecydowanie nie jak ktoś, kto przez godzinę zmagał się z zalaną podłogą w łazience. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała głos Lizzie. Przyjaciółka zaczynała zmianę. A to oznaczało, że jej czas za ladą w towarzystwie Luke'a dobiegł końca. Odstawiła mopa i podeszła do kontuaru. Cała trójka zamilkła i spojrzała na nią.

– Co? – zapytała. – Cuchnę sikami?

– Przepraszam cię. – Lizzie rzuciła jej niepewne spojrzenie. – Myślałam, że powiedziałaś im o zjawie.

– Liz! – zawołała Bec. Już знаła powód ich dziwnych spojrzeń. Tak intensywnie myślała o Luke'u, że zjawa wyleciała jej z głowy.

– Wszystko w porządku? – zapytał Luke. – To zabrzmiało strasznie.

– Nic mi nie jest.

– Jesteś pewna, że to nie złudzenie wzrokowe, zły sen albo coś podobnego?
– zapytał Matty.

– Na pewno. Nie musicie mi wierzyć, ale wiem, co widziałam.

Chyba uznali ją za wariatkę, ale cóż, stało się. Lizzie miała za długi język. Bec postanowiła bardziej ważyć przy niej słowa.

– Ja ci wierzę – powiedział Luke. – Skoro ty jesteś pewna, to ja też.

– Naprawdę? – serce Bec zabiło mocniej.

– Naprawdę – potwierdził.

Lizzie odwróciła się od nich. Bec miała nadzieję, że zrobiła to w poczuciu winy.

W tej samej chwili do środka weszła rodzina. Wszyscy mieli czerwone twarze i zjadli się kłócili. Nie mogli wybrać bardziej nieodpowiedniego momentu. Luke przyjął od nich zamówienie, Matt wrócił do grilla. Zbliżały się popołudniowe godziny szczytu, klientów przybywało. Lizzie złowiła spojrzenie Bec zza pleców Luke'a.

– Przepraszam – powiedziała bezgłośnie.

Bec wiedziała, że to szczerze przeprosiny.

Kiedy ruch zmalął, skorzystali z okazji, żeby dokończyć rozmowę.

– Wczoraj coś mi przyszło do głowy. Może to głupie, ale warto spróbować – zaczęła Lizzie.

– O czym mówisz? – zapytała Bec.

– Co robią ludzie na filmach, kiedy dzieją się takie rzeczy? – Bec już wiedziała, co zaraz usłyszy. – Potrzebujemy egzorcyzmów! – zawołała Lizzie.

Z kuchni dobiegł głośny jęk. No cóż, akurat Matty nie zadeklarował wiary w słowa Bec.

– Sama nie wiem – powiedziała z ociąganiem Bec.

– Czemu nie? Najwyżej nie zadziała – przekonywała Lizzie.

– Warto spróbować – poparł ją Luke.

Zaskoczył Bec. Zawsze uważała go za sceptyka.

– Po prostu chcę zobaczyć twoją sypialnię – dorzucił.

– Zamknij się! – uderzyła go lekko, ale nie mogła opanować uśmiechu.

– Pomyśl o tym – nie dawała za wygraną Lizzie.

– Dobrze. Jeśli to się powtórzy, wtedy zrobimy egzorcyzmy – powiedziała z namysłem Bec – ale trzymajmy kciuki, żeby się nie powtórzyło.

Lizzie uniosła dłonie ze ściśniętymi kciukami. Bec nie chciała nawet myśleć o powtórce. Nie wyobrażała sobie ponownego przeżywania tego paraliżującego strachu. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Spojrzała na zegarek. Jej zmiana dobiegła końca.

– Na dzisiaj skończyłam. Nadal masz ochotę na film wieczorem? – zwróciła się do Lizzie.

– „Złap mnie, jeśli potrafisz”? Jasne!

– Załóżę się, że oglądacie to tylko dla Leona – powiedział Luke, opierając się o kontuar.

– Nie! – zawołała Bec.

– Tak! – zapiszczała Lizzie. – Bec, nie udawaj, że nie miałas w pokoju

plakatów z Leonardem DiCaprio. Sama widziałam!

– Cicho! Film jest świetny, to wszystko.

Luke uniósł brwi. Bec kusiło, żeby jego też zaprosić, ale zmieniła zdanie. Postanowiła poczekać, aż sam zaproponuje prawdziwą randkę. Poszła na zaplecze, przebrała się w letnią sukienkę i chwyciła torebkę.

– Na razie, ludzie! – zawołała na pożegnanie.

Żałowała, że musi otworzyć szklane drzwi i wyjść prosto w objęcia palącego popołudniowego słońca.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

2014 r.

Mimo słońca powietrze jest lodowate. Na ulicy panuje cisza. Słysząc tylko szelest suchych liści unoszonych wiatrem i chrzęst żwiru pod moimi nogami. Gdybym nadstawiła uszu, usłyszałabym także cichy warkot silnika samochodu Andopolisa. Towarzyszy mi przy odtwarzaniu ostatniej drogi Bec do domu. Ignoruję go jednak i cieszę się chwilą. Jest chłodniej niż wczoraj. Chowam dłonie w kieszeniach kurtki.

Matka chciała ją wyrzucić, bo podszewka była poplamiona moją krwią. Stara kurtka Rebeki wisiała w szafie, jasnoniebieska z kapturem obszytym sztucznym futerkiem. Ta dziewczyna miała zły gust, chociaż pewnie dziesięć lat temu takie rzeczy były w modzie. Tego nie pamiętam. Może powinnam włożyć tę kurtkę – nosiłam już przecież jej rzeczy z bielizną włącznie – ale dobrze się czułam w czymś swoim. Chociaż szczerze mówiąc, kurtka nie była moja. Należała do Petera.

W zeszłym roku był moim chłopakiem. Miał szopę wybielonych słońcem włosów na głowie i mnóstwo entuzjazmu. Jako para bezrobotnych spędzaliśmy każdy słoneczny dzień na plaży. Bawiłam się wtedy w surfowanie. W szafie miałam mnóstwo barwnych szortów i japonek. Chociaż dziewczyny właściwie nie surfowały, tylko siedziały na plaży i obserwowały swoich surfujących chłopaków. Większości to wystarczało. Wkładały bikini i pracowały nad opalenizną. Ja szybko miałam tego dosyć. Kupiłam deskę i poprosiłam Petera, żeby nauczył mnie pływać, ale nie starczyło mu cierpliwości. Pożyczył mi kurtkę, kiedy marzłam przy ognisku na plaży. Potem przyłapałam go na obściskiwaniu jednej z dziewczyn w bikini. Zatrzymałam kurtkę nie dla wspomnień o Peterze, ale ponieważ wiedziałam, że nie będzie go stać na kupno drugiej. Każdego chłodnego dnia zimy rozgrzewała mnie świadomość, że on marznie.

Teraz owijam się nią szczelniej, wdychając słodką woń ogrodów różanych i skoszonych trawników. To, że się jest kimś innym, bywa ekscytujące, ale także wyczerpujące. Cieszę się chwilą, w której nie muszę nikogo udawać.

– Stój! – woła Andopolis. Zatrzymuje się przy krawężniku, wysiada z auta i rusza w moim kierunku. – Przypomniało ci się coś? – krzyczy.

Jestem w połowie ulicy, od domu Rebeki dzieli mnie pięć domów. Czekam z odpowiedzią, aż Andopolis podejdzie bliżej.

– Pamiętam strach.

– Co jeszcze? – pyta.

– Myślałam, że jestem sama.

– Ale nie byłaś, tak?

Myślę o czarnej furgonetce.

- Pamiętam dźwięk przyspieszającego samochodu.
- Mów dalej. – W jego ściszym głosie wyraźnie słyhać ekscytację.
- Pamiętam pisk opon.
- A potem?
- Ciemność.
- A potem?
- To wszystko.
- Pamiętasz ten wóz? Markę i model? Kolor?

Mam ochotę powiedzieć, że to czarna furgonetka, ale rezygnuję z tego kłamstwa. Usiłuję nie myśleć o esemesie. Musiał go wysłać kierowca furgonetki. Czy to możliwe, żeby to był porywacz Bec?

Jestem rozdarta. Jeśli podam Andopolisowi numer, z którego wysłano wiadomość, on znajdzie kierowcę, a przy okazji może odkryć prawdę o Bec i o mnie.

- Nie. Nic a nic – mówię w końcu.
- Na pewno?
- Tak.

Spogląda na mnie przenikliwie, jakby próbował wyczytać coś więcej ze zmrużenia oczu albo skrzywienia ust. Zupełnie jakby podejrzewał mnie o kłamstwo.

– Skąd wiadomo, że to się stało właśnie tutaj? – pytam.

– Namierzyliśmy twój telefon i znaleźliśmy go tu – Andopolis wskazuje krzew róžany po prawej stronie. – Leżał pod tym krzewem.

Więc to było tutaj, dokładnie w miejscu, w którym teraz stoję. Wyobrażam sobie, jak wyglądała ta ulica w nocy, jak waliło serce Bec, gdy obok niej zatrzymało się auto, walkę, którą stoczyła. Była tak blisko domu.

Wygląda na to, że historia miała się powtórzyć. Wmawiam sobie, że furgonetka wcale za mną nie jechała. Kierowca pewnie zmierzał w tym samym kierunku co ja i miał niezły ubaw, kiedy zaczęłam uciekać. A wiadomość mogła być pomyłką. Na pewno. Przecież nikt nie wiedział, że Bec jest w domu. Między tymi ludźmi nie mogło być żadnych powiązań. To ja zaczynałam popadać w paranoję.

- Wsiadaj, zawiozę cię do domu – mówi Andopolis.
- Przecież to blisko – oponuję.
- Wsiadaj, Bec.

Posłusznie podchodzę do auta i siadam na miejscu dla pasażera. Andopolis zajmuje miejsce za kierownicą. Zamyka drzwi, ale nie uruchamia silnika.

– Wiem, że nie chcesz spotkać się z psychologiem – mówi.

Milczę. Tylko nie to.

– Umówiłem ci wizytę u hipnotyzerki. Ona może pomóc ci odzyskać pamięć.

Hipnoza to najgorsze rozwiązanie z możliwych. Muszę szybko coś wymyślić. Jeśli naprawdę mnie zahipnotyzują, od razu przyznam się do wszystkiego! Biorę głęboki oddech.

– Tak dobrze znowu być w domu – mówię lekko drżącym głosem. – Kiedy myślę o tym... to jest jak wielka czarna dziura wypełniona strachem i bólem. Nic więcej tam nie ma. Myślenie o tym jest jak powrót do tej dziury.

Andopolis przygląda mi się uważnie.

– Czy to znaczy, że nie chcesz wiedzieć, co się stało?

– Nie! Ja tylko... – Wiem, że o wiele łatwiej by mi się myślało, gdyby przestał się tak gapić. – Myślę, że w tej chwili byłoby to zbyt bolesne. Na razie wystarczy mi to, co jest.

Andopolis milczy, nie spuszczać ze mnie oczu. Ciekawe, czy właśnie tak patrzył na Lizzie podczas tamtego przesłuchania.

– Myślałem, że twoją twarz znam lepiej od własnej. Spędziłem mnóstwo czasu, oglądając twoje zdjęcia. Wpatrywałem się w twoje oczy i próbowałem odkryć twoje tajemnice. Wiedziałem, że jeśli cię znajdę, wszystkiego się dowiem. A teraz patrzę na ciebie i mam wrażenie, że wcale nie znam twojej twarzy.

Niech to szlag! Andopolis mówi przyciszonym głosem, ale i tak dostaję gęziej skórki. Słyszę w nim wzbierającą wściekłość, nad którą ledwie panuje. Mniej bym się bała, gdyby wrzeszczał.

– Jednak mnie pan nie znalazł – mówię. – Czekałam, ale nikt nie przyszedł mi na ratunek. Sama musiałam się ratować. Teraz niech mi pan da spokój.

– Przykro mi, Rebeco, ale nie mogę. Nie odpuszczę, póki nie dowiem się, kogo chronisz.

– Nikogo! – wybucham.

To kłamstwo i zastanawiam się, czy Andopolis to widzi. Być może chronię mordercę Rebeki.

Wysiadam z samochodu i biegnę do domu. Gotuję się ze złości. Nie dlatego, że detektyw do pewnego stopnia mnie przejrzał, ale z powodu jego uporu. Bardziej mu zależało na znalezieniu odpowiedzi niż na samej Bec. Nie był porządnym facetem dręczonym poczuciem winy. Bardzo się co do niego pomyliłam. W jego sposobie mówienia było coś wrednego. Nie wiedziałam, czy jest zły na siebie, czy na mnie. Może jedno i drugie. Nieważne. Ta sprawa doprowadziła go do ostateczności. Z jakiegoś powodu sądził, że tylko wtedy, gdy ją rozwiąże, odzyska spokój. Nigdy nie wierzyłam w odkupienie grzechów, ale on najwyraźniej tak. Oczekiwał tego ode mnie, ale ja nie mogłam mu tego dać.

Przemawiał za mną tylko test DNA, niezbity dowód, że jestem Rebecą. Gdyby nie to, Andopolis rozgryzłby mnie wcześniej.

Przeskakuję po dwa schody naraz. Co za egoista z tego Andopolisa! Nienawidziłam go, ale nie mogłam tego okazać. Musiałam znowu mieć go po swojej stronie. Skoro uważał, że kogoś chronię, mógł zacząć drażnić temat, zadawać pytania, na które nie znam odpowiedzi.

Z impetem otwieram drzwi sypialni i widzę odwróconą plecami matkę, która podskakuje przestraszona.

– Co robisz? – pytam, kierując złość na nią. Dlaczego weszła do mojego pokoju? Czy znalazła papierosy pod łóżkiem? Czy ją też naszły wątpliwości?

– Chciałam ci posprzątać, skarbie – mówi, okręcając się na pięcie, a ja dostrzegam starannie posłane łóżko. – Przepraszam.

– To ja przepraszam. Nie spodziewałam się... – Nie wiem, co powiedzieć.

– Masz rację, powinnam najpierw zapytać. – Spuszcza oczy, kuli się ze strachu, jakby spodziewała się ciosu.

Wyciągam do niej rękę, żeby ją przytulić, i czuję, jak tężeje.

– Jestem wdzięczna, że posprzątałaś mój pokój. Jesteś najlepszą mamą na świecie. – Jej ciało lekko się rozluźnia. – Straciłam panowanie nad sobą, bo ręka znowu mnie boli.

– Och, Becky, powinnaś była o tym powiedzieć. – Odsuwa się, bierze mnie za rękę i uważnie ogląda zabandażowany fragment. – Na jutro masz umówioną wizytę w szpitalu. Może zadzwonię i przelożę na dzisiaj?

– Nie, nie trzeba. Mogę poczekać do jutra. – Kompletnie zapomniałam o wizycie w szpitalu. Mam zgłosić się na zmianę opatrunku, ale nie bardzo mi się to uśmiecha. Nie chcę oglądać swojej rany.

– W takim razie dam ci ibuprofen i zaparzę herbaty, zanim pójdziesz do Lizzie.

– Dobrze. Dzięki, mamo.

Wychodzi z pokoju i delikatnie zamyka za sobą drzwi. Mam wyrzuty sumienia, że tak się do niej odezwałam, ale zareagowała niewspółmiernie do sytuacji, jak wtedy w kuchni, gdy upuściła kubek.

Teraz, kiedy zyskałam nowe życie, rozpaczliwie chciałam je zatrzymać. Tak długo czułam się zagubiona i samotna, że zaczęłam ten stan uznawać za normalność, za mój zwykły dzień powszedni. W moim pojęciu wolność i bezpieczeństwo wykluczały się nawzajem, ale teraz było inaczej. Cudownie było mieć przy sobie rodzinę. Cudownie było znowu mieć matkę. Zaczęło mi naprawdę na niej zależeć. Właśnie się dowiedziałam, że najłatwiej się nią steruje, okazując złość. Chociaż mam nadzieję, że nie będę musiała stosować tego narzędzia.

Opadam na kolana i zaglądam pod łóżko. Paczka papierosów nadal tam leży, ale i tak muszę znaleźć lepszy schowek. Jako nastolatka chowałam prezerwatywy w skarpetkach. Może powinnam wykorzystać to doświadczenie? Otwieram szufladę z bielizną Bec i wyjmuję parę szkolnych podkolanówek. Kiedy je

rozdzielam, coś ciężkiego wypada spomiędzy nich na podłogę. Schylam się i po chwili już wiem, co to. Specjalny klips zabezpieczający ubrania przed kradzieżą. Przy próbie nieuprawnionego usunięcia rozpryskuje atrament z umieszczonego w środku zbiorniczka. Dokoła klipsa widać idealnie obcięty wąziutki pasek materiału. Uśmiecham się na ten widok.

Chowam klips do skarpetki i przeglądam resztę szuflady. W prawym rogu znajduję zdjęcie złożone w mały kwadracik. Rozkładam je i widzę szeroko uśmiechniętą Rebecę, trzymającą na rękach pręgowanego kota i przyciskającą policzek do jego łebka.

Siadam na łóżku i wpatruję się w fotografię. Kot na zdjęciu to nie Hektor, który jest czarno-biały. To pewnie jego poprzednik. Dostrzegam obrózkę z wygrawerowanym imieniem zwierzaka. Molly. Dziwne, że Bec trzymała to zdjęcie w ukryciu. Ze smutkiem odkładam je na miejsce. Właśnie prześledziłam ostatnie kroki tej dziewczyny. Jeśli naprawdę została uprowadzona z ulicy, prawdopodobnie już nie żyje. Jej rodzina sądzi, że wróciła do nich, ale ona nigdy nie wróci. Przez chwilę zastanawiam się, czy jej ciało, a raczej kupka kości, nie leży gdzieś w pobliżu. Wzdrygam się. Lepiej nie zaprzętać sobie tym głowy.

Ponownie wybieram numer, z którego dostałam tamtego esemesa. I znowu słyszę w słuchawce informację, że „numer wyłączony lub poza zasięgiem”. Obracam telefon w dłoni. Rozważam, czy wysłać esemesa. W końcu dochodzę do wniosku, że lepiej nie igrać z ogniem. Ktokolwiek się za tym kryje, nie chcę go rozjuszyć.

Tak naprawdę moim największym zmartwieniem jest w tej chwili Andopolis. Facet traci do mnie cierpliwość. Co gorsza, zaczyna wątpić. Człowiek w furgonetce nie dopadnie mnie, jeśli będą mnie otaczać bliscy i policjanci, ale jeden fałszywy ruch i Andopolis wsadzi mnie za kratki, i to na długo. Musiałam coś mu dać. Jakiś szczegół, który odwróciłby jego uwagę ode mnie.

Wpisuję imię i nazwisko Rebeki do wyszukiwarki w telefonie. Wyskakują niezliczone strony. Losowo klikam w jedną z nich. Nagłówek oznajmia:

Policja obawia się, że ciało Rebeki Winter uległo spaleni i nigdy nie zostanie odnalezione.

Otwieram link z artykułem i widzę zdjęcie Andopolisa z konferencji prasowej. Stoi na mównicy. Ma kruczoczarne włosy i wygląda na zmęczonego. Przebiegam wzrokiem artykuł.

Starszy śledczy Vincent Andopolis oświadczył dzisiaj podczas konferencji prasowej, że ciało Rebeki Winter mogło ulec spaleni w pożarze buszu, jaki miał miejsce w okolicach Canberry osiemnastego stycznia.

– Nadal toczy się śledztwo w celu wyjaśnienia, czy Rebeca opuściła dom z własnej woli, czy padła ofiarą przestępstwa – powiedział. – Jednak zważywszy na lokalizację pożarów w pobliżu domu Rebeki Winter oraz czas jej zniknięcia, policja

bierze pod uwagę możliwość, że jej ciało nigdy nie zostanie odnalezione.

Wyobraźnia podsuwa mi obraz jej twarzy, tak podobnej do mojej, przesłoniętej płomieniami. Spalonej. Nie chcę sobie tego wyobrażać.

Złożyłem obietnicę rodzinie Winterów, że jeśli ich córka nadal żyje, odnajdę ją.

Starszy śledczy Andopolis nie odpowiedział na pytanie, czy w tej sprawie są jacyś podejrzani.

Pragnę tylko jednego – zostać w domu. Pobyć z mamą, może nawet coś z nią ugotować. Jestem wyczerpana, wręcz wykończona. Ramię znowu pulsuje bólem. Nadchodzi jednak pora spotkania z Lizzie. Wczoraj nie zabawiła długo. Stała w drzwiach, płakała, raz po raz powtarzała, że musi wracać do pracy, ale nie odchodziła. W końcu wymogła na mnie obietnicę, że wpadnę do niej dzisiaj. Adres przysłała mi esemesem wraz z uśmiechniętą buźką. Nie mam na to ochoty, ale wszyscy dookoła najwyraźniej uważają, że perspektywa spotkania z Lizzie powinna mnie cieszyć. W końcu była najlepszą przyjaciółką Rebeki. Unikanie jej wzbudziłoby podejrzenia.

Ubieram się szybko. W szafie znajduję najpoważniejszą z sukienek Bec. Wczoraj Lizzie wyglądała doskonale mimo ciekącego nosa. Byłoby dziwnie, gdybym zjawiła się u niej w dziewczynskich ciuchach. Postanawiam wziąć papierosy. To łatwiejsze niż chowanie ich w pokoju. Może nawet nadarzy się okazja do wypalenia jakiegoś w samotności. Kiedy schodzę, w kuchni czeka na mnie herbata. Obok leży fiolka ibuprofenu.

– Zawieziemy cię do Lizzie zamiast mamy, dobrze? – mówi jeden z bliźniaków, stając w drzwiach kuchni.

– Nie mieliśmy okazji spędzić z tobą czasu! – woła ten drugi z salonu.

– To na pewno nie kłopot? – pytam. Liczyłam, że wykorzystam ciszę podczas jazdy z mamą i obmyślę strategię na spotkanie z Lizzie.

– Nie, to po drodze – odpowiada pierwszy, opierając się o framugę. – Jadę na spotkanie z kumplami ze studiów medycznych, którzy pracują w miejscowym szpitalu.

W takim razie to Andrew.

– Dobra, dzięki. – Szybko popijam tabletki przeciwbólowe wodą. Herbatę zostawiam nietkniętą. Stając w drzwiach wyjściowych, widzę, jak mama wyciera kurze z nieskazitelnie czystych półek w salonie.

– Pa, mamó – rzucam.

– Pa – odpowiada, nie patrząc na mnie. Zatrzymuję się na chwilę, ale ona kontynuuje sprzątanie, jakby mnie tu nie było.

– Chodź – słyszę głos Paula za plecami.

Odwracam się od mamy i wychodzę z domu. Idę podjazdem do samochodu. Andrew zostawia mi miejsce z przodu obok Paula, a sam zajmuje tylne siedzenie.

Korci mnie, żeby zapalić.

Paul przechyla się i delikatnie dotyka mojego policzka, na którym widać żółtawy ślad sińca, i pyta:

– Boli?

– Nie.

– To dobrze. – Uśmiecha się.

– Nie czujesz się dziwnie po tylu latach? – pyta Andrew, gdy Paul wyjeżdża z podjazdu.

– Jest super. – Odwracam się i patrzę na niego. Ma włosy zaczesane do przodu. Paul ma fryzurę ulizaną, włosy gładko zaczesane do tyłu. Muszę to zapamiętać. Gdyby nie ten szczegół, wyglądałoby dokładnie tak samo, z piegami włącznie.

– Bardzo nam ciebie brakowało – mówi Andrew.

Kolejny raz uderza mnie myśl, że jest bardzo przystojny. Obaj są przystojni. Odwracam głowę, bojąc się ewentualnych rumieńców. Mam być ich siostrą, nikiem innym.

– Ja też za wami tęskniłam – mówię.

– To dobrze – odzywa się Paul. – Nie chcemy, żebyś znowu zniknęła.

Spoglądam na jego profil. Dziwią mnie jego słowa. Zupełnie jakby sądził, że Bec świadomie postanowiła odejść. W końcu rozumiem powód, dla którego zachowywali dystans. W głębi serca musieli wierzyć, że Bec uciekła. Uznali, że siostra ich porzuciła.

– Nie chciałam was zostawić – mówię łagodnie. – Nie miałam wyboru. – Gdy obaj milczą, dodaję: – Kocham was obu jak nikogo na świecie. – Staram się, by w moim głosie były i cierpienie, i miłość.

– Wiemy. My ciebie też kochamy – mówi Paul.

– Chodź tu! – woła Andrew, przysuwa się do mojego siedzenia i obejmuje mnie od tyłu. – Ale się ckliwie zrobiło – szepcze mi do ucha.

Pod wpływem jego dotyku czuję mrowienie. To niedobrze, więc staram się na tym nie skupiać.

– Tak. Już myślałem, że za chwilę Andrew zaleje się łzami.

– A ty? Pamiętam, jak płakałeś za Bec po nocach, kiedy byliśmy mali – odgryza się Andrew i obaj wybuchają śmiechem. Wydaje mi się to nieco okrutne, ale wtóruję im. Nie chcę stracić tej nowo odkrytej solidarności.

Paul zatrzymuje się przed niewielkim białym domkiem z cegły.

– Na razie! – rzuca.

Domyślam się, że jesteśmy przed domem Lizzie.

– Do zobaczenia! – mówię, wysiadając z auta. Z jednej strony czuję ulgę, że kończy się moje sam na sam z braćmi, z drugiej boję się tego, co nastąpi.

Podchodząc do frontowych drzwi, czuję ściskanie w gardle. Snuję

gorączkowe rozważania o roli, w jakiej Lizzie chciałaby mnie zobaczyć. Pamiętam te dziewczyny w szkole, które miały najlepsze przyjaciółki. Zawsze trzymały się razem, miały swoje tajemnice. Jak mogłabym udawać coś takiego?

W nagraniu, które pokazał mi Andopolis, Liz powiedziała, że dostrzegła u swojej przyjaciółki zmianę w postawie, w sposobie poruszania się. To oznaczało, jak bardzo były ze sobą zżyte. Na moją korzyść działało dziesięć lat rozdzielania, mimo to spodziewam się trudności. Zastanawiam się, czy zdążę wypalić papierosa przed domem Lizzie, ale ona otwiera mi drzwi, zanim jeszcze zapukałam.

– Cześć, kochana! Usłyszałam twoje kroki na ścieżce. Wejź.

Mówi to, nie patrząc na mnie, po czym gwałtownie odwraca się na pięcie. Wchodzę za nią do domu. Jest przepięknie urządzone prostymi meblami, na ścianach wiszą obrazy.

– Myślałam, że posiedzimy na zewnątrz, ale jest za zimno. Zapraszam do salonu.

Sadowię się na kanapie. Pośrodku stolika kawowego stoi butelka czerwonego wina, obok niej dwa kieliszki. Lizzie zastyga nagle przy krześle naprzeciwko mnie.

– Może wolisz białe wino? Mam w lodówce butelkę. Mogę otworzyć.

– Czerwone jest w porządku.

– Dobrze. – Lizzie siada. Zapada cisza. Po chwili Lizzie podrywa się nerwowo. – Przyniosę ser.

Widać, że bardzo się stara. Cieszę się, że włożyłam na spotkanie poważną sukienkę. Lizzie wraca z pokazną deską serów i kładzie ją na stoliku. Siada, po czym pochyla się, żeby poprawić położenie deski. Łapię ją za rękę.

– Lizzie, przestań. To ja – mówię, patrząc jej w oczy.

Spoglądamy na siebie w milczeniu. W końcu Lizzie wybucha śmiechem, w mojej ocenie odrobinę histerycznym.

– Kurwa, przepraszam. Sytuacja jest tak dziwna, że nie wiem, jak się zachować.

– Otwórz wino – mówię.

– Dobry pomysł.

Lizzie bierze butelkę, zdiera folię i wbija korkociąg w korek. Zauważam drżenie jej rąk, gdy próbuje go wyciągnąć. Nie mogąc sobie z nim poradzić, znowu zaczyna się śmiać.

– Mam to zrobić? – pytam.

Podnosi na mnie wzrok. W jej oczach lśnią łzy. Zasłania dłonią usta.

– Gdzie się podziewałaś, Bec? Co się stało? – szepcze.

– Nie pamiętam – mówię spokojnie. Pierwszy raz czuję się z tym strasznie. Lizzie rozpaczliwie pragnie odpowiedzi, a ja nie mogę jej dać. Spoglądam na swoje kolana i czekam, aż przestanie płakać. Coś nie daje mi spokoju. Moja

podświadomość wie, że to ważne, ale na razie nie umiem tego zdefiniować.

– Przepraszam. – Lizzie przerywa moje rozważania. – Bardzo cię przepraszam. Nie chciałam tego, po prostu nie mogłam się opanować.

– Nic się nie stało.

Marzę, żeby ludzie w końcu przestali mnie przepraszać. To wpędza mnie w poczucie winy. Lizzie odstawia butelkę i idzie po chusteczki. Biorę butelkę, delikatnie wyjmuję korek i napełniam oba kieliszki. Korzystając z tego, że Lizzie stoi plecami do mnie, szybko wychylam swój i napełniam go znowu do poprzedniego poziomu. Lizzie wraca na swoje miejsce. Ma pokrytą plamami twarz i lekko rozmazany tusz. Czuję, jak wraz z alkoholem po moim ciele rozchodzi się ciepło.

– Na zdrowie – unoszę kieliszek.

– Na zdrowie – odpowiada Lizzie, stukając swoim kieliszkiem o mój.

– Masz piękny dom – mówię, usiłując zmienić temat.

– Dzięki.

– Mieszkasz sama?

– Tak. Kupiłam go w zeszłym roku. Stałam się domatorką.

– Ja też wolę teraz siedzieć w domu. Przez jakiś czas nie chcę zwracać na siebie uwagi. – Sięgam po krakersa i kładę na niego kawałek sera.

– To zrozumiałe, choć trochę szkoda. Mogłybyśmy pójść do Gusa, zjeść jajka.

– Trochę późno na śniadanie, nie? – mówię ze śmiechem i zanurzam zęby w serze. Ma idealnie intensywny smak i idealną konsystencję. Lizzie spogląda na mnie dziwnie. Chyba powiedziałam coś nie tak. Zdejmuję kurtkę. Liczę na to, że zabandażowane ramię skieruje jej uwagę na inne tory.

– Pamiętam, kiedy to zdobyłyśmy! – mówi na widok zielononiebieskiej sukienki z metką Scanlan & Theodore.

– Ja też. Kosztowała mnie co najmniej pięćdziesiąt godzin zawijania Big Maców.

Lizzie znowu obrzuca mnie tym dziwnym spojrzeniem. W tej samej chwili rozlega się pukanie do drzwi.

– Kto to? – pytam.

– Nie wiem, nikogo się nie spodziewam. – Lizzie wstaje z krzesła i zmierzając do drzwi, zerka na mnie z ukosa.

Przypominam sobie klips z barwnikiem w szufladzie Bec. Co za idiotka ze mnie. To oczywiste, że Bec ukradła tę sukienkę. Usiłuję wymyślić coś wiarygodnego, żeby naprawić swoją pomyłkę, ale Lizzie stoi już pod drzwiami.

– To zły moment – mówi do kogoś.

– Nie wściekaj się na mnie – odpowiada jej jakiś mężczyzna. – Nie znoszę, kiedy się na mnie wściekasz.

- Więc nie dawaj mi powodu.
 - Daj spokój, wpuść mnie. Pogadamy o tym na spokojnie.
 - To naprawdę nie jest odpowiedni moment.
 - Ale z ciebie żółta.
 - Wcale nie!
 - Więc co to za tajemnica?
- Słyszę zbliżające się kroki.
- Jack! Stój! – woła Lizzie.

Odwracam się. W progu stoi wysoki kudłaty facet. Na mój widok otwiera szeroko oczy i usta. W jego oczach widać to, do czego już przywykłam – szok i niedowierzanie. Zupełnie jakbym była zombi.

- Cześć – mówię.
 - Chodź! – Lizzie łapie go za ramię i ciągnie do kuchni. Jack daje się prowadzić, ale nie spuszcza ze mnie oczu, póki jestem w zasięgu jego wzroku.
 - Co jest, kurwa? – dobiega mnie jego szept.
 - Wróciła – odpowiada Lizzie też szeptem.
 - Gdzie była?
 - Nie wiem. Ma amnezję czy coś w tym stylu.
- Zapada cisza. Uśmiecham się. Amnezja brzmi idiotycznie.
- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – Jack podnosi głos. – Jestem twoim

bratem!

- Sama dopiero się dowiedziałam!
 - Mogłaś do mnie zadzwonić.
 - Musiałam być ostrożna. Nie chcemy, żeby media coś zwąchały.
 - Daj spokój, nie o to chodzi. Wiesz, że nie puściłbym farby.
 - To naprawdę ważne! Poza tym ciągle byłam na ciebie wkurzona.
 - A teraz ja jestem wkurzony!
- Brat Lizzie wychodzi z kuchni i wraca do salonu.
- Cześć, Bec – mówi do mnie. – Przepraszam, że tak się gapiłem. Nie wiedziałem.
 - Nic się nie stało. – Dziwnie się czuję, gdy sama siedzę, a oni stoją na drugim końcu pokoju i patrzą na mnie badawczo.
 - Chyba już pójdę – mówi Jack i spuszcza głowę. Brązowa grzywka zasłania mu twarz.

– Odwiózłbyś mnie do domu? – pytam go, po czym zwracam się do Liz tonem usprawiedliwienia: – Jestem bardzo zmęczona. – A tak naprawdę boję się, że popełnię kolejny błąd. Rozmowa z nią przypomina stąpanie po polu minowym. Liz za dobrze знаła Bec.

- Już? No trudno. Nic nie szkodzi – odpowiada Liz.
- Mhm. To znaczy... tak. Dobrze – zajakuje się Jack.

Wstaję i wkładam kurtkę.

– Dziękuję za wszystko, Liz. Cudownie znowu cię widzieć.

– Ciebie też – odpowiada, ale wygląda na urażoną i zdezorientowaną.

Idziemy do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Jack co chwila zerka na mnie ukradkiem, ale kiedy ja na niego spoglądam, odwraca wzrok.

– Ostrożnie, bo w coś wdepniesz – ostrzegam.

Kwituje moje słowa wybuchem śmiechu.

– Ciągle jestem w szoku – mówi, po czym otwiera auto, wsiada i otwiera drzwi od strony pasażera.

Samochód jest stary i rozklekotany, tkanina na siedzeniach wytarta. Jack jest za wysoki, bo to małe autko. Musi schylać głowę, żeby nie dotykać sufitu. Zapinając pas, znowu łapię jego spojrzenie. Zastanawiam się, jak dobrze znali się z Bec.

– Będziesz się tak na mnie gapił czy w końcu mnie uściskasz? – pytam.

– Przepraszam, zachowuję się jak świr. – Pochyla się ku mnie i łagodnie obejmuje. Nieoczekiwanie jego dotyk wprawia mnie w lekkie drżenie.

Włącza silnik i rusza. Jeśli znajdę w nim sprzymierzeńca, to spróbuję go wykorzystać, może mi pomoże przekonać Liz. Wiem, że dzisiaj trochę nabałagałam i muszę naprawić szkody.

– Nie wierzę, że nic mi nie powiedziała! – krzyczy nagle Jack.

– Była na ciebie wkurzona.

– Słyszałaś to?

– Szeptaliście dosyć głośno.

– Przepraszam. Mimo to powinna była mi powiedzieć.

– Racja. Powinna. – Mówię tak, bo ludzie lubią, kiedy staje się po ich stronie.

– Dziękuję. – Jack zatrzymuje się na światłach i odwraca głowę w moją stronę. Tym razem w jego oczach zamiast szoku jest serdeczność. Patrzy na mnie z podziwem jak na jakąś mistyczną istotę. Bec mu się podobała. Teraz ja mu się podobam.

– Weź mój numer od Liz – mówię. – Dobrze byłoby jeszcze się spotkać.

– Tak. Mhm... Byłoby świetnie. – Oblewa się rumieńcem, a kierowca za nami trąbi. Jack podskakuje na siedzeniu i skręca. Zapaliło się zielone światło, auta przed nami już pokonywały zakręt.

– O kurwa. Cholera. Ups, przepraszam – rzuca, zmieniając biegi.

Śmieję się. Mnie on też trochę się podoba.

Odwracam się, żeby spojrzeć na auta za nami. I wtedy serce podchodzi mi do gardła. Kilka samochodów za nami jedzie czarna furgonetka. Kiedy Jack przyśpiesza, odwracam się ponownie, ale słońce odbija się w przyciemnionych szybach, więc twarz kierowcy pozostaje niewidoczna.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bec, 13 stycznia 2003 r.

Coś utrudniało jej oddychanie. Poderwała się przestraszona, z trudem łapiąc powietrze. Palcami dotknęła twarzy i poczuła miękką maź. Lizzie zanosiła się ze śmiechu. Bec spojrzała na swoje dłonie. Były pokryte stopioną czekoladą.

– Ty zdiro! – wrzasnęła.

Lizzie już kiedyś zrobiła jej taki kawał. Bec spała, a ona ułożyła jej na ustach kawałki czekoladek. Chciała sprawdzić, jak wysoką wieżyczkę uda jej się ułożyć, zanim Bec się ocknie. Teraz Bec rzuciła się na nią i zaczęła mazać jej twarz czekoladą. Lizzie próbowała ją odepchnąć. Biła ją poduszką i piszczała wniebogłosy.

W pewnej chwili w drzwiach sypialni pojawiła się łysiejąca głowa taty Lizzie.

– Wszystko w porządku, dziewczynki? – zapytał, przyglądając im się badawczo. – Nie przeszkadzam?

Bec uświadomiła sobie, jaki widok zastał. Półnaga przyjaciółka jego córki siedzi na niej okrakiem w jej łóżku. Zeszła z Lizzie i naciągnęła koc na kusą koszulkę na ramiączkach.

– Cicho, tato! – jęknęła Lizzie. Ojciec uniósł brwi i wycofał się z pokoju, delikatnie zamykając drzwi. – Boże, jak on mnie czasem wkurza! – powiedziała.

– Nie jest taki zły. Przynajmniej ma poczucie humoru – odparła Bec.

– Pewnie tak. – Lizzie usiłowała zetrzeć czekoladę z policzków.

– Pierwsza pod prysznicem! – Bec wyskoczyła z łóżka, zanim Lizzie zdołała ją zatrzymać.

Wzięła szybki chłodny prysznic. Wystarczający, by zmyć z siebie czekoladę i resztki snu.

Cieszyła się, że została u Lizzie na noc. Tak dobrze bawiły się w Manuce na „Złap mnie, jeśli potrafisz”, że pomysł powrotu do domu i zadreżnienia się wspomnieniami ubiegłej nocy uznała za głupi. Była gotowa zapomnieć o tym wszystkim.

Biegając owinięta ręcznikiem z łazienki do pokoju Lizzie, usłyszała metalową muzykę dobiegającą z pokoju Jacka. Dziwny zwyczaj zaczynać dzień od ciężkich rytmów. Zamknęła drzwi sypialni Lizzie, żeby ich nie słyszeć. Przez chwilę patrzyła, jak Lizzie przegląda swoje rzeczy, śpiewając pod nosem piosenkę graną w radiu i kręcąc tyłkiem.

Nie mogła się oprzeć pokusie skomentowania tego widoku po swojemu.

Zaczęła udawać, że rapuje.

– W taki gorąc/ciuchy po co/tylko pachy/ci się spocą.

Roześmiana Lizzie okręciła się na pięcie.

– Ale się wysiliłaś! – zawołała.

Bec wskoczyła na łóżko i zaczęła tańczyć w celowo przerysowany zmysłowy sposób.

– Taka jestem rozgrzana, pachnę jak gorące spaghetti – zaśpiewała wysokim głosem, próbując trafić w melodię.

– Ej! – zawołała Lizzie i zdzieliła ją ręcznikiem.

W oczach Bec ta scena wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu.

– Laska z ciebie super, seksowny masz kuper! – wyrecytowała z karykaturalnie przesadnym australijskim akcentem.

– Pitu, pitu, trele-morele, to ty seksu masz za wiele! – odgryzła się Lizzie, chichocząc szaleńczo, i wyszła do łazienki, zostawiając lekko uchylone drzwi.

Zadyszana Bec przysiadła na łóżku. Dobroczynne działanie prysznicza minęło. Znowu zaczęła się pocić. Wkładając majtki i stanik, miała cichą nadzieję, że korytarzem przejdzie Jack i zobaczy ją właśnie w tym momencie. Nie przeszedł, włożyła więc letnią sukienkę, którą miała na sobie wczoraj, i podeszła do drzwi jego pokoju.

Jack leżał na łóżku w kompletnym stroju. Bec przybrała pozę, która w jej mniemaniu miała być niedbała i w sposób niezamierzony seksowna.

– Hej – zagadnęła.

Spojrzał w jej kierunku, poblądł i szybko podniósł się do pozycji siedzącej.

– Hej – odpowiedział. Odgarnął grzywkę z oczu i obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem. Przypomniała sobie dawnego Jacka. Chłopca o rumianych policzkach, zawsze chętnego do zabawy z nimi. Teraz w heavymetalowym T-shircie i brudnych dzinsach wyglądał dość niechlujnie.

– Dlaczego z samego rana słuchasz czegoś takiego? – zapytała.

– Nie wiem. Lubię to – odparł.

Bec rozejrzała się po pokoju. Panował w nim nieopisany bałagan. Na podłodze leżały porozrzucane ubrania, w powietrzu unosił się zapach potu i dezodorantu. Ściany pokrywały plakaty zespołów grających heavy metal. Wśród nich królował imponujących rozmiarów srebrno-fioletowy Black Sabbath.

– To lepsze niż Nelly – dodał.

A więc słyszał, jak śpiewała. Co za wstyd. Uśmiechnął się i przez chwilę przypominał dawnego siebie. Pomijając brzydką cerę i okropne ubrania, był całkiem atrakcyjny.

– Z Nelly nikt nie wygra. – Bec odwzajemniła uśmiech.

– Przepraszam za... mhm... tamto – powiedział.

Przez chwilę nie rozumiała, za co ją przeprosza. Potem domyśliła się, że chodzi mu o sytuację, w której wpadł na nią, gdy była ubrana w bikini.

– To nic, nie musisz za to przeproszać. – Żałowała, że w ogóle to powiedział.

– Wiem, ale... No wiesz... Nie chcę, żebyś wzięła mnie za zboka.

– Nie uważam cię za zboka – zaoponowała. Jack bardzo różnił się od Luke’a. Dlaczego robił z tego takie halo? Luke na jego miejscu rzuciłby jakiś żart o onanistach, pośmialiby się z tego oboje i wszystko wróciłoby do normy. Szum prysznica dobiegający z łazienki Lizzie ustał. – Na razie, zboku! – powiedziała Bec i wróciła do pokoju Lizzie, nie dając mu szansy na reakcję.

Na dole tata Lizzie robił naleśniki.

– Głodne? – zapytał na ich widok.

– Masz najlepszego tatę na świecie – powiedziała Bec, patrząc na przyjaciółkę.

– Robi to tylko wtedy, gdy ty jesteś u nas – mruknęła Lizzie.

– Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że przekabacę was, dziewczyny, żebyście stanęły po mojej stronie w dyskusji, którą zamierzam odbyć z twoim bratem, Liz.

Bec usiadła obok Jacka. Farbowane na czarno włosy zasłaniały mu twarz, gdy patrzył na pusty talerz. Starał się roztaczać wokół siebie posępną aurę, ale Bec była prawie pewna, że chodzi mu o ukrycie przed nią trądziku. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś się w nim durzyła. Chociaż w głębi duszy przyznawała, że nadal ma do niego słabość. I chciała wierzyć, że jej słowa o zboku potraktował jak żart.

– Znowu chodzi o jego ulubioną muzykę? – Lizzie przewróciła oczami.

– Jest lepsza niż te twoje badziewne kawałki dla nastolatek – odgryzł się Jack.

– Ej, chciałam cię bronić, kutafonie! – zawołała Liz.

– Nie wyrażaj się – zainterweniował ojciec.

– Daj spokój, tato. Ty używasz najgorszego języka z nas wszystkich – odcięła się Liz.

– Racja – dodał Jack.

– Odpieprzcie się oboje – powiedział tata i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– O co poszło? – zapytała Bec, zadowolona z honorowego członkostwa w ich rodzinie. To było bardzo przyjemne doświadczenie.

– Liz miała rację. Chodzi o muzykę. – Ojciec przewrócił naleśnik, po czym dodał: – Nie o muzykę w ogóle, ale o tego koszmarnego Ozzy’ego Osbourne’a.

– To Black Sabbath, tato. Klasycy – rzucił Jack, nie podnosząc głowy nad talerza.

– Tak, pamiętam, ale teraz budzi odrazę. A to reality show o jego rodzinie jest obrzydliwe.

– Ja go lubię. Jest śmieszny – zaoponowała Lizzie.

– To też mnie martwi. Myślałem, że wyrośniesz na mądrzejszą dziewczynę.

Lizzie jęknęła teatralnie, ale wyglądała na lekko urażoną.

– Jeśli chcesz słuchać jego nagrań na okrągło, możesz to robić pod moją

nieobecność? – Ojciec przełożył ostatni naleśnik na stos i wyłączył kuchenkę.

– Wiem, dlaczego go nie lubisz – powiedział Jack.

– Tak?

– Bo na scenie odgryza głowy nietoperzom i gołębiom.

– To trik! – zawołała Lizzie.

– Wcale nie!

– Jedzcie naleśniki, zanim wystygną – powiedział ojciec.

Bec patrzyła, jak Jack kroi naleśnika. Żołądek podszedł jej do gardła. Zrobiło jej się słabo, na czoło wystąpił zimny pot. Oczami wyobraźni widziała Ozzy’ego odgryzającego główkę nieszczęsnego nietoperza, który szarpał się jak oszalały. A potem krew skapująca z nieruchomego już ciała... Jak mogli się z tego śmiać? Próbowwała odsunąć od siebie ten obraz, ale ciągle powracał jak odtwarzane na okrągło nagranie wideo.

– Nie mów, że dbasz o linię – dodał ojciec.

– Daj jej spokój – odpysknęła Liz.

Szczęk noży o talerze mieszał się z piskami nietoperza. Bec widziała Ozzy’ego, jak wypluwa krew z szatańskim uśmiechem. Krew była wszędzie, metaliczna woń drażniła nozdrza. Była tak silna, że mogła jej wręcz posmakować.

Krew, tyle krwi.

– Co jej jest? – spytał zaniepokojony ojciec.

Obraz znieruchomiał. Bec uświadomiła sobie, że cała trójka patrzy na nią.

– Przez was straciłam apetyt – powiedziała, ale jej słowa zabrzmiały dziwnie.

– Jesteś blada. Podobno wczoraj wieczorem oglądałyście film?

– Oglądałyśmy! I co z tego? – rzuciła Liz.

– Pójdę już – powiedziała Bec trochę normalniejszym głosem. – Przypomniałam sobie, że miałam zjeść śniadanie z mamą. Zabije mnie!

Po wyjściu od Lizzie od razu poczuła się lepiej. Wciągała powietrze nosem, wydechaj ustami. To powtarzała mama, gdy Bec miała mdłości. Pomogło. Powietrze było ciężkie od upału, ale zadziało kojąco na zimne dreszcze. Bec wiedziała, że zrobiła z siebie widowisko. Na pewno teraz rodzina Lizzie rozmawia o niej, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Jakiś nagły impuls kazał jej stamtąd wyjść, choć wewnętrzny głos podpowiadał, że zachowuje się dziwnie, po prostu jak wariatka. Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do siebie, zanim wróciły obrazy z ubiegłego lata.

Nie była wariatką. Każdy, kto widzi ją w tej chwili, zobaczy w niej zwykłą dziewczynę idącą do domu. Właśnie tak. Nie było w tym nic dziwnego.

Asfalt na drodze zaczynał się topić. W podeszwach sandałów utkwilo kilka drobnych kamyczków, więc Bec próbowała je usunąć, przystając i szurając nogami. Znowu nie nałożyła filtru przeciwsłonecznego. Nie przeszkadzały jej

piegi, które już miała, ale nie chciała kolejnych. Do szkoły podstawowej chodziła z nią dziewczynka, która miała na policzkach mnóstwo pomarańczowych cętek łączących się w większe plamy wyglądających jak dziwna wysypka. Nie, tego zdecydowanie chciała uniknąć.

Pomyślała, że w drodze do domu mogłaby wstąpić do pracy. Nadłożyłaby tylko dziesięć minut drogi. Powiedziała by Luke'owi, że jej rodzice robią w pobliżu zakupy, a ona tu wstąpiła, by poczekać na nich. A może lepiej powiedzieć, że to ona przyjechała na zakupy. Tak byłoby poważniej. I wtedy to wróciło. Nieodparte wrażenie, że jest obserwowana.

Spuściła głowę, ruszyła dalej w kierunku Manuki, minęła przystanek autobusowy i weszła do niewielkiego parku. Lubiła to miejsce. Dawało wytchnienie od nieznośnego skwaru, liście drzew blokowały oślepiające refleksy, nie musiała więc mrużyć oczu. Nie rozglądała się na boki. Nie chciała, żeby znowu zawładnęło ją to głupie uczucie. Nie była wariatką. Nagle usłyszała kroki. Prawdziwe. I zdecydowane. Coraz bliższe i coraz szybsze. Już miała się odwrócić, gdy świat zniknął jej przed oczu.

Miała wrażenie, że unosi się na wodzie. Nie czuła ciężaru swojego ciała. Jej mózg chwycił się okruchów świadomości, ale na próżno.

Otworzyła oczy. Nie widziała nic oprócz krwinek. Swoich maleńkich krwinek tańczących na wietrze.

– Słyszysz mnie?

Chciała odpowiedzieć, ale nie mogła otworzyć ust.

– Oczy ma otwarte.

– Nic mi nie jest – wydukała, próbując usiąść.

Mocne kobiece ręce przytrzymały ją w pozycji leżącej.

Bec zamrugła i przelknęła ślinę. Uczucie lekkości zniknęło, ręce i nogi miała jak z ołowiu. Były obce, jakby nie należały do niej.

Pod palcami czuła zeschnięte liście. Patrząc w górę, zrozumiała, że to, co wydawało się krwinkami, to plamki światła odnajdujące drogę między liśćmi. Kiedy lekko odwróciła głowę, ujrzała nad sobą twarz mężczyzny w średnim wieku.

– Co się stało? – zapytała.

– Chyba zemdląłeś z gorąca. Usłyszeliśmy hałas, kiedy upadłeś.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – Kobiecy głos dobiegał z drugiej strony.

– Mhm... Tak, dobrze. – Znowu spróbowała usiąść, a kobieta tym razem jej nie przeszkodziła. W głowie wirowało, ale Bec nie chciała już leżeć. Gdy ostrożnie dotknęła potylicy, przeszył ją ostry ból wzdłuż kręgosłupa, a na opuszkach palców zobaczyła krew. – Chyba ktoś mnie uderzył – powiedziała.

Jej wybawcy wymienili spojrzenia, po czym mężczyzna stwierdził:

– Nie sądzę. Zjawiliśmy się od razu, nikogo podejrzanego w pobliżu nie było.

– Pewnie uderzyłaś się w głowę przy upadku, kochanie. Zadzwoń do twojej mamy? – Wyjęła telefon. – Możesz podać numer?

– Mam komórkę – powiedziała Bec, trzęsącymi się rękami próbując otworzyć torebkę. Nie poradziła sobie z zatrzaskiem, więc wyrzuciła ją kobieta. – Dziękuję – wyszeptała Bec i nagle zachciało jej się płakać.

Przełykając łzy, wybrała numer taty. Długo czekała, aż odbierze.

– Cześć, Becky. – Hałas w tle sprawił, że jego głos był ledwie słyszalny.

– Tato – zaczęła, starając się opanować łamiący się głos – zemdlalam.

– Och Becky, moje biedactwo. To pewnie przez upał. Dzisiaj jest nieznośny.

– Tata sprawiał wrażenie nienaturalnie ożywionego i mówił nieco bełkotliwie.

– Możesz po mnie przyjechać? Nie czuję się najlepiej.

W słuchawce zapadła długa cisza. Bec słyszała brzęk szklanek. Tata był w barze.

– To kiepski moment, kochanie. Może zadzwonisz do mamy?

– Dobrze.

Gdy się rozłączyła, paliły ją policzki.

W drodze do domu oparła głowę o szybę. W pewnym momencie przestała słuchać mamy, który gadała jak najęta. Zdawkowo zapytała ją o samopoczucie, a potem zaczęła rozwódzić się nad bliźniakami. Martwiła się, czy siedząc w domu, nie umierają z nudów. Czy nie powinna wziąć wolnego, żeby gdzieś z nimi wychodzić. Problem polegał na tym, że Bec nie wiedziała, czy wszystko z nią w porządku. Czuła dziwny chłód, ręce nadal drżały. Coś ją popychało do tego, by wrzasnąć na matkę, wykrzyczeć prosto w twarz, że jej potrzebuje, że zaczyna się bać. Niestety nic by to nie zmieniło. Rodzice zawsze bardziej skupiali się na jej braciach, tak po prostu było.

Pół godziny czekała na mamę w parku. Tony i Fiona uparli się, że nie zostawią jej samej. Tony poczęstował ją colą, po której poczuła się lepiej, chociaż jej nie znosiła. Po jakimś czasie zapragnęła, żeby jednak sobie poszli. Nie rozumiała, co tak naprawdę zaszło. Była pewna, że przed utratą przytomności słyszała za plecami kroki, ale według Tony'ego i Fiony nie było tam nikogo podejrzanego. Bec czuła się dziwnie już rano. Może to efekt udaru cieplnego. Wczoraj w niemiłosiernym skwarze czekała dwie godziny w Manuce na Lizzie.

Usłyszała bipnięcie telefonu, a po chwili przeczytała nową wiadomość:

Myślałem o tobie dzisiaj. Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

Zupełnie jakby wiedział. Jakby wyczuł na odległość jej ból. Ta myśl nieco poprawiła jej nastrój.

Zatrzymały się na podjeździe. Bec wysiadła z auta na trzęsących się nogach. Drzwi wejściowe zdawały się bardzo daleko. Po chwili objęło ją mocne ramię.

– Na pewno wszystko dobrze? – zapytała mama, w końcu skupiając uwagę na córce.

– Pewnie głowa nadal mi krwawi – odparła Bec.

– Och, Becky, ale z ciebie niezgraba! Czasem jesteś jak mimoza, prawda? – Mama uśmiechnęła się do niej.

Bec odpowiedziała uśmiechem. Całe rozdrażnienie uleciało.

Zbliżając się do drzwi frontowych, czuła się coraz bardziej sobą, chociaż omal nie przewróciła się o leżące rowery braci. Po wejściu do domu zaśmiała się na widok Paula i Andrew. Siedzieli na schodach w kąpielówkach.

– Czemu nosicie kąpielówki w domu, frajerzy? – zapytała.

– Bec! – upomniała ją mama.

– Och, przecież wiedzą, że żartuję, prawda?

Chłopcy nie odpowiedzieli, tylko intensywnie wpatrywali się w Bec. Ich identyczne buzie były pozbawione wyrazu. Wtedy sobie przypomniała. Miała zabrać ich na basen.

– Obiecałaś, że spędzimy razem cały dzień, a nawet nie nocowałaś w domu!

– krzyknął Paul.

Nie powiedzieli nic więcej, tylko patrzyli na nią nienawistnym wzrokiem. Zachciało jej się płakać. Jak mogła zapomnieć? Chłopcy pewnie przygotowali się do wyjścia i czekali na nią cały ranek, a potem powoli docierała do nich smutna prawda, że żadnego wyjścia nie będzie.

– O nie, przepraszam. Bardzo mi przykro.

– Zabierzesz ich innym razem, prawda? – W głosie mamy nie było już serdeczności.

– Tak. Obiecuję.

– Dobrze. A teraz rzucimy okiem na twoją głowę.

Bec pozwoliła zaprowadzić się do łazienki, gdzie mama zapaliła halogenowe lampy. Rozgarniając włosy Bec, uważnie obejrzała jej głowę, po czym zmoczyła watę i zaczęła delikatnie obmywać skórę. Bec skrzywiła się z bólu.

– Masz rację, rana krwawi. Ale to nic poważnego, tylko rozcięcie. Musiałaś na coś upaść.

– Nie wiem, czy to rana od upadku. A jeśli ktoś mnie ogłuszył?

– Nie mów głupstw.

Bec drażniło światło lamp, czuła pulsowanie w skroniach. Mama przyjrzała się bacznie jej odbiciu w lustrze.

– Nie kręci ci się w głowie?

– Nie – skłamała Bec.

– Widzisz nieostro?

– Nic mi nie jest – powiedziała Bec, chociaż miała nieodpartą ochotę położyć się na chłodnych płytkach. Jej twarz w lustrze nagle zaczęła się kołysać.

– Nie wyglądasz najlepiej, być może masz wstrząśnienie mózgu. Powiedz mi, jeśli zaczniesz cię mdlić, dobrze? Wstrząśnienie mózgu to bardzo poważna

sprawa.

- To wszystko przez upał.
- Może się położysz?
- Dzięki, mamó. – Bec odruchowo przytuliła się do niej.

Chciała opowiedzieć jej o wszystkim, czego się bała, ale wiedziała, że nie powinna tego robić. Mama uściśnęła ją krótko i wyszła. Nigdy nie przepadała za przytulaniem. Zachowywała się tak, jakby ją to krępowało. Bec przyjrzała się dokładniej swojemu odbiciu. W świetle lamp źrenice wyglądały na nierówne. Co za dziwaczne wrażenie.

Była zmęczona, coraz bardziej kręciło jej się w głowie. Musiała się położyć, ale najpierw zastukała do drzwi sąsiadujących z jej pokojem.

- Mogę wejść?
- Idź sobie! Dziewczynom wstęp wzbroniony!
- Szczególnie takim pojebanym jak ty!

Bec gwałtownie otworzyła drzwi.

- Jeśli mama usłyszy, jakich słów używacie, da wam popalić.
- Ty przecież jesteś pojebana – powiedział Paul.

Leżeli na podłodze i wyglądali tak żałośnie, że musiała powstrzymać się od uśmiechu.

- Wiem. Jestem największym pojebem na świecie.
- W całym kosmosie – mruknął Andrew. Kąciki ust drżały mu lekko.

Bec usiadła między nimi.

– Wiem, że się nudzicie. To musi być okropne. – Gdy chłopcy milczeli, dodała: – Jeśli mi wybaczycie, to powiem, gdzie was zabiorę, żeby wam wynagrodzić dzisiejszy zawód.

Spojrzeli na siebie, jakby chcieli ustalić, czy warto dać jej kolejną szansę. Przypomniała sobie, jak bardzo pomijana zawsze się czuła. Andrew i Paul mieli swój mały świat, a ona funkcjonowała tylko na jego obrzeżach. Mama powiedziała jej kiedyś, że zaczęli mówić rok później niż inne dzieci, zupełnie jakby wypracowali własny system komunikowania się między sobą i tylko tego potrzebowali.

- Dobrze – mruknął w końcu Paul.
- Co powiecie na... – zawiesiła głos – Big Splash?

Mówiła o ogromnym parku wodnym ze zjeżdżalniami w Macquarie. Nawet ona uwielbiała to miejsce, zapach chloru i filtrów przeciwsłonecznych, to przerażone, to radosne krzyki dzieci, słone frytki z sosem pomidorowym jedzone cały dzień.

– Zdecydujcie sami, czy wybaczycie mi, czy nie – powiedziała, kierując się ku drzwiom.

- Wybaczamy! – wrzasnął Paul.

– Tak myślałam. Pojedziemy we wtorek. Tylko nie zapomnijcie! – Szybko zamknęła za sobą drzwi, zanim zdążyli rzucić czymś w jej kierunku.

Kładła się zadowolona. Słońce jeszcze nie zaszło, ale tym się nie przejmowała. Była potwornie zmęczona, ciągle kręciło jej się w głowie. Kiedy spuściła rolety i wślizgnęła się pod kołdrę, przypomniała sobie, że jest jeszcze ktoś, z kim powinna porozmawiać przed zaśnięciem. Wybrała numer Lizzie. Telefon położyła na poduszce, przy policzku. Zamknęła oczy, broniąc się przed kolejną falą mdłości.

– Cześć, psycholu – usłyszała w słuchawce głos przyjaciółki.

– Cześć, jędzo. – Obie wybuchnęły śmiechem. – Przepraszam – powiedziała po chwili Bec. – Nie wiem, czemu tak dziwnie się zachowałam. Może dostałam udaru słonecznego.

– Nie przepraszaj. Cieszę się, że nic ci nie jest – odparła Lizzie. – Martwiłam się o ciebie. Wszyscy się martwiliśmy. Tata nawet wziął auto, żeby cię szukać.

– Ale wstyd! – Bec zrobiło się głupio na myśl, że ojciec Lizzie jeździł ulicami i rozglądał się za nią. Postanowiła nie mówić przyjaciółce o tym, co zaszło.

– Nie przejmuj się, najważniejsze, żeby z tobą zawsze wszystko było w porządku.

– Jest w porządku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

2014 r.

Ktoś puka do drzwi mojej sypialni.

– Czego? – wołam.

– Musimy jechać. Wizytę mamy wyznaczoną na dziesiątą.

Szpital. Znowu zapomniałam. Spoglądam na telefon. Już wpół do dziesiątej.

– Kurwa! Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej? – krzyczę wściekła.

– Przepraszam – dobiega zza drzwi łamiący się głos.

Wzdycham ciężko i przecieram oczy. Kiedy otwieram drzwi, mama cofa się o krok.

– Przepraszam, mamó. Zaraz będę gotowa. Dzięki za przypomnienie.

Gdy uśmiecham się do niej, odpowiada mi niepewnym uśmiechem. Obudziłam się trzydzieści sekund temu, a już zdążyłam tyle popsuć. Biorę głęboki wdech, obiecując sobie, że odtąd dobrze się zastanowię, zanim zwrócę się do mamy.

Jestem roztrzęsiona nie tylko z powodu własnej niedelikatności. Dręczą mnie nocne koszmary. Właściwie jeden, który się powtarza. We śnie obserwuję Bec. Idzie ulicą sama i przestraszona. Obok niej zatrzymuje się czarna furgonetka. Bec odwraca się uśmiechnięta, nieświadoma, co ją czeka. Okno się otwiera. Skóra kierowcy jest miazgą, twarz cieniem. Bec krzyczy, gdy zjawa wyciąga po nią rękę.

Moja kurtka nadal leży na krześle, czyli tam, gdzie rzuciłam ją wczoraj wieczorem. Śpi na niej zwinięty w kłębek Hektor. Gdy wyciągam ją spod niego, rzuca mi wredne spojrzenie i wymaszerowuje z pokoju. Kurtka jest pokryta cienką warstwą sierści. Próbuje ją strzepnąć, ale większość i tak zostaje.

– Jestem gotowa! – krzyczę.

– Szybko się uwinęłaś – zauważa Andrew, wychodząc z kuchni z mamą. Uśmiecha się. Wczoraj po kolacji oglądaliśmy we trójkę telewizję. Po wspólnej jeździe autem prawie całe napięcie uleciało. No i wreszcie nauczyłam się ich rozróżniać. Śmialiśmy się razem i nabijaliśmy z ludzi występujących w programie, mimo to nadal odczuwam lekkie wahanie. Gdybym tylko mogła odwołać się do ich wspólnych przeżyć z Bec, w ogóle do czegoś, co utwierdziłoby ich w przekonaniu, że naprawdę jestem ich siostrą i już nigdzie nie zniknę.

Wsiadamy całą rodziną do auta. Prowadzi mama, tata zajmuje miejsce obok niej. Siedzę z tyłu między bliźniakami. Wyglądamy jak idealna szczęśliwa rodzina.

– Też jedziecie do szpitala? – pytam.

– Nie, wysiadziemy w mieście – odpowiada Paul.

Patrzę na zegarek. Nie zdążymy na dziesiątą, jeśli po drodze mamy jeszcze wysadzić gdzieś braci.

– Spokojnie, siostrzyczko. – Andrew daje mi kuksańca w bok. – Lekarze zawsze się spóźniają, wierz mi.

– Tak, spokojnie. – Paul daje mi kuksańca z drugiej strony.

Gdy samochód wyjeżdża z naszej ulicy, Andrew woła:

– Zakręt! – Przechyla się całym ciałem, przyciskając mnie do Paula, który już leży splaszczony na szybie.

– Ej! – Gwałtownie unoszę rękę, żeby uniknąć bólu.

– Teraz w lewo! – krzyczy Paul i popycha mnie w drugą stronę przy kolejnym zakręcie.

Śmieją się szaleńczo, a ich wesołość udziela się również mnie. Nie bawiłam się w zakręty od czasów szkoły podstawowej.

– Rondo! – krzyczą jednocześnie.

– Nie! – protestuję, gdy popychają mnie raz w jedną, raz w drugą stronę. Widząc ich takich rozchichotanych, wyobrażam sobie, jacy musieli być w dzieciństwie. Nagle nabieram do nich znacznie większej sympatii.

– Biedna Becky została zgnieciona – mówi roześmiany Andrew.

– Zemściłam się – mówię. – Kocia sierść.

– O cholera – rzuca.

Rękaw jego czarnego wełnianego płaszcza oblaźł białą sierścią, która przeniosła się z mojej kurtki, gdy na mnie naparł. Teraz próbuje strzepnąć ją ręką.

– Przeklęty Hektor – mruczy pod nosem.

Przypominam sobie zdjęcie w szufladzie Bec. To, na którym jest inny kot.

– Do dzisiaj czasem tęsknię za Molly – mówię.

Bingo! W oczach Andrew nagle widzę emocje. Odwracam się do Paula, a on patrzy na mnie w ten sam sposób. Biorę go za rękę i opieram się o jego ramię. Andrew bierze mnie za drugą rękę. Siedzimy tak połączeni przez resztę drogi do miasta.

W końcu mam ich po swojej stronie. W domu mogę być spokojna. Chciałam, żeby zaraz wyjechali, ale teraz jestem szczęśliwa, że spędzę z nimi jeszcze kilka dni.

Andrew miał rację. Zajechaliśmy do szpitala dziesięć po dziesiątej i nadal musimy czekać. Szpitale to najgorsze miejsca na świecie. Naprzeciwko nas siedzi kobieta, która zanoszą się kaszlem, jakby za chwilę miała wypluć płuca. Obrzydliwy nastolatek drapie się energicznie, w kontakcie z ciałem jego paznokcie wydają koszmarny dźwięk, a drobinki zakażonej jakimś obrzydlistwem skóry na pewno fruują w powietrzu. Wzdrygam się mimowolnie, a mama ściska mnie za rękę. Pewnie uważa, że to ze strachu przed lekarzem. Może ma rację. Lekko pocieram bandaż na ramieniu. Czuję pod opuszkami jego szorstkość. Irytuje mnie ten opatrunek, mimo to nie chcę, żeby mi go zdjęli. Boję się widoku rany. Ciągle pamiętam szkło zagłębiające się w skórę.

Kątem oka dostrzegam czarny kształt. Tak, to furgonetka. Mocniej ściskam dłoń mamy. Skąd kierowca wiedział, gdzie jedziemy?

Mam zamiar wskazać auto rodzicom. Wiem, że to zły pomysł, ale czuję nieodpartą potrzebę podzielenia się moim strachem. I wtedy słyszę stukanie butów podchodzącej do nas pielęgniarki.

– Rebeca Winter? Lekarz na panią czeka.

Macham nogami, czekając, aż lekarz wyjmie wszystkie instrumenty. Tata rzuca mi uśmiech. Czuję się jak maluch, któremu cała rodzina kibicuje w stawianiu pierwszych kroków. Gabinet jest trochę za mały dla nas wszystkich. Lekarz pochyla się nade mną, pielęgniarka stoi obok niego, rodzice zajmują miejsce przy drzwiach. Zastanawiam się, czy to normalne, że tu weszli, skoro ich dziecko ma grubo ponad dwadzieścia lat.

Kiedy lekarz odwija bandaż, rozlega się zbiorowe westchnienie. Ostatnia warstwa przylgnęła do rany, więc trzeba ją oderwać wraz ze strupem, a sama rana wygląda obrzydliwie. Pokryta grudkami ma rozmiar pięćdziesięciocentówki i znowu zaczyna krwawić. Robi mi się słabo. Odwracam wzrok.

– Czy to coś poważnego? – zwraca się do lekarza tata. Sam też nie wygląda najlepiej.

– Nie, to tylko powierzchowna rana – odpowiada lekarz, a ja czuję jego gorący oddech na ramieniu.

– Dobrze się czujesz? – pyta mama, wpatrując się we mnie intensywnie.

– Tak – odpowiadam.

Krzywię się, gdy lekarz nakłada na ranę środek antyseptyczny, a potem zakłada nowy opatrunek.

– Teraz pobierzemy krew i będziesz mogła już iść.

– Po co chcecie pobrać mi krew?

– Dostaliśmy polecenie z wydziału policji, żeby zrobić ci badanie krwi. Powinniśmy wykonać je wcześniej, kiedy byłaś tu ostatnio – odpowiada lekarz, nie patrząc na mnie. Może spodziewa się, że zacznę łkać i rwać włosy z głowy.

– Od Andopolisa? – pytam.

Lekarz spogląda w dokumenty.

– Tak, od Vincenta Andopolisa – mówi.

– Po co? Jakie badania chcecie zrobić?

– Właściwie wszystkie. Na obecność ewentualnych infekcji czy chorób, na środki odurzające też. – Po czym dodaje zrzędlivym tonem: – Chociaż to ostatnie badanie byłoby dużo bardziej miarodajne, gdybyśmy je zrobili, jak po raz pierwszy zjawiałaś się w szpitalu.

No to koniec ze mną. Nie daję Andopolisowi tego, czego chce, więc zwątpił we mnie, mówiąc delikatnie. Tamten głupekowaty chrapiący mężczyzna gdzieś zniknął, zastąpił go cwany i bystry glina.

Widzę, że pielęgniarka przygotowuje strzykawkę. Spoglądam na otwartą dokumentację Bec. Grupa krwi: A Rh+. Nim zapadnie noc, będą wiedzieli, że ja to nie ona. Wszystko legnie w gruzach, pójdę za kratki, stracę mamę na zawsze.

Pielęgniarka podchodzi do mnie ze strzykawką w ręku.

– Nie rób tego! Nie chcę! – wołam.

– Wszystko w porządku, skarbie. Jesteśmy z tobą – mówi mama.

Wpadam w panikę. Pielęgniarka bierze mnie za zdrową rękę. Palcem osłoniętym białą gumową rękawiczką pociera mi żyły w zgięciu łokcia. Nie mogę dopuścić, by wbiła mi igłę. Może powinnam udać, że mdleję. Nie, to niedobry pomysł. Już to widzę: udaję nieprzytomną, a oni bez problemów pobierają mi krew. Igła na moment zawisa nad skórą, a ja nie mam innego wyjścia – wytrącam pielęgniarence strzykawkę z ręki. Spada i toczy się po podłodze, to jedyny dźwięk w gabinecie. Wszyscy gapią się we mnie w osłupieniu.

– Rebeco – odzywa się w końcu lekarz – jeśli masz zamiar tak się zachowywać, będę zmuszony cię unieruchomić. – Mówi opanowanym głosem, ale w jego słowach słyszę czający się gniew.

– Nie chcę, żebyście pobierali mi krew.

Mama robi krok naprzód i obejmuje mnie ramionami.

– Nie bój się – mówi. – Zaboli tylko przez chwilę.

– Nikt mnie nie słucha. Mówię nie!

– To polecenie policji, Rebeco – oznajmia lekarz, patrząc na mnie surowo. – Mamy kilka możliwości: wzywamy ochroniarzy, żeby cię przytrzymali, wzywamy policję, żeby cię aresztowała, albo pozwalasz mi pobrać krew. Wybór należy do ciebie.

Bierze mnie za nadgarstek. Ma o wiele silniejszy uścisk niż pielęgniarka. Spoglądam na tatę. Stoi ze wzrokiem wbitym w linoleum, z głową schowaną w ramionach. W nim cała moja nadzieja.

– Tato, proszę – mówię błagalnie. Jestem gotowa zapłakać, do oczu już napływają mi łzy.

Podnosi głowę, rzuca mi krótkie spojrzenie i wkracza do akcji.

– Ręce precz od mojej córki! – wykrzykuje do lekarza, ruszając w jego stronę. W tej chwili wygląda na wyższego. Lekarz też musiał to zauważyć, bo natychmiast mnie puszcza.

– Przepraszam pana, ale Rebeca musi z nami współpracować. Mam na względzie tylko jej dobro...

– Moja córka przeżyła traumę, a pan grozi jej unieruchomieniem?! Zabieram ją do domu. Natychmiast.

Zsuwam się ze szpitalnej kozetki, staję na nogi i posyłam tacie promienny uśmiech. Nie sądziłam, że stać go na taki czyn.

Ledwie uniknęłam wpadki, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Andopolis manifestuje swój autorytet, działa z większą mocą i stopniowo odzyskuje kontrolę nad sytuacją, którą w moim przekonaniu już przejęłam. Kieruje nim coś więcej niż frustracja. On we mnie wątpi. Przestaje wierzyć w moją historię, w moje motywy. Mam nadzieję, że nie poddaje w wątpliwość wyników badania DNA, chociaż obecnie i to wydaje się możliwe.

Droga ze szpitala odbywa się w zupełniej ciszy. Nie mogę się opanować i przy każdym zakręcie zerkam przez ramię, szukając czarnej furgonetki. Z ulgą wchodzę do domu, zamykam drzwi i odcinam się od świata. Osaczona przez Andopolisa i czarną furgonetkę byłabym najszcześliwsza, gdybym w ogóle nie musiała wychodzić. Tropią mnie, nękają na każdym kroku. Jedynym bezpiecznym miejscem pozostał dom.

Siadam na kanapie i staram się uspokoić oddechami. Wiem, że poczucie bezradności to droga donikąd, wiem, że strach w niczym mi nie pomoże. Staram się go uciszyć.

Rodzice nie chcą, żebym jechała na dzisiejsze spotkanie z Andopolisem. Tata dzwoni do niego, żeby je odwołać, ale odwodzę go od tego pomysłu.

O umówionej godzinie Andopolis zatrzymuje się na podjeździe. Mogłabym poprosić tatę, żeby wyszedł do niego i powiedział, że nie przyjdę, ja jednak wolę nie przeciągać struny. Nie chcę narazić się na gwałtowną reakcję detektywa.

Wczoraj polecił, żebym wzięła coś do ukrycia twarzy, kiedy będziemy jechać autobusem na trasie McDonald – dom Bec. Wkładam kapelusz i wychodzę na spotkanie z Andopolisem. Gra toczy się dalej.

Jedziemy autobusem w milczeniu. Jestem tak wściekła na Andopolisa, że nie mogę mówić. Mam mu za złe, że próbował decydować za mnie, odebrać mi prawo do własnego ciała. To nieczyste zagranie. Tak, mam mu za złe, a on nie ma pojęcia, co go czeka.

Obserwuję przesuwające się za oknem przedmieścia i gotuję się ze złości. Pasażerowie rozmawiają ze sobą albo mówią do telefonów.

– Coś ci się dzisiaj przypomina? – pyta Andopolis.

Zaciskam pięści. Mam ochotę wymierzyć mu cios. Patrzę przez okno. Staram się zachować spokój, chociaż gniew przesłania mi oczy. Wiem, że gdybym pozwoliła sobie na wybuch, straciłabym kolejny przyczółek.

– Może powinniśmy zwołać konferencję prasową – szepczę.

Andopolis jest zaskoczony. Dobrze, powinien być.

– To nie jest najlepszy pomysł – mówi, upewniając się, czy nikt nas nie słyszy.

– A moim zdaniem jest. Ludzie powinni wiedzieć, że uciekłam. To może zainspirować inne ofiary.

To go postawi w fatalnym świetle. Jaką złożył wtedy deklarację? Że jeśli Bec żyje, on ją znajdzie. Cóż, nie znalazł.

– Chciałabym opowiedzieć swoją historię – ciągnę. – Myślę, że ludzie chętnie posłuchają o długiej i strasznej jeździe w radiowozie, podczas której omal nie wykrwawiłam się na śmierć. I z jakim oddaniem pomagał mi pan odzyskać pamięć, z wyjątkiem dzisiejszego dnia, kiedy usłyszałam, że mam do wyboru albo unieruchomienie, albo aresztowanie.

Żuchwa Andopolisa porusza się nerwowo.

– Wiesz, kto chciałby poznać twoją historię? Ja. Tylko na tym mi zależy.

Milczę. Powinien wiedzieć, że nie on jeden kocha ofiary. Wyobrażam sobie krzykliwe nagłówki:

Nieprofesjonalne śledztwo policji!

Dekada błędów i porażek!

Kompromitacja policyjnego detektywa!

I moje zdjęcie obok dominującego Andopolisa, prymitywnego samca alfa.

Blefuję, to oczywiste. Kontakt z prasą byłby o wiele groźniejszy dla mnie niż dla niego.

– Nic ci się nie przypomina? – rzuca warkliwie Andopolis.

Dupek. Zalewa mnie wściekłość.

– Zostaw mnie! – krzyczę z nutą hysterii w głosie.

W autobusie zapada cisza. Wszyscy pasażerowie piorunują Andopolisa wzrokiem.

– Uspokój się, Rebeco – mruczy, rozglądając się dokoła.

– Odczep się ode mnie! – wołam.

– Ej, koleś! – Siedzący przed nami mężczyzna w czapce bejsbolowej odwraca się do Andopolisa. – Zostaw tę dziewczynę w spokoju.

Andopolis wyciąga portfel, macha policyjną odznaką i mówi zdecydowanym tonem:

– Nie wtrącaj się.

Mężczyzna spogląda na mnie, po czym szybko się odwraca. Kiedy Andopolis macha odznaką, moją uwagę zwraca pewien szczegół. Jego paznokcie są na końcach nierówne i pełne zadr. Wcześniej tak nie wyglądały. Najwyraźniej zaczął je obgryzać.

– Przestań – mówi do mnie cicho, ale groźnie.

Mam ochotę wyskoczyć z autobusu i pobiec do domu, ale za bardzo boję się być sama. Czarna furgonetka pewnie jedzie za nami, czekając na stosowny moment.

W końcu dojeżdżamy do przystanku Bec. Andopolis wstaje, wciska przycisk STOP, chwytając mnie za ramię i wyprowadza z autobusu.

– Co to było, do cholery? – pyta, gdy stajemy na chodniku.

– Puść mnie!

– Przestań, Bec!

– To boli! – wołam, chociaż to kłamstwo.

Andopolis puszcza mnie, jakbym była naelektryzowana, a ja ruszam przed siebie energicznie. Nienawidzę go z całej duszy, liczę jednak, że pójdzie za mną, póki nie znajdę się blisko domu.

Nie sprawia mi zawodu.

– Nic nie pamiętasz, jak sądzę? – Musi niemal biec, żeby dotrzymać mi tempa. Jego obfity brzuch trzęsie się przy każdym kroku.

– Wie pan, co pamiętam? Lekarza kutafona, który na pańskie polecenie miał pobrać mi krew i który groził, że mnie przywiąże do szpitalnego łóżka.

– Jeśli pójdziesz do prasy, z nami koniec.

– I dobrze!

– Próbuję ci tylko pomóc, nawet jeśli tego nie chcesz. – Wzdycha sfrustrowany.

– To ma być pomaganie? Groźby wobec ofiary porwania w traumie? – Jestem zła, piekielnie zła, ale wiem, że teraz czas na łzy. Jasno pokazałam swoje stanowisko. Pokazałam, do czego jestem zdolna. Staję więc na ulicy, wbijam wzrok w ziemię, gryzę się w wewnętrzną stronę policzka tak mocno, że czuję w ustach krew. Oczy mi wilgotnieją. – Myślałam, że mogę panu ufać.

Patrzy na mnie rozdarty.

– Przepraszam – mówi w końcu bez przekonania.

Rozglądam się dokoła. Ulica jest pusta. Uciekam Andopolisowi, biegnąc w górę ulicy do domu Bec.

Nazajutrz rano leżę na brzuchu na kanapie i czekam na odgłos auta Andopolisa na podjeździe. Przyjeżdża mocno spóźniony. Pewnie tak mu dopieklam, że nie chce tu wracać. Jak widać, poważnie potraktował groźbę, że pójde do mediów. Jeśli to prawda, to oznacza, że życie Bec oficjalnie jest już moje. Wtedy nie musiałabym się już o nic martwić. Nastalby kres moich kłopotów.

Bawię się z Hektorem. Kociak goni stare sznurowadło, którym macham mu przed nosem raz w jedną, raz w drugą stronę. Nie wiem, co będę robić przez cały dzień. Mama pojechała z bliźniakami na zakupy. Oznajmiła, że skoro będę z Andopolisem, ona przywiezie mi jakieś rzeczy. Żałuję, że nie wzięłam od Jacka numeru telefonu. Mogłabym go poprosić, żeby po mnie przyjechał. Z drugiej strony głupio by wyglądało, gdyby ofiara uprowadzenia narzucała się facetowi. Hektor przewraca się na grzbiet. Wszystkimi czterema łapkami przebiera w powietrzu, usiłując złapać sznurowadło. Głaszczę go po brzuszku, a wtedy zastyga zaskoczony, błyskawicznie wraca do pozycji wyjściowej i cofa się, jakby został zaatakowany.

Nagle coś dociera do mych uszu. Płacz. Jest ledwie słyszalny. Przez ułamek sekundy poraża mnie nedorzeczna myśl, że to Bec. Wróciła do domu i zorientowała się, że zajęłam jej miejsce. Gdy ruszam w stronę schodów, płacz

staje się wyraźniejszy. To nie omamy słuchowe, to rzeczywistość. Ktoś w domu płacze naprawdę. To męski płacz. Staję u stóp schodów. Dźwięk dochodzi z lewej strony, z pokoju rodziców. Drzwi są zamknięte, więc pukam delikatnie. Nikt nie odpowiada, ale płacz ustaje. Zastanawiam się, czy nie wrócić na górę do siebie. Gdzieś głęboko w sobie czuję, że nie chcę oglądać płaczącego taty. Jest teraz częścią mojej rodziny, mówię sobie w duchu, a wczoraj w szpitalu wybawił mnie z opresji.

Otwieram drzwi. Tata siedzi na brzegu starannie zasłanego łóżka. To jedyny mebel w sypialni prócz nieskazitelnie czystych szafek nocnych po obu jego stronach. Rolety są opuszczone, blokując dostęp słońcu. Tata chowa twarz w dłoniach, ramiona ma uniesione. W szarym pokoju wyraźnie widzę jego czarną sylwetkę.

– Tato?

Podnosi głowę. Ma poszarzałą zmęczoną twarz.

– O Boże – mówi cicho. I znowu zaczyna płakać. Mam wrażenie, że każdy szloch rozdziera mu wnętrzności.

– Co się stało, tato?

– Nic, wszystko w porządku – szepcze.

– Dlaczego szepczesz? – pytam głośno.

Kiedy patrzy na mnie, w jego załzawionych oczach widzę panikę. Kładzie palec na ustach.

– Nikogo tu nie ma – mówię.

– Idź! – szepcze niecierpliwie.

Odwraca się ode mnie i spogląda w ziemię. Czeka, aż wyjdę. Dostaję gęziej skórki. Czy to ten sam człowiek, który wczoraj był taki władczy? Co zaszło przez ten czas?

– Nie denerwuj się – przymuszam się do mówienia, ale nie mogę go tak zostawić. – Kocham cię, tato. Wczoraj mnie uratowałeś.

Jego szept jest tak cichy, że muszę się pochylić i wytężyć słuch:

– Nie. Jest za późno. Już jest za późno.

Nie rozumiem, o co mu chodzi, ale zaczyna mnie przerażać. Serce tłucze mi się w piersi jak szalone, kiedy zamykam drzwi i idę do swojego pokoju.

Za sobą ciągle słyszę łkanie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bec, 14 stycznia 2003 r.

W pierwszym momencie Bec sądziła, że krzyk słyszała we śnie. To był okropny sen, jeden z najgorszych koszmarów. Po przebudzeniu przerażające obrazy towarzyszyły jej jeszcze przez chwilę, nim cofnęły się do podświadomości.

Jednak krzyk nie ucichł, a trochę już spokojniejsza Bec uważnie mu się przysłuchiwała. Był bez wątpienia realny. Może krzyczała mama, może tata, a może któryś z braci.

Wstała z łóżka i zaczęła iść do drzwi, ale tańczyły jej przed oczami. Gałka u drzwi zamigotała. Bec wyciągnęła przed siebie rękę, aż poczuła pod palcami chłodny plastik. Pociągnęła ją do siebie. Na korytarzu szła przy ścianie, macając ją ręką. Potem usiadła na szczycie schodów, wpatrując się w otchłań. Stłumiony krzyk przerażenia rozległ się znowu. Roztrzęsiona Bec na czworakach zsunęła się ze schodów. Na dole nie mogła wstać, pełzła więc dalej w stronę odgłosów.

W pobliżu pralni wyczuła dziwną energię. Hałas dochodził jednak zza drzwi. Coś działo się w garażu. Z trudem podniosła się i stanęła na wyłożonej płytkami podłodze. Wyciągnęła rękę w stronę klamki. Hałas się wzmógł. Był tak głośny, że ranił uszy. Dłoń Bec ześlizgnęła się z klamki. Jej palce lśniły na czerwono.

Obudziła się wcześniej. Jej pokój spowijało blade poranne światło. Wiejący wiatr brzmiał jak fale bijące o brzeg. Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest nad morzem. Że mieszka samotnie w drewnianej chatce i każdy dzień spędza na werandzie przed sztalugami, malując linię horyzontu. Niestety, nie umiała malować. Niemrawo podniosła się z łóżka. W nocy dręczyły ją koszmary, i to najgorsze z możliwych. Zamrugła, by przegnać straszliwe obrazy krwi i tortur.

Dziwiło ją, że nie pamięta, kiedy położyła się spać. Wspomnienia z domu Lizzie, sceny, w której zrobiła z siebie idiotkę, a potem upadku w parku były bardzo wyraźne, jednak całą resztę spowijała mgła. Z zakamarków pamięci Bec wydobyła fragmenty: rozszoszczeni na nią bracia, mama oglądająca jej głowę w łazience, ale wszystko było niewyraźne. Zupełnie jakby usiłowała przywołać zdarzenia sprzed wielu lat, a nie z wczorajszego wieczoru. Spojrzała na siebie. Zobaczyła, że spała w ubraniu, a sukienkę pokrywały czerwone plamy. Wyglądały jak krew. Zatkąła dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Odchyliwszy kóldrę, zobaczyła więcej krwi. Krew miała też na rękach. Drżącymi dłońmi uniosła sukienkę. Spodziewała się zobaczyć na ciele otwartą ranę, jednak skóra okazała się nietknięta. To nie była jej krew.

Zdjęła sukienkę przez głowę i pobiegła do łazienki. Wskoczyła pod prysznic w bieliźnie i odkręciła wodę. Z obrzydzenia dostała mdłości. Poczula żółć w gardle, opadła na kolana i zwymiotowała na płytki.

Kiedy wyszła z łazienki wyszorowana do czysta i owinięta ręcznikiem, zobaczyła na dywanie niewielkie czerwone plamki prowadzące w stronę łóżka. Szybko zdjęła z materaca pościel, zwinęła ją w bezładny kłęb i rzuciła na podłogę. To była jej wina. Zasnęła, zanim zablokowała drzwi krzesłem. Zjawa wróciła. Musiała wejść do pokoju i pochłapać ją krwią. Bec zacisnęła powieki, próbując odsunąć od siebie tę upiorną myśl. Znowu zebrało jej się na mdłości.

Ubrała się i zeszła do kuchni zrobić sobie kawę. Nie chciała być teraz

w swoim pokoju. Nie zniosłaby widoku czerwonych plamek na dywanie.

– Wcześniej wstałaś – zauważył tata, który jadł śniadanie przy kuchennym stole.

– Ty też – odpowiedziała, włączając czajnik.

– Zawsze wstaję wcześniej. Tyle że ty nigdy tego nie widzisz.

Zajęta kawą Bec nie miała ochoty z nim rozmawiać.

– Przepraszam za wczoraj, Becky – dodał po chwili ciszy. – Miałem pilną pracę w biurze. Jak się czujesz?

– Już dobrze. To był chyba udar cieplny.

– Nie przemęczaj się dzisiaj, dobrze?

– Dobrze – odparła, siadając przy stole.

– Mama powiedziała, że zapomniałaś zabrać chłopców na basen.

– Już przeprosiłam!

Ledwie ojciec skończył przeproszać, a już mówił o jej braciach.

– Wiem. Spróbuj im to wynagrodzić, dobrze?

Zignorowała tę uwagę. Jak bardzo musiałyby się rozchorować, żeby skupili uwagę na niej zamiast na bliźniakach? Na stole leżała gazeta otwarta na stronie z wielkim zdjęciem dymu i płomieni. Bec z trudem wyobrażała sobie pożar szalejący w niewielkiej odległości od ich przedmieścia. Ojciec skończył śniadanie i włożył talerz do zlewu. Nigdy nie miał jej zbyt wiele do powiedzenia. Kiedy odchodził, zwróciła uwagę na jego stopy. Były blade i bezwłose. Paznokcie miał trochę przydługie. Szybko odwróciła wzrok. Bała się, że znowu zwymiotuje.

Szum wody w łazience mamy ustał. Bec złapała kubek i pośpiesznie wróciła do siebie. Zaczęła się zastanawiać, skąd ten zwrot w relacjach z tatą. Kiedy była mała, w każdy piątkowy wieczór przynosił do domu nowe puzzle. Po przestąpieniu progu domu na jej widok triumfalnie potrząsał pudełkiem. Wtedy też mogła pójść spać później, póki nie ułożyła całości. To było coś wyjątkowego, czas spędzony nad puzzlami należał tylko do nich. Aż pewnego piątku przyniósł puzzle z końmi. Naprawdę uważał ją za jedną z miłośniczek koni? Za jedną z tych, które przychodziły do szkoły w bryczesach i nigdy nie miały z tego powodu kłopotów, chociaż ten element stroju nie był częścią szkolnego mundurka? Wymieniały się kartami ze zdjęciami koni, wyobrażały sobie, że ich krzesła to kłusujące kucyki i jeździły na nich, szaleńczo chichocząc. Bec nie rozumiała, jak tata mógł zaliczyć ją do tego grona. Dla zasady odmówiła ułożenia tych puzzli.

Miała jeszcze inny powód. Jej koleżanki dostawały już od rodziców pozwolenie na wspólne wyjście do kina w piątkowe wieczory. Bec nadal pamiętała wyraz twarzy taty. Po tej historii nigdy nie przyniósł już puzzli do domu.

Po wyjściu rodziców do pracy zniosła zakrwawioną pościel i sukienkę na dół. Była jak moczący się w nocy człowiek, który próbuje ukryć dowód swojej hańby. Wepchnęła wszystko do pralki i dodała wybielacza. Drzwiczki zamknęły

się z kliknięciem i pralka ruszyła. Bec obserwowała przez chwilę, jak pranie obraca się w bębnie. Nagle zapragnęła zależeć się w środku razem z nim. Poddać się działaniu wybielacza i odzyskać idealną czystość.

Wychodząc z pralni, zauważyła, że drzwi garażu są otwarte. Zamknęła je i nagle ogarnęła ją niewytłumaczalna panika. Miała przeczucie, że za chwilę wróci do niej wspomnienie koszmaru ostatniej nocy. Szybko złapała wybielacz oraz gąbkę i pobiegła na górę szorować dywan.

W pracy znowu poczuła się sobą. Drapiący poliester firmowego uniformu i woń skwierczącego mięsa podziały na nią kojąco. W środku kłębił się tłum klientów, więc Bec serwowała zamówienia na bieżąco. Ellen siedziała przy kasie po jej lewej stronie, Luke stał po prawej. Za plecami słyszała Matta tłukącego się po kuchni i głos Lizzie dobiegający z głośnika na stanowisku obsługi kierowców. Nie rozmawiali ze sobą, ale tak przywykli do synchronii, że poruszali się zgodnie jak w tańcu. Czowała się bezpieczna, zupełnie jakby nic złego nie mogło jej spotkać, gdy miała wokół siebie wszystkich tych ludzi. Byli jak jej rodzina.

Kiedy tłum się przerzedził, Luke objął Bec ramieniem. Poczowała lekki zawrót głowy, gdy owionął ją jego zapach.

– Jak leci? – zapytał.

– To się powtórzyło – odparła.

Poczowała ulgę, że może o tym opowiedzieć. Nie spaliła się ze wstydu. Świadomość, że nie jest z tym sama, była budująca.

– Ile było tej krwi? – zapytała Ellen.

– Całkiem sporo. Wszędzie widziałam zaschnięte smugi. – Pominęła informację o krwi na jej rękach.

– Czy to mogła być twoja krew? – zapytał Luke.

– Pyta, czy masz okres! – wypaliła Lizzie.

– Nie! Wcale nie! – Luke pchnął ją lekko.

– Nie mam okresu, czubku – rzuciła Bec.

Luke spąsował.

– Miałem na myśli skaleczenie, ranę, coś w tym stylu.

– Jasne, z boku jeden – powiedziała.

– Zamknij się! – powiedział, łapiąc ją wpół i mierzwiąc jej włosy.

Bec zapiszczała i odepchnęła go mocno. Po chwili śmiech uwiązał jej w gardle. Ellen lustrowała ją bacznie. Z kuchni przestały dobiegać odgłosy krzątania Matty'ego. Nie uwierzyli jej. Oczywiście, że nie, skoro wygłupiała się i śmiała. Tyle że ona nie umiała ukryć szczęścia, gdy obok był Luke. W jego towarzystwie nie czuła ani strachu, ani zdenerwowania, zwłaszcza gdy jej dotykał.

Problem polegał na tym, że powiedziała im prawdę. Nie próbowała zwrócić na siebie uwagi. Mówiła prawdę i miała zamiar im to udowodnić.

– Chcę przeprowadzić egzorcyzmy – oznajmiła.

– Tak! – podchwyciła Lizzie. – Przyniosę planszę.

– Może jutro. Przyjdziecie?

– Ja przyjdę – zadeklarował Luke.

Tłumiąc rozpierającą ją radość, Bec zwróciła się do Ellen i spojrzała jej prosto w oczy.

– A ty?

Ellen unikała jej wzroku. Bec nie umiała wytłumaczyć, dlaczego obecność szefowej była dla niej tak ważna.

– Nie możemy pójść wszyscy, Bec. Ktoś musi pracować.

– Pójdziemy po zamknięciu.

– Upiorne! – skomentowała Liz.

– Twoi rodzice nie będą mieli nic przeciwko temu?

– Będziemy cicho.

– Może zrobimy to w garażu? – zaproponowała Lizzie. – Jest oddzielony od reszty domu. Nie usłyszą nas, nie ma szans.

Na wzmiankę o garażu Bec znowu poczuła niezrozumiałość, ale całkiem realną panikę, ale zignorowała to.

– Zastanowię się, dobrze? – powiedziała Ellen.

Po wyjściu Ellen, kiedy zaczął zapadać zmierzch, Luke znowu podszedł do Bec i objął ją ramieniem. Przerwała wyjmowanie frytek z oleju i zastygła w bezruchu, wciągając w nozdrza jego zapach.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak. Poczulałam się lepiej, odkąd zdecydowaliśmy, że coś z tym zrobimy.

Trochę mijala się z prawdą, ale uznała, że właśnie to należało powiedzieć. Nie podobał jej się pomysł egzorcyzmów w garażu, ale Lizzie miała rację. Tylko garaż gwarantował, że nie obudzą rodziców.

– Najlepiej ci zrobi, jak oderwiesz się od tego wszystkiego. Wieczorem mój kumpel urządza imprezę. Powinnaś pójść.

Bec poczuła, że oblewa się rumieńcem.

– Z przyjemnością pójdę – powiedziała.

– Super. Adres wyślę ci esemesem.

Ścisnął jej ramię i wrócił za kontuar. Sukienka Scanlan & Theodore idealnie pasowała na tę okazję. Oczami wyobraźni Bec zobaczyła, jak zjawia się w niej na imprezie, a potem gawędzi z Lukiem na kanapie. Poznaje jego przyjaciół. A on znowu trzyma ją za rękę.

– Ej, zdziro, obudź się! – Liz klepnęła ją w pośladek.

– Mhm, wybacz. W tej firmie molestowanie seksualne jest na porządku dziennym – wypaliła Bec.

– A co powiesz na to? – Liz wetknęła jej palec w pierś.

– Au! – zaśmiała się Bec.

– Chcesz, żebyśmy razem przygotowały się na imprezę?

Serce Bec zabiło gwałtowniej.

– Jaką imprezę?

– Hm... Luke cię nie zaprosił? Dziwne – stwierdziła Liz.

– Zaprosił. A już myślałam, że to świetna impreza dla świetnych ludzi, nie takich frajerów jak ty.

– Widzę, że jesteś mistrzynią ciętej riposty. Nawet ci wyszła.

– Przygotujmy się u mnie – zaproponowała Bec. – Ciągle mam pod łóżkiem zapasy.

– Świetnie. Muszę w końcu zobaczyć nawiedzony dom na własne oczy.

Wracając na stanowisko w okienku do obsługi kierowców, Lizzie wydawała z siebie upiorne dźwięki. Nad frytkownicą paliła się lampa. Bec wpatrywała się w nią tak długo, aż przed jej oczami zaczęły tańczyć zielone zmiennokształtne plamy.

Może dobrze się stało, że Lizzie idzie ze mną, pomyślała Bec w drodze do domu. Nie wyobrażała sobie, by miała w pojedynkę pójść na imprezę. Lizzie gadała jak najęta i nagle umilkła, gdy Bec zanurzyła rękę w torebce w poszukiwaniu kluczy.

– Boisz się mojego domu? – zapytała Bec.

– Już dawno nie byłam u ciebie. Chyba zaczęłam wyobrażać sobie maskary, fosę albo coś w tym stylu.

Bec przewróciła oczami i przekręciła klucz w zamku. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. W korytarzu panowała absolutna cisza.

– Ty pierwsza – powiedziała Bec.

Lizzie zrobiła mały krok naprzód i w tym samym momencie bliźniacy wyskoczyli jej przed nosem.

– Łuuu! – wrzasnęli unisono.

Krzyk Lizzie mroził krew w żyłach.

– Cholerni gówniarze! – zawołała i rzuciła się w stronę Paula.

Chłopiec zrobił zręczny unik i wbiegł z bratem na górę. Obaj chichotali jak szaleni.

– Zaplanowałaś to? – spytała Liz, uważnie patrząc na Bec.

– Nie! Oni tacy już są. – Bec była wyraźnie rozbawiona wyskokiem bliźniaków.

– Jak Boga kocham, cieszę się, że nie mam młodszych braci – powiedziała Liz, zasłaniając twarz dłonią.

– Uspokój się. To tylko dzieci – skomentowała rozbawiona Bec, gdy wspinały się po schodach.

– Tak, ale dziwadła. Pamiętasz kolekcję martwych chrząszczy, którą znalazłaś u nich w szafie?

– To było dawno temu!

Bec zdusiła złość, którą zawsze czuła, gdy ktoś źle mówił o jej braciach. Lizzie przestraszyła się nie na żarty, więc dała jej spokój. Przyjaciółka stała teraz na progu jej sypialni i wpatrywała się w ciemność. Bec włączyła światło i poczuła, że Lizzie sztywnieje.

– Wszystko w porządku – rzuciła. – Zero potworów, tylko wódka.

Wyciągnęła spod materaca opróżnioną do połowy butelkę wódki waniliowej. Lizzie uśmiechnęła się blado, wpatrzona w dywan. Bec zorientowała się, że przyjaciółka patrzy na maleńkie plamki. Dwa razy szorowała je dzisiaj rano, ale osiągnęła tylko tyle, że z czerwonych stały się bladioróżowe.

– Bec, to mnie naprawdę przeraża. Nie rozumiem, co się dzieje.

– Teraz to nieważne. Pomyślmy o tym jutro. – Widziała, że Liz nadal się waha, zupełnie jakby bała się, że po przekroczeniu progu pokoju Bec znajdzie w niej jakąś przemianę.

– Może to jednak była moja krew menstruacyjna.

– Naprawdę? – W kącikach ust Liz igrał leciutki uśmiech. Był szczery.

– Prawdopodobnie.

– Ty wredna suko! Nie stanę na tym! – Lizzie przeskoczyła nad plamami i usiadła obok Bec. Wyjęła jej z rąk butelkę i pociągnęła łyk. – Jezu, co za świństwo! – wykrztusiła chrypliwie. – Następnym razem bierzemy tylko normalną, dobrze?

– Następnym razem weźmiemy dzin – oznajmiła Bec. – Podobno jest super. – Poczuła ulgę, że jej pokój przestał już być sceną horroru. Odzyskała go dla siebie i znowu mogła się w nim śmiać.

– Tata mówi, że przy dzinie człowiek robi się płaczący – wyjawiała Liz.

– Tak, ale twój tata to mięczak.

– Mój tata nie jest mięczakiem! – Lizzie cisnęła w nią poduszką.

Bec skoczyła na równe nogi, żeby się uchylić, i spytała kpiąco:

– Więc dlaczego płacze, kiedy pije dzin? – Przerwała na moment. – Nieważne, szykujmy się. Dziś wieczorem chcę być sexy! To był koszmarne tydzień. – Sięgnęła po zielononiebieską sukienkę.

Lizzie zaczęła przeglądać wiszące na wieszakach rzeczy Bec, nie wypuszczając butelki z ręki.

– Lepiej, żebyś miała coś odpowiedniego, co będzie pasować na moje cycki – powiedziała.

– Ukradłam tony ciuchów, które nie pasują nawet na mnie.

– Jak ten? – Lizzie wyjęła z szafy szkaradną bezkształtną sukienkę ze spłowiałej kraciastej bawełny, z jakiej szyje się ścierki do naczyń.

– Odwieś ją! Oczy mnie od niej boją.

– Czemu ją trzymasz?

– Mama mi ją kupiła, a teraz cierpi, że w niej nie chodzę.
– Nie chodź. – Liz obrzuciła ją poważnym spojrzeniem. – Nawet jeśli to rani jej uczucia. Nigdy nie noś tej kiecki.

– Prędzej umrę. – Bec usiadła przed lustrem i zaczęła nakładać nowy makijaż na stary.

– Mogłabym włożyć to. – Lizzie wyjęła z szuflady czarną skórzaną spódniczkę mini. – Będę wyglądać jak domina!

– Nigdy nie byłam w stanie jej włożyć.

– Czemu? Jest taka zdirowata, że aż mi się podoba – rzuciła rozbawiona Liz i odłożyła spódnicę do szuflady.

Bec wróciła do nakładania makijażu. Miała zamiar zrobić się na bóstwo. Jej telefon zabrzączał. To Luke przysłał wiadomość z adresem. Na końcu był mały x. Jak buziak. Bec widziała w lustrze, jak na jej twarzy pojawia się głupawy uśmiešek.

– Impreza jest w Deakinie.

– Pójdziemy pieszo?

– Nie, chcę włożyć wysokie obcasy. Poproszę mamę, żeby nas odwiozła.

Kredka do oczu wędruje idealnie wzdłuż brzegu zamkniętej powieki, tusz do rzęs nie zostawia żadnej grudki. Lewe oko wyglądało doskonale. Bec zakryła dłonią prawą stronę twarzy, a potem lewą, by utwierdzić się w przekonaniu, że o wiele lepiej wygląda umalowana. W pokoju panowała dziwna cisza. Lizzie milczała. Bec tak przywykła do jej paplaniny, że nagłe milczenie przyjaciółki wzbudziło jej niepokój. Liz patrzyła w głąb szafy z dziwną miną.

– Co się stało? – spytała Bec.

– Możesz poprosić tatę, żeby nas odwiózł?

– Dlaczego nie mamę?

– Nie wiem... – Lizzie przerwała na moment. – Przy twojej mamie czasem czuję się dziwnie.

– To znaczy jak?

– Nie wiem.

Bec przyjrzała się przyjaciółce, szukając odpowiedzi na jej twarzy, ale nic nie znalazła.

– Dobrze, poproszę tatę. Jest mi winien przysługę.

Poderwała się sprzed lustra i zbiegła po schodach. Jej rodzice siedzieli na kanapie i oglądali wiadomości.

– Tato, odwieziesz mnie i Lizzie do Deakinu?

Oderwali wzrok od telewizora i spojrzeli na nią. W niebieskawym świetle ekranu przypominali kosmitów. Mieli zmęczone oczy. Między nimi wyczuwało się obcość, zupełnie jakby Bec przerwała im bezgłośnie kłótnię.

– Dobrze, skarbie – odpowiedział, po czym oboje wrócili do oglądania

informacji.

Kiedy w milczeniu jechali do Deakinu, Bec pożałowała, że nie poprosiła mamy o podwiezienie. Chciała schylić się i włożyć buty, ale poczuła pierwsze symptomy choroby lokomocyjnej. Tata prowadził w taki sposób, jakby był na wpół uśpiony. Miał szklany wzrok i siedział za kierownicą dziwnie zgarbiony. Kiedy włączył kierunkowskaz, sygnalizując zamiar zjazdu z głównej drogi, jego dźwięk zabrzmiał w aucie jak bicie serca.

– Dalej pójdziemy pieszo! – krzyknęła Lizzie zaraz po zjeździe z Adelaide Avenue.

– Rozumiem. Żadnych rodziców, tak? – powiedział, zatrzymując samochód.

– Dzięki za podwiezienie, tato – powiedziała Bec.

– Tak, dzięki, panie Winter! – zawołała Lizzie i trzasnęła drzwiami.

Ojciec ruszył przed siebie niepewnie jak dziecko uczące się chodzić.

– Rany, ale twój tata beznadziejnie prowadzi – stwierdziła Lizzie. – Nawet ja byłabym lepsza.

– Wiem. Niedobrze mi. – Bec dotknęła rękami czoła. Mdłości powoli ustępowały.

– Wódka waniliowa dołożyła swoje – powiedziała Lizzie. – No, ruszajmy. To tylko dziesięć minut piechotą stąd.

– O cholera – jęknęła Bec, patrząc na swoje stopy. – Zostawiłam buty w aucie!

– No nie! Co teraz? Dzwonimy do niego?

– Nie. Chrzanić to. I tak nie mogę chodzić w tych butach.

Zaśmiały się i ruszyły przed siebie. Ulice były opustoszałe, chociaż dochodziła dopiero dziewiąta trzydzieści. Po paru minutach ciszę zmąciły rytmiczne dźwięki. Podchodząc bliżej, zobaczyły tłum kłębiący się przed jednym z domów.

Przeciskając się między uczestnikami zabawy, poszły w stronę źródła pulsujących basów. Za domem roilo się od ludzi. Jedni tańczyli, inni rozmawiali na werandzie. Pary obściskowały się przy ogrodzeniu. Na drzewach wisały jasnoniebieskie światełka przypominające migoczące gwiazdki. Bec zauważyła w tłumie Luke'a. On dostrzegł je w tym samym momencie. Kiedy do nich podchodził, w jego oczach odbijały się wszystkie światełka. Przez ciało Bec przebiegł przyjemny dreszcz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

2014 r.

Dzwoni mój telefon. Na ekranie wyświetla się nieznany numer.

– Słucham?

– Cześć, co słyhać? – pyta jakiś mężczyzna.

– Kto mówi? – pytam, uśmiechając się z ulgą. To nie „jakiś mężczyzna”, tylko ktoś bardzo konkretny.

Od wielu godzin siedziałam w spowitym ciszą domu i zaczynałam czuć się upiornie.

– Kurwa, przepraszam. To ja. To znaczy Jack.

– Wiem, że to ty, kretynie.

Jack kwituje moje słowa śmiechem. Słyszę za oknem jakiś samochód, więc zerkam nerwowo za okno. Na szczęście to mama, nie Andopolis.

– Mhm... Jak leci? – pyta Jack.

– Wszystko w porządku. Masz ochotę gdzieś wyskoczyć? Siedzę tu jak w klatce.

– Jasne. Kiedy?

– Może teraz, co?

Do pokoju wchodzi mama, kładzie w nogach mojego łóżka torbę i wychodzi na palcach.

– Teraz? Dobrze.

– Jack, możesz po mnie przyjechać?

– Pewnie. Już jadę.

– Super. – Rozłączam się.

Uśmiecham się do siebie. Ten dzień zapowiada się coraz lepiej. Torba z rzeczami leży na moim łóżku jak worek z prezentami od Świętego Mikołaja. Nie mogę się powstrzymać i zaglądam do środka. Zapach nowych ubrań, starannie zapakowanych w elegancki papier, odurza i oszałamia. Zawsze poprawiał mi nastrój. Aż za bardzo. Pamiętam, kiedy macocha znalazła u mnie pod łóżkiem torby. To było w moim prawdziwym domu. Pakunki i pudełka z butami z najdroższych butików w Perth. Pomyślała, że w tajemnicy spotykam się z bogatym chłopakiem, i to ją uszczęśliwiło. Trzymając rękę na wydatnym już brzuchu, posłała mi uśmiech, ciesząc się perspektywą mojej ewentualnej wypowiedzki przed narodzinami jej dziecka.

Tak naprawdę nie miałam chłopaka, tylko szufladę pełną kart kredytowych jej koleżanek. Bardzo ją zaskoczyłam, gdy zaczęłam pomagać jej gościom w odkładaniu torebek i odwieszaniu wierzchnich okryć podczas każdego żalosego przyjęcia, jakie urządzała. Nie wiedziałam, że za coś takiego grozi więzienie.

- Wychodzisz? – pyta mama, wyłączając odkurzacz.
- Na parę godzin. Z Jackiem. Nie masz nic przeciwko temu?
- Oczywiście, że nie, skarbie. Z Jackiem, bratem Lizzie?
- Tak.

Zanim ponownie uruchamia odkurzacz, ściskam ją mocno i wdycham charakterystyczny dla niej zapach wanilii. Jeżeli Andopolis naprawdę zostawił tę sprawę, to oznacza, że w końcu jest moja.

Wychodzę przed dom, żeby tam poczekać na Jacka. W torebce mam paczkę papierosów. Natykam się na Paula, który opiera się o drzewo i pali.

- Przyłapałaś mnie – mówi.
- Nikomu nie powiem, jeśli mnie poczęstujesz.
- Becky! Nie spodziewałem się, że dożyję tego dnia. – Paul pstryka w spód opakowania i z otworu wyskakuje jeden papieros, którym mnie częstuje.
- Sprytnie – chwałę go.

Paul unosi brwi i zapala mi papierosa. Zaciągamy się z przyjemnością. Czuję, że jest mi bliżej do niego niż do Andrew. Dobrze spędzić chwilę tylko z nim. Czasem sprawiają wrażenie takiego monolitu, że wydaje mi się niemożliwe rozdzielenie ich na dwie indywidualności. Na sąsiednim podjeździe pojawia się kombi. Wysypuje się z niego gromadka rozwrzeszczanych dzieci, które wchodzą do domu za matką o znękanej twarzy.

– Max odszedł kilka lat po tobie – mówi Paul, jakby odpowiadał na niezadane przeze mnie pytanie.

- Zastanawiałam się nad tym – kłamię.

Pewnie ma na myśli sąsiada, który mieszkał w tym domu za czasów Bec.

– Miał kolejny napad, krzyczał przez całą noc, aż pewnego dnia wyszedł i już nie wrócił. Pewnie odbiło mu po tych jego lekach.

- Och nie – mówię, nie bardzo wiedząc, jaki poziom smutku udawać.

Paul wzrusza ramionami, a ja strącam popiół w trawę.

- Jak poszło z Vince’em dziś rano? – pyta.

– Nie przyjechał.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Myślisz, że trochę odpuści?

– Jestem pewna, że nie – odpowiadam po chwili. Nie chcę go martwić. – Może coś mu wypadło w pracy.

Gdy widzę rozklekotany wóz Jacka wjeżdżający na nasze wzgórze, gaszę papierosa o pień drzewa. Paul patrzy na auto, a potem spogląda na mnie i znowu unosi brwi.

- Zamknij się! – mówię i ruszam naprzeciw Jacka.

Jack zabiera mnie do Glebe Park. Wiem, że jeszcze nie powinnam

pokazywać się w miejscach publicznych, ale nie umiem odmówić. Prawie już zapomniałam, jaki Jack jest wysoki. Sięgam mu ledwie do ramienia. W kafejce kupujemy kawę i ciasto i siadamy na trawie. Siedząc po turecku, Jack wygląda komicznie, zupełnie jakby jego nogi były zbyt długie, żeby można było z nimi zrobić cokolwiek sensownego. Mam ochotę usiąść przed nim i wtulić się w niego plecami, ale tego nie robię. Powinien poczuć, że na to musi sobie zasłużyć.

Jak na jesień to całkiem ładny słoneczny dzień. Roześmiane dzieci szaleją na urządzeniach do zabawy, niektóre obrzucają się pomarańczowymi liśćmi. Matki siedzą na ławkach. Część plotkuje, część pogodnym wzrokiem obserwuje swoje dzieci. Paru urzędników publicznych je późny lunch, ogólnodostępne kanapki odwinęte z folii spożywczej. Od czasu do czasu podnoszą głowy znad dokumentów. Zamykam oczy. Powinnam cieszyć się chwilą, kremową konsystencją kawy, kwaskowatą słodką ciasta z kremem i malinami. Ciepłym powietrzem, zapachem drewna i ściętej trawy. Otworzywszy oczy, widzę, że Jack uważnie mi się przygląda. Wcześniej nie zauważyłam, że jego tęczówki mają zielonkawy odcień z maleńkimi złocistymi plamkami na brzegach. Są bardzo ładne. Prawdę powiedziawszy, wszystko w nim jest ładne. Szczupłe, ale silne ramiona. Potargane włosy. Głupawy uśmiech. Gdybym była prawdziwą sobą, z pewnością już bym go pocałowała, teraz jednak jestem Bec i nie mogę zapominać prawdziwego powodu, dla którego jestem tu z Jackiem.

– Wybaczyłeś już Lizzie? – pytam.

– Tak, wybaczyłem. Trudno się długo na nią wściekać, prawda?

– Mhm... – Zawieszam głos. Po dłuższej chwili zaplanowanego z rozmysłem milczenia ciągnę: – Szczerze mówiąc, chciałabym cię o nią zapytać, ale nie chcę, byś się poczuł niezręcznie.

– Pytaj. O co chodzi? – Patrzy na mnie uważnie z przekrzywioną głową.

– Hm... Kiedy widziałam ją parę dni temu, poczułam od niej dziwne wibracje... aureę, no, coś dziwnego. Jakby... sama nie wiem... jakby była na mnie zła. To takie... – Urywam i uciekam wzrokiem. Trudno kłamać, mając przed sobą tak piękne oczy.

– Jakie?

– Przepraszam. Nie powinnam o niej z tobą rozmawiać. To nie fair.

– Bec... – Delikatnie dotyka mojego ramienia. – Bec, powiedz, co ci leży na sercu. Może jakoś zdołam ci pomóc.

– Byłam niesamowicie szczęśliwa, że ją widzę, ale z jej strony nie czułam tego samego. Jakby mnie sprawdzała, jakby nie wierzyła, że to naprawdę ja. To mnie martwi.

W trudnych sytuacjach, gdy się z kimś rozmawia, nigdy nie zaszkodzi uderzyć w jego czułą strunę, by wzbudzić współczucie. Jack patrzy na mnie smutno i ściska za kolano. Ma ciepłą dłoń. Cofa ją, a ja wcale tego nie chcę. Mija

kilka dobrych chwil, zanim zaczyna mówić.

– Lizzie ciężko przeżyła twoje zniknięcie. Naprawdę bardzo ciężko. Po tym wszystkim ludzie traktowali ją nie jak Elizabeth Grant, ale jak najlepszą przyjaciółkę zaginionej Rebeki Winter. Albo zachowywali dystans, bo nie wiedzieli, jak z nią rozmawiać, albo zarzucali pytaniami o ciebie.

– To okropne.

– Wiem, widziałem tego skutki. Bardzo ją to zmieniło. Może ci nie mówiła, ale w tej chwili świetnie sobie radzi.

– Nie mówiła – odpowiadam cicho.

– Jestem z niej naprawdę dumny. Wspięła się po drabinie służby publicznej, jest teraz szefową rodziców waszych szkolnych koleżanek. To tylko część jej osiągnięć. – Przerwał na moment. – Ale wtedy czuła się bardzo samotna. Na parę lat wycofała się z życia i całkiem skupiła na nauce.

Nie wiem, co powiedzieć. Jack w zamyśleniu patrzy przed siebie zamglonym wzrokiem. Mój plan nie wypalił, a muszę mieć Jacka po swojej stronie. Czekam, aż znowu zacznie mówić. Ale jeśli ponownie skieruję rozmowę na siebie, wyjdę na egoistkę. Zerkam wokół siebie. Wiatr delikatnie kołysze gałązkami niedawno posadzonych roślin, pięknie tu, przyjaźnie, dobra sceneria dla szczerych rozmów.

– Ojciec też niewiele pomógł – ciągnie Jack. – A raczej wręcz przeciwnie. Wpędził Lizzie w poczucie winy, że nie było jej, kiedy przyszaś do nas tamtego dnia, no wiesz... Nie tylko był pewien, ale ciągle to powtarzał, że po prostu uciekłaś. Lizzie czuła, że gdyby wtedy tam była, to jakoś by zapobiegła temu nieszczęściu.

– Nic nie mogło zapobiec temu, co mnie spotkało – mówię, korzystając z okazji.

– Cholera. Przepraszam, Bec. – Spojrzenie Jacka znów jest jasne i skupione.

– Nic się nie stało. Sama poruszyłam ten temat. Cieszę się, że już wiem. Biedna Lizzie. To musiało być straszne.

– Jesteś taka bezinteresowna. – Uśmiecha się ciepło. – Tak, to był trudny czas dla Lizzie, ale nie możesz obwiniać o to siebie.

– Ciągle czuję się winna – odpowiadam, trącając czułą nutę.

– Nie masz powodu. Lizzie nie powinna zrzucać na ciebie odpowiedzialności. To niedorzeczne.

– Mógłbyś z nią porozmawiać?

– Spokojna głowa.

– Dzięki. – Kładę dłoń na jego dłoni.

Patrzy na nasze ręce, potem na mnie i uśmiecha się. Zwykle kiedy mam do czynienia z ludźmi, którzy tak łatwo dają się nabrać, uważam ich za słabeuszy, a nawet za głupców. Jednak w tym przypadku moja sympatia do Jacka rośnie.

– W takim razie dlaczego Lizzie jest na ciebie wściekła?

– Uff... – Jack wzdycha czy też fuka głośno. – Bo uważa, że za bardzo angażuję się w coś, w co nie powinienem.

– W co? – dopytuję zżerana ciekawością. – No powiedz!

– Pokażę ci – mówi Jack, wstając i strzepując z dzinsów grudki ziemi oraz żdźbła trawy.

Wchodzę za Jackiem do jego domu, potem schodami na górę. Żałuję, że mam na sobie skromne nierandkowe majtki Bec. Dom Jacka jest nowoczesny i ogromny, o wiele większy od domu Bec i prawie tak wielki jak mój dom w Perth. W sypialni panuje lekki rozgardiasz. Jest skąpana w promieniach słońca. Łóżko stoi pośrodku, przy nim biurko i komputer pokryty samoprzylepnymi karteczkami. Pod ścianą stoi stos tekturowych prostokątów. Za oknem dostrzegam pas niebieskiej wody, czyli basen.

– Nie osądzaj mnie po tym, że ciągle mieszkam w rodzinnym domu – mówi Jack. – Na jakiś czas się wyprowadziłem, ale potem musiałem...

– Nie osądzam cię – wpadam mu w słowo.

– Przynajmniej mam już za sobą fazę heavy metalu.

– Co za ulga – mówię, pamiętając swoją fazę.

Jack zauważa, że patrzę na zdjęcia zakrywające z jednej strony tekturowe prostokąty. To dziecięce obrazki powiększone do rozmiarów plakatu.

– To rysunki wykonane przez dzieci mieszkające w australijskich ośrodkach dla nielegalnych imigrantów. Jeden z pracowników organizacji Ratujmy Dzieci przesmuglował je z obozu, zanim dostał zakaz wstępu. Umieściliśmy je na transparentach, które nieśliśmy podczas demonstracji parę miesięcy temu.

Przeglądam proste dziecięce rysunki, widzę wielkie smutne twarze, łzy płynące po policzkach. Dzieci wokół siebie narysowały klatki. Na jednym widnieje ogromne słońce o złej twarzy. Na innym człowiek pod drzewem. Dopiero po chwili orientuję się, że rysunek przedstawia wisielca. W dolnym rogu widzę podpis:

Melika, 6 lat

Odkładam transparenty na miejsce. Są zbyt przygnębiające, żeby obejrzeć je wszystkie.

– To straszne – mówię.

– Wiem. – Jack siada na krześle przed komputerem. – Coś ci pokażę...

Otwiera bloga i przewija strony. To wygląda na stronę aktywisty wspierającego uchodźców proszących o azyl. Widzę niewyraźne zdjęcia białych polityków palących cygara i jedzących kolacje w eleganckich restauracjach, a obok nich fotografie arabskiego nastolatka z zaszytymi ustami czy małej Afrykanki przyciśniętej do ogrodzenia.

– To było jeszcze przed blokadą informacji.

– Mhm... Nie bardzo się orientuję w dzisiejszej polityce. – Urowadzenie i przetrzymywanie przez lata jest świetnym usprawiedliwieniem niewiedzy

o świecie.

– Przepraszam – mówi Jack. – Nie zapomniałem. Po prostu...

– Nic się nie stało. Chcę to zrozumieć. Wyjaśnij mi sytuację.

– Cóż... – Jack urywa, żeby zebrać myśli. – Przerwij mi, jeśli już to wiesz, dobrze? Nie chcę wyjść na faceta, który traktuje cię jak głupią.

– Bez obaw. Mów. – Naprawdę niewiele wiedziałam o tych sprawach. Polityka nigdy mnie nie interesowała.

– W przeciwieństwie do innych krajów, Australia odsyła ludzi starających się o azyl do ośrodków dla nielegalnych imigrantów. Za naszego dzieciństwa to były Woomera i Villawood, pamiętasz? W samym środku pustyni.

Ja kiwam głową, a oczy Jacka błyszczą. Ten temat naprawdę go zajmuje.

– Mów dalej – proszę.

– Prawo zostało zmienione na gorsze. Teraz odsyłamy ich na Nauru i Manus na Pacyfiku, gdzie panują straszne warunki. Ciasnota, brak nadziei, uchodźcy mieszkają w namiotach w potwornym skwarze. Nowy rząd wprowadził blokadę informacji dla mediów, a próby dotarcia do prawdy są niebezpieczne. Rząd nie chce, żebyśmy cokolwiek o tym wiedzieli. Zdobyliśmy jednak to zdjęcie. Z helikoptera. – Pokazuje fotografię wojskowych namiotów stojących ciasno jeden przy drugim, otoczonych wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego. Ludzie trzymają jakieś napisy, ale z góry są nieczytelne. – Trzyma się ich tam latami, dzieci też. Utrzymanie tych obozów kosztuje miliardy, a jednak nie wiadomo dokładnie, co się tam dzieje. Mimo blokady kilka informacji wyciekło. Jakiś mężczyzna zmarł z powodu zakażenia, które dałoby się wyleczyć. Po prostu skaleczył się w stopę. Strażnicy molestują seksualnie przebywających tam ludzi, nawet dzieci, Bec. To masowy proceder, ale nic się z tym nie robi. Niektóre dzieci próbowały się zabić. – Jack przełyka ślinę i spogląda na zdjęcie. – Wszyscy tak bardzo boją się tych ludzi, których uważają za potwory, że umyka im jeden fakt: to my staliśmy się potworami.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Czuję się strasznie, że nic o tym nie wiem, że wyłączałam telewizor, gdy zaczynano o tym mówić. Uważałam, że tu chodzi o politykę, nie o ludzkie życie. Poczucie winy nie pomoże mi w obecnej sytuacji, próbuję więc zmienić temat:

– Ale co to ma wspólnego z tym, że Lizzie się na ciebie wścieka?

– Autor tego bloga używa pseudonimu Kingsley – mówi Jack, patrząc na mnie uważnie. – Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska. Myślę, że można go nazwać dziennikarzem partyzantem. To on zorganizował protest, chociaż niewiele to dało.

– Dlaczego jest anonimowy? – Wyobrażam sobie, że komuś, kto działa tak aktywnie, zależy na poklasku.

– Z Kingsleyem współpracował inny facet, który używał prawdziwego

nazwiska. Był dumny, arogancki. I od roku nikt o nim nie słyszał. Pewnego dnia zniknął... ot tak. – Jack pstryka palcami. – Kingsley musi pozostać anonimowy, jeśli ma zrobić to, co zamierza. Chce pójść dalej i potrzebuje mojej pomocy.

– Twojej pomocy? Czy to niebezpieczne?

– Nie, jasne, że nie! – Jego oczy nagle łagodnieją. – A teraz powinienem cię odwiedzić. Muszę iść do pracy.

– Dobrze – odpowiadam rozczarowana. Nie jestem jeszcze gotowa na powrót do domu. Usiłuję naprędce znaleźć dobry pretekst, żeby go zatrzymać, ale Jack już stoi na korytarzu z kluczami w rękę. Schodzę za nim po schodach.

– Na razie! – woła.

Odwracam się. W salonie siedzi mężczyzna. Podnosi głowę znad iPada trzymanego na kolanach. Na twarzy igra mu sarkastyczny uśmiezek. Wygląda na pięćdziesiąt lat. Ma przerzedzone włosy zaczesane do tyłu i nowe modne ciuchy. Jack ma jego nos, Lizzie jego oczy. Musi być ich ojcem.

– Cześć – rzucam, czekając na nieuchronne zdumienie w oczach na mój widok. Zaczynam do tego przywykać.

– Cześć, Bec – odpowiada, uśmiezek jednak nie znika mu z twarzy. Znowu spogląda na iPada, jakby mój widok nic dla niego nie znaczył.

Jack skręca w kierunku mojego domu. Coś, co ma związek z jego ojcem, nie daje mi spokoju, ale staram się skupić całą uwagę na Jacku. Nastrój nieco mu się zmienił, a w pokoju wyczułam w nim nieufność. Nie sądzę jednak, żeby to miało związek ze mną. Jack coś ukrywa, ale jest za wcześnie, żeby to drażnić.

– Twój tata nie był zaskoczony moim widokiem – rzucam.

– Przez kilka ostatnich dni stanowiłaś główny temat naszych rozmów.

– Naprawdę?

– Tak. Poza tym – zawiesza na chwilę głos – chyba ciągle pamięta, co powiedziałaś o nim Lizzie.

– A co powiedziałam?

Jack obrzuca mnie baczny spojrzeniem. Domyślam się, że to coś, co powinnam wiedzieć.

– Nieważne – mówi w końcu.

– Gdzie pracujesz? – pytam z nadzieją, że znowu zacznie mówić o sobie.

– W Czerwonym Krzyżu. – Wyciąga spod kurtki z kapturem skrawek czerwonej kamizelki. – Mam nocną zmianę.

– Serio? Jezu, Jack!

– Co?

– Jesteś jak święty!

– Wcale nie – oponuje, ale lekko się przy tym czerwieni. Podoba mu się, że tak o nim myślę.

– Jesteś taki miły, że nie wiem, co z tobą robić.

– Nie jestem taki miły – mówi, usiłując nadać swojemu głosowi twardy ton.

– Nawet nie próbuj! – Trącam go w ramię.

Śmieje się, jest ewidentnie zawstydzony. Dziwi mnie, że w szkole średniej fascynował się metalem. Jest głupkowaty. Łatwiej go sobie wyobrazić jako spiętego gamonia, który boi się poprosić dziewczynę do pary na lekcji tańca.

Ujmuje moją dłoń i zamyka ją w swojej, drugą rękę trzymając kierownicę. Wodzi palcem po moich kostkach. Czuję, jak ciepły prąd rozchodzi mi się po ciele. Może jednak Jack nie jest i nigdy nie był takim gamoniem. Słońce świeci prosto w przednią szybę. W tej chwili nie myślę o Andopolisie, o esemesie, o tacie łkającym samotnie w sypialni. Jestem w stanie myśleć tylko o jednym. O dotyku palców Jacka na mojej dłoni.

I wtedy ją widzę.

– Zatrzymaj się – rzucam stanowczo.

– Och, przepraszam. – Puszczam moją rękę.

– Nie o to chodzi. Po prostu się zatrzymaj.

Jack włącza kierunkowskaz i zjeżdża do krawężnika. Furgonetka robi to samo. Dzieli nas od niej kilka aut.

– Ta furgonetka mnie śledzi.

– Śledzi? Od kiedy?

– Od mojego powrotu.

– Nie sądzę, żeby... – Urywa i patrzy we wsteczne lustro.

– Sama już nie wiem. – Nagle czuję przypływ determinacji. – Dowiedzmy się.

Odpinam pasy i wysiadam. W towarzystwie Jacka nie czuję się taka bezradna. Jestem zmęczona ciągłym strachem. Słyszę, że Jack też wysiada.

– Bec! – woła.

Ignoruję go, chociaż serce wali mi jak młot.

Zbliżając się do furgonetki, usiłuję zobaczyć coś przez okna, ale są przyciemnione. Jack dogania mnie i zastępuje mi drogę.

– Powinniśmy wezwać policję.

– Nie. – Chcę go ominąć, ale nie odpuszcza.

– Musimy! To może być niebezpieczne. Już raz... już raz cię straciłem.

Wyjmuje z kieszeni telefon i zaczyna wybierać numer alarmowy. Kładę mu rękę na ramieniu. Podnosi głowę znad telefonu. Nie mogę mu pozwolić na wezwanie policji.

– Pójdiesz ze mną? W twojej obecności nic mi nie grozi. – Po tych moich słowach Jack wpatruje się we mnie w napięciu z palcem wiszącym nad klawiszem ze słuchawką. A ja dodaję: – Mam dość nieustającego strachu, Jack. Muszę to w końcu zrobić.

Bierze mnie za rękę, ścisną mocno i mówi:

– Dobrze, Bec.

Im bardziej zbliżamy się do furgonetki, tym większą mam ochotę uciekać. Wraca do mnie człowiek bez twarzy z moich snów. Zaczynam drżeć. Przystaję, kiedy jesteśmy już blisko okna kierowcy, jednak dostatecznie daleko, by w razie zagrożenia salwować się ucieczką.

– Ej, palancie! – wrzeszczę. – Czemu mnie śledzisz?

Zero reakcji, w szybie widzę tylko własne odbicie.

– Mam twoją rejestrację. Za dziesięć sekund wzywam policję.

Ze środka furgonetki dobiega jakieś szuranie.

– Dziesięć, dziewięć, osiem – zaczynam odliczać i wtedy szyba opada. Moje ciało napina się w oczekiwaniu na widok potwora.

Kierowca nie jest potworem. To gruby facet w okularach, który spogląda na mnie przez otwarte okno.

– Daj spokój, po co od razu wzywać gliny – mówi jękliwym głosem.

– Dlaczego za mną jeździsz?

– Rebeca? – odpowiada pytaniem na pytanie.

– A kto pyta? – wtrąca Jack, zanim zdążę zareagować.

– Okej... – Facet odchrząkuje. – Jason Borka, Kanał Ósmy. Jesteś Rebeca Winter?

– Dlaczego ty pierwszy nie odpowiesz na pytanie? – Jack nie daje za wygraną.

– Czy to nie jest oczywiste? Musiałem się upewnić – odpowiada tym swoim irytującym głosem, taksując mnie od stóp do głów. – Już mnie przekonałaś. Jeśli zgodzisz się na wywiad na wyłączność, dostaniesz niezłą kasę.

Kilka miesięcy temu uznałabym tę propozycję za kuszącą, ale teraz nie waham się ani chwili.

– Nie jestem Rebecą – mówię.

Powiedzenie tej prawdy na głos poprawia mi samopoczucie.

Jason Borka patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Jestem jej kuzynką – dodaję.

– Nie wierzę ci – stwierdza, mrużąc świńskie oczka.

– Wierz, w co chcesz, dupku. Jeśli znowu się do mnie zbliżysz, jeśli jeszcze raz wyślesz mi esemesa, naślę na ciebie gliny. – Pstrykam palcami i okręcam się na pięcie. Jack rusza za mną.

– Ostatnia szansa! – woła Borka. – Wystąpisz w „A Current Affair”!

Wracając do auta Jacka, czuję w sobie eksplozję endorfin. Nie mogę uwierzyć, że taki nędzny szczur mógł tak mnie wystraszyć. Tchórz. Chował się za przyciemnionymi szybami i wysyłał anonimowe wiadomości.

– Rany, Bec – mówi Jack, siadając za kierownicą. – Nie wiedziałem, że taka jesteś bojowa!

Przysuwam się do niego i spoglądam mu w oczy. Jest zaskoczony. Potem bardzo powoli unosi rękę i dotyka mojej twarzy. Całuję go delikatnie. Ma miękkie i ciepłe usta, kilkudniowy zarost drapie mnie w policzek. Czuję, jak gdzieś odpływa całe napięcie, gdy Jack przyciąga mnie bliżej, a cały zewnętrzny świat oddala się, znika.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bec, 15 stycznia 2003 r.

To było jedno z tych cudownych przyjęć, podczas których czas przyśpiesza. W niebieskim świetle lampek twarze jaśniały jak księżycy w pełni. Pulsująca muzyka współgrała z tętnem Bec, która podskakiwała na parkiecie w jej rytm. Najpierw Luke podał jej drinka, potem Lizzie, po niej znowu Luke, aż świat wokół zaczął wirować jak szalony.

Usiedli na balkonie. Lizzie położyła się z głową na kolanach Bec, a ona z kolei oparła głowę na ramieniu Luke'a. To był jeden z tych momentów idealnej wspólnoty, który mógłby trwać wiecznie. Obserwowali niebo, aż zaczęło jaśnieć. O piątej rano Bec i Lizzie ruszyły do domu. Podeszwy stóp Bec stopniowo stawały się czarne.

Po przebudzeniu Bec nie wiedziała, która jest godzina, jaki to dzień i co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Dręczyła ją suchość w ustach i pulsujący ból głowy. Leżała nieruchomo wpatrzona w żarówkę na suficie. Dźwięk lecącego samolotu potęgował się i narastał, aż była pewna, że maszyna uderzy w jej dom. Naciągnęła na siebie koc i zamknęła oczy w oczekiwaniu na śmierć, a wyobrażenia podsuwała obrazy zmasakrowanych ciał. Po chwili hałas zaczął się oddalać, aż ucichł zupełnie. Poczła się głupio, chociaż serce ciągle tłukło jej się w piersi.

– Nie śpisz już? – Koc się poruszył i Lizzie przewróciła się na drugi bok, żeby spojrzeć na nią.

– Tak jakby.

– Pamiętasz, jak Lisa wstawiała pierwsza i robiła nam megaśniadanie, kiedy nocowałyśmy u niej?

– Mhm.

– Najlepszy lek na kaca, nie?

– Mhm.

– Musimy zadzwonić do Lisy.

– Chyba jej nie ma. A może jest?

– Nie wiem.

– Ja też.

– Zadzwoń do niej.

– Ty zadzwoń.

– Dobra.

Materac znowu się ugiął, gdy Lizzie odwróciła się plecami do Bec. Po chwili już spała. Do Bec powoli wracały wspomnienia poprzedniego wieczoru. Odtwarzając każdą chwilę i słuchając regularnego oddechu Lizzie, czuła prawdziwe i głębokie szczęście.

Później, już po wyjściu Lizzie, usiadła na nieposłanym łóżku. Ból głowy nie mijał. Musiała zdecydować, jak spędzić resztę dnia. Miała na kolanach otwarty magazyn mody, na stoliku nocnym stał kubek z mocną parującą kawą, a z głośników płynął głos Justina Timberlake'a. Idealnie. Właśnie tak mogła spędzić cały dzień. I zrobiłaby to, gdyby nie dwie ważne sprawy, które zaprzętały jej myśli. Na wieczór zaplanowali egzorcyzmy. I wieczorem miał przyjść Luke. Już postanowiła, że jego poprosi na jedenastą, a reszcie powie, żeby przyszli o północy. Miał znaleźć się w jej sypialni. Rozejrzała się po pokoju i spojrzała na swoje rzeczy jego oczami. Na samą myśl poczuła zawrót głowy i dreszcz zażenowania. Luke miał siedzieć na jej łóżku, w tym samym miejscu, na którym teraz siedziała ona. Do czego mogło dojść przed zjawieniem się reszty gości?

Wyobraziła sobie, że Luke siedzi obok niej, gładzi ją po nodze, dotyka włosów. Czowała narastające napięcie. Zakryła twarz czasopismem i wydała z siebie dziewczynski pisk. Teraz musiała zdecydować, na ile pozwoli Luke'owi. Wiedziała, że chce z nim to zrobić, chce z nim uprawiać seks. Z drugiej strony, gdyby zrobiła to od razu, Luke nie miałby powodu, żeby zaprosić ją na randkę.

Pamiętała, kiedy ostatni raz była bardzo blisko... No, niewiele brakowało, by to zrobiła. Chłopak, z którym chodziła w zeszłym roku, bardzo tego chciał. Ona sama myślała, że też tego chce. Kiedy już leżał na niej, dyszał jej do ucha oddechem przesiąkniętym wonią hot doga i szarpał się z jej bielizną, zrozumiała, że to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę. Chłopak tak się wściekł, że natychmiast go rzuciła, a pragnienie zastąpiła odraza. Z Lukiem miało być inaczej. Tego była pewna.

Telefon zawibrował. Spąsowiała, wiedząc, że to on.

Wczorajszy wieczór był wyjątkowy.

Odpowiedziała:

Wiem. Świetnie się bawiłam.

Natychmiast po wysłaniu wiadomości pożałowała, że nie zadała Luke'owi pytania. Gdyby nie odpisał, musiałaby wysłać kolejnego esemesa o wieczornym spotkaniu i wyszłaby na wariatkę. Ale zanim zdążyła na serio się zdenerwować, jej telefon znowu zawibrował.

Wieczór aktualny?

Tak. Przyjdiesz o 23 i pomożesz w przygotowaniach?

Wstrzymała oddech i ścisnęła kciuki.

Jasne. Nadal chcę zobaczyć twoją sypialnię.

Znowu zapiszczała, zakrywając twarz czasopismem. Wysłała adres, po czym włożyła telefon pod poduszkę. Nie mogłaby na niego patrzeć, gdyby Luke zmienił zdanie.

Uśmiechnęła się do siebie. Zastanawiała się, jak zabić czas do jedenastej wieczór. Najważniejsze to wyjść z pokoju. Oszalałaby, siedząc tu cały dzień.

Znowu zaczęłyby esemesować do Luke'a, a potem czułaby się jak idiotka. Odłożyła magazyn, wstała z łóżka i wyszła z pokoju. Drzwi pokoju bliźniaków były szeroko otwarte, ale chłopców w środku nie było. Rzadko miała możliwość wejść do pokoju braci pod ich nieobecność, skwapliwie skorzystała więc z okazji. Przez chwilę miała ochotę zajrzeć im pod poduszki. Pamiętała, jak kładła ich spać, gdy byli mali. Andrew pokazał jej nową zabawkę. Małego robota, którego chyba wyjął z kinder niespodzianki.

– Wkładam go pod poduszkę. Jak ząb – powiedział.

– Tylko Wróżka Zębuszka nie przyjdzie do ciebie – dodał Paul.

– Bo to nie ząb? – zapytała Bec.

– Nie, bo ona nie jest prawdziwa. To mamusia.

– Naprawdę?

– Tak! Nie wiesz? – zdziwił się Andrew.

Obaj patrzyli na nią jak na największą idiotkę na świecie.

– Skąd wiecie, że to mama?

– Widzieliśmy ją.

Bec nie miała pomysłu, jak skomentować tę odpowiedź. Miała wtedy tylko dwanaście lat. Wstała, żeby zgasić światło. Bała się, że zaraz pojawi się kwestia Świętego Mikołaja.

– Nienawidzimy mamy – oznajmił jeden z nich, gdy odwróciła się już do nich plecami. Dlatego nie była pewna, który to.

– Co? Dlaczego? – zapytała oburzona swoim wciąż jeszcze dziecięcym głosem.

– Bo ona nie jest prawdziwa. Tylko ja i Paul jesteśmy prawdziwi.

Nadal widziała ich małe twarzyczki, czuła zapach ich umytych włosów, jakby to wszystko zdarzyło się w tym tygodniu. W tej chwili nie stała jednak w pokoju małych chłopców. Spodziewała się, że jeśli teraz zajrzy pod poduszkę Andrew, nie znajdzie tam maleńkiej zabawki ani zęba.

Wyszła przed dom i zostawiła otwarte drzwi. Ręce lekko jej drżały. Alkohol ciągle jeszcze krążył w jej ciele. Rowery bliźniaków zniknęły. Zwykle rzucali je beładnie na ziemi na końcu podjazdu. Gdziekolwiek się wybrali, wpadną w tarapaty, jeśli wkrótce nie wrócą.

Słońce ją oślepiało, gdy mrużąc oczy, obserwowała opustoszałą ulicę. Powietrze drgało z gorąca. Powiodła spojrzeniem ku góróm. Zauważyła unoszące się nad nimi kłęby dymu. Kiedy wyteżyła wzrok, dostrzegła coś więcej – cieniutką linię ognia. Zakryła dłonią usta. Pożar był coraz bliżej.

– Kontrolują je.

Sąsiad stał oparty o furtkę i patrzył na nią. Spojrzenie Maxa było bardziej czujne niż zwykle. Bec próbowała dociec, czy to objaw zdrowienia. A może wręcz przeciwnie – pogorszenia.

– Wygląda na to, że się zbliżają – powiedziała.

– Tym bym się nie martwił. Stąd nie widać wszystkich strażaków. Latają helikoptery, są pożary kontrolne. Robili to już setki razy.

– To dobrze.

Nagle chciała go zapytać, jak to jest oszaleć. Czy jakaś cząstka człowieka wie, co się z nim dzieje, a może w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy aż do czasu, gdy zawiozą go w piżamie do szpitala dla obłąkanych. Pocieszała się, że jeśli ona się o to martwi, to znaczy, że z nią wszystko w porządku. Jasnobrazowe oczy Maxa wpatrywały się w nią uważnie. Przez chwilę miała wrażenie, że szaleństwo czai się w nich głębiej.

– Od dawna mieszkam obok twojej rodziny. – Max nie spuszczał z niej oczu ani na sekundę, jakby zupełnie nie mrugał.

– Tak, wiem.

– Nie jesteś jedyna. Ja też to widzę.

Pot spływał coraz obficie po plecach Bec. Czowała, że jest brudna i mokra. Max przejrzał ją na wylot i dostrzegł jej szaleństwo.

– Nie chcę być niegrzeczny – ciągnął Max – ale jeśli będziesz chciała z kimś pogadać, jestem do dyspozycji.

Jego oczy przywarły do niej jak magnesy. Bec zagotowała się ze złości. Już miała coś powiedzieć – po prostu cokolwiek – żeby przerwać Maxowi, gdy usłyszała rowery wjeżdżające na podjazd.

Rzucone przez braci, upadły na beton z donośnym brzękiem.

– Gdzie byliście?

– W sklepach.

– Pozwolili nam jechać do sklepów!

– Ale nie macie pozwolenia na jazdę bez kasków, prawda?

Bec spojrzała za ogrodzenie. Max zniknął. Drzwi z siatką zamknęły się za nim z trzaskiem.

– Wydasz nas? – zapytał Paul.

– Może – odparła nieswoim głosem. W uszach ciągle dźwięczały jej słowa sąsiada.

– To my powiemy mamie, że dzisiaj wieczorem będziesz miała gości – odgryzł się Andrew.

– Skąd wiesz?

– Percepcja pozazmysłowa! – krzyknął Andrew i obaj bracia wbiegli do domu.

Tego samego wieczoru, gdy reszta rodziny już spała, Bec czyniła ostatnie przygotowania w swoim pokoju. Niebieską plasteliną przymocowała do ściany zdjęcia, na których wyglądała seksownie i zabawnie, a pluszowe misie i różowe rzeczy schowała w szafie. Szantażem wymusiła na bliźniakach milczenie. Obiecała

im, że nie powie mamie o braku kasków i kupi tyle chipsów i żelków, ile sobie zażyczą jutro w Big Splash. Spodziewała się, że odchorują obżarstwo, ale to będzie już wyłącznie ich wina.

Długo rozważała, co na siebie włożyć. Najtrudniej zaprezentować się świetnie przy zachowaniu pozorów, że wcale się o to nie starała. W końcu była u siebie w domu. Ostatecznie zdecydowała się na marszczoną sukienkę nad kolano i bose stopy. Miała nadzieję, że będzie to wyglądać jak jej stały domowy strój, podczas gdy tak naprawdę zwykle chodziła po domu w sfatygowanych spodniach od pizamy we wzorek w kotki. Przynurzała sobie w duchu, że nigdy więcej ich nie włoży.

Wyświetlacz telefonu rozbłysnął niebieskawym światłem. To Luke anonsował swoje przybycie. Bec poczuła zawrót głowy. Usiadła na podłodze i włożyła głowę między kolana. Nie była pewna, czy zdoła to zrobić. Kołysząc się w przód i w tył, wzięła kilka głębokich oddechów, wstała i na palcach podeszła do drzwi wejściowych. Przez cętkowane szkło widziała zarys sylwetki Luke'a. Szerokie ramiona, kształt szczęki. Przyszedł, żeby się z nią zobaczyć. Otworzyła drzwi i położyła palec na ustach. Serce tłukło jej się w piersi z ekscytacji, a mimo to czuła się dziwnie. Tak dobrze знаła Luke'a, tak często o nim myślała, a jednak na progu jej domu, w uśmiechu, z jakim na nią patrzył, był jakiś dysonans. Luke istniał w innym świecie niż ten, w którym go właśnie witała.

Gestem dała mu znak, żeby ruszył za nią. Weszli na schody. Pod nogami Luke'a skrzypiały tak samo jak pod jej stopami. Jego dłoń dotykała jej poręczy.

Zamknęła za nim drzwi, stał pośrodku sypialni Bec. Bała się, że usłyszy łomotanie jej serca. Zostawiła włączoną lampkę przy biurku, żeby światło w pokoju było przyćmione, a zarazem ciepłe.

– To mój pokój – wyszeptwała. – Tego się spodziewałeś?

– Chyba tak. Gdzie Liz?

Dopiero teraz zorientowała się, że Luke sprawia wrażenie spiętego. Miał nieco uniesione ramiona, ręce trzymał w kieszeniach krótkiej skórzanej kurtki.

– Jeszcze nie przyszła.

Usiadła na łóżku, ale Luke nadal stał. Pokazała mu, żeby usiadł przy niej. Zrobił to, ale nie patrzył na nią. Jego profil odcinał się na tle światła lampki. Niewielki garbik na nosie, linia podbródka, wypukłość jabłka Adama. Mogła na niego patrzeć godzinami.

– Jak się czujesz? Kac minął? – zapytała.

Miała ochotę włączyć muzykę, ale nie chciała ryzykować obudzenia rodziców.

– Nie, jestem padnięty. Tacy starzy faceci jak ja z trudem wracają do siebie.

Bec zastanawiała się, dlaczego Luke nie zdjął kurtki, choć nadal był upał.

– Możesz odwiesić kurtkę na krzesło, jeśli chcesz – zaproponowała.

– Tak mi dobrze.

– W porządku.

Nie obciągnęła sukienki, kiedy usiadła. Pragnęła, żeby Luke położył gorącą dłoń na jej odsłoniętym udzie. Żeby spojrzał na nią z bliska, pocałował. Powiódł rękami wyżej, dotknął pośladków, objął ją i przyciągnął do siebie. Rozsunął jej nogi, przywarł miednicą do jej miednicy, wzbudził w niej dreszcz.

Tymczasem Luke siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w swoje kolana. Zgarbiony, ciągle z rękami w kieszeniach. Milczał. Nagle Bec zachciało się siku. Zerwała się na równe nogi.

– Zaraz wracam.

Popędziła do łazienki i usiadła na sedesie. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, zobaczyła, jaką ma żalostną minę. Zmusiła się do uśmiechu. Nie tak miało być. Popełniła falstart. Skończywszy siusiać, zamknęła oczy, odpędziła negatywne myśli, znowu przywołała na twarz uśmiech i wyszła z łazienki. Luke ją lubił, to wiedziała na pewno. Kiedy otworzyła drzwi sypialni, patrzył na wyświetlacz swojego telefonu.

– Lizzie tu jest – powiedział.

– Pod drzwiami?

– Tak.

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem okręciła się na pięcie i zeszła po schodach. Kazała Lizzie przyjść o północy, tego była pewna. Otwierając drzwi, miała cichą nadzieję, że nikt za nimi nie stoi. Przeliczyła się. Ujrzała przyjaciółkę z pudełkiem po butach w ręce i szczerym uśmiechem na twarzy.

– Wszystko w porządku? – zapytała Lizzie na widok jej miny.

– Jasne. Wejdz.

Bec nie wierzyła, że jej czas sam na sam z Lukiem już minął. W tej chwili czuła tylko bolesne rozczarowanie, które ciążyło jej jak ołów.

– Przyszłaś za wcześnie – szepnęła do Lizzie na schodach.

– Tak? Luke przysłał mi esemesa w drodze z pracy.

– W takim razie oboje przyszliście za wcześnie. – Bec próbowała ukryć zmieszanie, ale Lizzie już wparowała do jej pokoju.

– Ej, zboku, przepraszam, że przeszkadzam – zwróciła się do Luke'a, który z zakłopotaną miną nadal siedział na łóżku Bec. – Myślałam, że nakryję cię, jak szperasz w jej szufladzie z bielizną.

– Już wsadziłem parę sztuk do torby, przyda się później – odparował.

Bec zauważyła, że twarz mu złagodniała, a z ramion zeszło napięcie. To ją przytłoczyło. Poczowała ściskanie w gardle.

– Nie mogłam się doczekać, żeby wam pokazać, co zdobyłam! – Lizzie wyciągnęła przed siebie pudełko. – A właściwie czemu siedzimy tutaj? Nie powinniśmy zejść do garażu?

– Czekałam na ciebie. Nie chciałam w pojedynkę walczyć z pajakami – odparła Bec z uśmiechem. Tym razem jej uśmiech był autentyczny.

Lizzie panicznie bała się pajaków. Bec obserwowała, jak przyjaciółka zaczyna odruchowo pocierać kark i przeczesywać palcami włosy, jakby chodziły już po niej miliony małych ośmionogów.

– Idziemy! – zarządziła, nie patrząc na Luke’a.

Gdyby napotkała jego spojrzenie, mogłaby się rozplakać.

Była zadowolona, że Lizzie idzie przed nią i pierwsza stanęła pod drzwiami pralni. Odwróciła wzrok i słyszała, jak Lizzie naciska kłamkę, otwiera drzwi i swobodnie wchodzi do środka jak do każdego innego pomieszczenia w tym domu. Słyszała szaleńcze bicie własnego serca. Dreszcz przebiegł jej ciało po czubki palców. Głupio zrobiła, wymyślając te egzorcyzmy. W tej chwili wolałaby leżeć we własnym łóżku.

– No wchodź, ślamazaro – szepnął jej Luke do ucha i popchnął lekko.

Odwróciła się. Znów się do niej uśmiechał, po wcześniejszym zakłopotaniu nie było już śladu. Nie rozumiała go.

Usiłując przebić wzrokiem ciemności obramowane niczym portret framugą drzwi, zacisnęła pięści i przestąpiła próg garażu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

2014 r.

Przestępując próg domu, czuję dziwny niepokój. Dzień był udany, jeśli nie liczyć porannego incydentu z tatą. Wiedząc już, że nie muszę martwić się o czarną furgonetkę, powinnam się odprężyć. Wreszcie zaczynało mi się układać – i może dlatego byłam pełna niepokojów. Kiedy sprawy szły dobrze, zazwyczaj po jakimś czasie wszystko partaczyłam. Ale nie tym razem.

– Jak minęło popołudnie z Jackiem? – pyta mama, stając w korytarzu z koszem prania.

– Dobrze – mówię.

Nie kłamię. Spotkanie było więcej niż dobre. Było cudowne. Okazało się, że Jack świetnie całuje. Być może sprawiły to endorfiny, które zalały moje ciało po konfrontacji z dziennikarzem, ale to nie miało znaczenia.

– Jakim byłam dzieckiem? – pytam pod wpływem nagłej myśli. – Niegrzecznym? Nieśmiałym? Niezbyt to pamiętam.

– Byłaś... Chciałabym powiedzieć, że byłaś idealna... – Mama się śmieje. Pierwszy raz słyszę jej śmiech. – Ale lubiłaś rządzić. Przebierałaś młodszych braci i kazałaś im chodzić jak modelki na pokazie.

– Naprawdę? – Usiłuję wyobrazić sobie Paula i Andrew w tej roli, ale nie potrafię.

- Nie pamiętasz? Na pewno mam gdzieś zdjęcia z tego czasu.
- Chciałabym je obejrzeć.
- Oczywiście, skarbie. Masz coś do uprania?
- Nie, ale dziękuję za troskę.

Mama idzie do pralni, a ja siadam na kanapie. Akurat teraz nie chcę być w pokoju Bec otoczona pamiątkami po jej życiu. Dziennikarz napsuł mi sporo krwi, aż nie mogę uwierzyć, że taki żaloszny facet napędził mi strachu. Na samą Bec nie zważał, zależało mu tylko na karierze. Wypatrzył okazję, by ugrać coś dla siebie na tej tragedii. Jak mógł widzieć w Rebecce Winter tylko czek zamiast żywego człowieka? Wiedział, że spotkało ją coś strasznego, ale jakoś mu to nie przeszkadzało nękać jej esemesami i tropić. Tropić mnie.

Nie mogę się oprzeć pokusie i znowu wstukuję jej imię i nazwisko do wyszukiwarki w telefonie. Tym razem szukam filmów z Bec. Nie wiem dlaczego, ale chcę zobaczyć ją w ruchu, usłyszeć, jak mówi. To coś więcej niż statyczne fotografie.

Znajduję tylko jeden film, ale nie ma na nim Bec. Nosi tytuł „Miasto oplakuje zaginioną dziewczynę”. Setki ludzi stoją na miejskim placu przed prowizoryczną sceną, kamera przesuwają się po zgromadzonych, uczestnicy trzymają w rękach jarzące się na pomarańczowo lampiony. Niektórzy płaczą. Widzę transparenty ze zdjęciem uśmiechniętej Bec i napisem:

Wracaj do domu, Rebeco!

W tłumie jest młoda Lizzie. Rozgląda się wokół z otwartymi ustami, jakby nie dowierzała własnym oczom. Niewiele starszy od niej tyczkowaty chłopak otacza ją ramieniem, ale nie widzę jego twarzy. Ojciec Bec stoi z przodu z mikrofonem.

– Proszę. – Tylko tyle jest w stanie z siebie wydusić, po czym zasłania twarz dłonią i zaczyna płakać.

Na schodach wiodących na scenę ludzie położyli różne przedmioty i zdjęcia. Na tych zdjęciach mogłam być ja. Czuję dławienie w piersi. Kamera pokazuje nastolatkę kładącą torebkę cukierków. Za nią widzę tatę Lizzie rzucającego czapkę z logo McDonalda. Mama Bec podchodzi wolno do mikrofonu. Wygląda zupełnie inaczej, jakby od tamtego czasu minęło trzydzieści lat, a nie jedenaście. Kiedy wchodzi na mównicę, nie płacze i nie drżą jej ręce.

– Co oglądasz? – pyta Paul, sadowiąc się obok mnie.

– Nic konkretnego. – Szybko wyłączam telefon. – Skakałam po YouTube.

Paul obejmuje mnie ramieniem.

– Masz jakieś plany na wieczór? Może wyskoczmy na kolację?

Gładzi mnie po włosach i zakłada je za ucho. Przez chwilę zadaje sobie pytanie, czy zaprasza mnie na randkę, ale to przecież niedorzeczne.

– Byłoby miło – mówię.

– Nie chcę, żebyś cierpiała zamknięta w czterech ścianach. Do domu się wraca, a nie tkwi w nim nieustannie.

Siedzi tak blisko, że czuję ciepło emanujące z jego ciała. Na chwilę zamykam oczy i skupiam się na dotyku Paula. A potem zaciskam dłonie w pięści i odpycham go od siebie. Nie mogę sobie pozwolić na takie uczucia.

– Przestań! Potargasz mi włosy! – Te słowa podpowiada rozsądek.

– Bardziej potarganych już mieć nie możesz – odpowiada Paul ze śmiechem.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale potrzebujesz fryzjera.

– Wcale nie! – wołam, udając urażoną.

Tak jest lepiej. Muszę pozostać na bezpiecznym terytorium infantylnemu i przekomarzanek, póki nie odzyskam kontroli nad emocjami.

Słysząc samochód zatrzymujący się przed domem i trzaśnięcie drzwiami.

– Kto to? – pytam.

– Nie wiem. Vince?

– Nie.

Paul wstaje. Kiedy otwiera drzwi, na jego twarz pada dziwne światło.

– Andrew? Paul? – ktoś pyta zza progu.

Paul trzaska drzwiami z takim impetem, że aż podskakuję, i wrzeszczy:

– Pieprzone mendy!

– Co się dzieje? – pytam.

– Kolacja nieaktualna – rzuca z twarzą poczerwieniałą z wściekłości i idzie na górę.

Wstaję i zerkam przez szparę w zasłonach. Przed domem stoi trzech mężczyzn. Jeden z nich trzyma mikrofon, dwóch pozostałych ma na ramionach kamerę, prócz tego na ich szyjach wiszą aparaty fotograficzne z potężnymi teleobiektywami.

Dociera do mnie, że byłam za mało przekonująca.

O zachodzie słońca przed domem stoi już osiem furgonetek. Siedzę z rodziną w salonie. Milczymy, ale pokój wypełniają odgłosy ożywionych rozmów toczonych na zewnątrz. Raz po raz ktoś wali do drzwi albo w okno, czasem ktoś wywołuje Rebecę. Rozpaczliwie pragnę unieważnić, zdematerializować moją konfrontację z dziennikarzem, chociaż do nalotu mediów na dom i tak wcześniej czy później by doszło, to po prostu nieuniknione.

Telefon sygnalizuje nadejście wiadomości. To esemes od Jacka:

Wszystko w porządku? Mówią o tobie w TV.

Nie tylko nalot na dom, ale i relacja na żywo z tego nalotu. Nie sądziłam, że stanie się to tak szybko. Włączam telewizor i szukam właściwego kanału. W końcu trafiam na dziennikarza mówiącego do kamery:

– ...jedenaście lat temu, w drodze do domu z przystanku autobusowego. Vincent Andopolis, starszy śledczy z wydziału osób zaginionych, niewiele miał

nam do powiedzenia na ten temat.

Na ekranie pojawia się Andopolis. Ma wymizerowaną twarz, ale mimo widocznego zmęczenia nie kryje złości.

– Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć tym informacjom – mówi do mnóstwa mikrofonów, które reporterzy podtykają mu pod usta. – W imieniu wydziału policji oraz rodziny Winterów zwracam się z prośbą o poszanowanie prywatności osób zainteresowanych oraz nieutrudnianie toczącego się śledztwa.

Kamera znów pokazuje bardzo z siebie zadowolonego prowadzącego.

– Jeśli faktycznie Rebeca Winter żyła przez cały ten czas, to stawia pod znakiem zapytania profesjonalizm śledztwa prowadzonego przez detektywa Andopolisa oraz nasuwa podejrzenie o poważne zaniedbania ze strony policji.

Pokazuje się nowy obraz. Jedna fotografia wykonana w dniu, kiedy szłam do domu, paląc papierosa. Reporter musiał je zrobić, gdy szukałam w torebce kluczy. Zdjęcie jest niewyraźne, jakby zza szyby. Opieram się lekko o drzwi i jestem nieco odwrócona, jakbym miała zamiar obejrzeć się przez ramię. Widać na nim tylko kształt mojego policzka i kącik oka. Wystarczająco dużo dla kogoś, kto dobrze mnie znał, kto mógłby rozpoznać zarys ramion, sylwetkę, sposób trzymania głowy. Mojemu tacie mogłoby to wystarczyć.

– Wyłącz to – mówi Andrew.

Kiedy nazajutrz rano zjawia się policja, przez chwilę zastanawiam się, czy przyjechali po mnie. Niebieskie i czerwone światła wypełniają pogrążony w ciszy dom, ale policjanci nawet nie wchodzą do środka. Słyszę, jak zwracają się do dziennikarzy koczujących pod domem.

– Co robią? – pytam tatę, który siedzi w kuchni obok mnie i je śniadanie.

Za bardzo boję się wyrzec, nie mogę pozwolić, żeby zrobili mi kolejne zdjęcie.

– Zadzwoń im po nich z samego rana. Muszę jechać do pracy, a oni blokują ulicę.

– Odjadą, jeśli policja im nakaze? – pytam, mieszając łyżką w miseczce z płatkami. Jakoś nie mam apetytu.

– Pewnie nie. Policja musi ustawić barierki na końcu ulicy – mówi tata. – To samo działo się wtedy, aż w końcu im się znudziło i odjechali.

W kuchni znowu zapada cisza. Wreszcie tata wstaje, poprawia krawat, bierze teczkę i wychodzi. Słyszę narastający gwar głosów, padają pytania, trzaskają aparaty.

Siadam obok Paula na kanapie. Ma na sobie tylko bawełniane bokserki i obcisły biały podkoszulek. Ogląda kreskówki. Siłą woli wlepiam wzrok w ekran telewizora, zamiast gapić się na jego świetne ciało. Na filmie tygrys w czerwonej bluzie z kapturem prowadzi tramwaj, w którym siedzi jego tygrysią rodzina. Próbuję skupić się na historyjce, ale czuję narastającą panikę. Skoro media –

nieświadome drugiego dna historii o Rebecce Winter – zmusiły mnie do odkrycia kart, nie ulegając groźbie, której nie miałam zamiaru spełnić, to efekt jest taki, że straciłam jedyną możliwość wywarcia nacisku na Andopolisa. Spodziewałam się jego gniewu i nie miałam pojęcia, jaki będzie jego następny krok. Poza tym dom był otoczony reporterami. Zostałam uwięziona w czterech ścianach, stałam się więźniem własnego kłamstwa bez możliwości manewru. Próbowałam wziąć głęboki oddech. W tej sytuacji panika w niczym mi nie pomoże.

– Nie myśl tak intensywnie, bo dostaniesz zmarszczek – mówi Paul z uśmiechem.

Nawet nie zauważyłam, że mi się przygląda.

– Zamknij się! – rzucam, chociaż jestem zadowolona, że przerywa mi ponure rozmyślania.

– Przepraszam, siostrzyczko. Chciałem okazać ci troskę.

– Lepiej zatroszcz się o siebie. Widzę jedną paskudną zmarszczkę, o tutaj.

Daję mu pstryczka między oczy. Przez chwilę patrzy na mnie spokojnie, po czym rzuca się na mnie i przyciska całym swym ciężarem do kanapy.

– A tutaj widzę całe mnóstwo – mówi i liże mnie w czoło.

– Fuj! – wołam. – Nie wierzę, że to zrobiłeś!

– Lepiej uwierz. – Zaczyna łaskotać mnie pod pachami.

– Przestań! – Piszczę i wiję się pod nim jak piskorz.

Paul jest silny, co ogranicza zakres moich ruchów. Jego ciepłe ciało dotyka mojego. Wdycham zapach potu i snu, opieram dłonie o klatkę piersiową i odpycham go od siebie. Nie uchodzi mojej uwadze, że ma stalowe mięśnie. Przenika mnie prąd... i wiem, że jest to niewłaściwe. Próbuję wydostać się z pułapki, ale Paul napiera mocniej. Jego brzuch ociera się o mój.

Wysuwa z ust kulkę śliny, która zawisa nad moją twarzą.

– Ani mi się waż, kurwa! – wołam, jednocześnie chichocząc i piszcząc jak rozbrykany dzieciak. Moje ciało pragnie jego ciała. Paul wciąga ślinę z powrotem i szczyrzy do mnie zęby. Przez ułamek sekundy odczuwam przemożną chęć pocałowania Paula. Desperacko pragnę objąć go za szyję i przyciągnąć do siebie. Chcę poczuć na ustach jego gorące wargi, chcę poczuć na sobie dotyk jego rąk.

– Pośpiesz się, Andrew – ktoś mówi.

– Idę! – woła i odpycha mnie od siebie.

Odwracam się. Kompletnie ubrany Paul schodzi po schodach. Więc to z Andrew się wygłupiałam, nie z Paulem. Miał nieułożone włosy, dlatego nie zauważyłam różnicy. Jak to się mogło stać? Szybko podnoszę się, znów siedzę. Mam poczucie winy, jakby ktoś przyłapał mnie na robieniu czegoś obrzydliwego. Andrew wbiega na górę. Czuję się oszukana, chociaż wątpię, by wiedział, że ledwie ich rozróżniłam.

Bec znienawidziłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że lecę na jej młodszych

braci. Chociaż prawdopodobnie znienawidziłaby mnie już wcześniej. Na dodatek w tej chwili zaczynam myśleć o Jacku.

Po kilku godzinach siedzenia w domu czuję się jak w klatce. Andopolis nie przyjechał, a ja nie mogę wyjść. Andrew i Paul pojechali gdzieś i dotąd nie wrócili. Oglądam telewizję na leżąco. Mama donosi mi talerze z jedzeniem. Piszę do Jacka, proszę, żeby przyjechał. Skoro muszę tu tkwić, niech on rozproszy ponure myśli. I może dzięki niemu opuści mnie chociaż na chwilę ważenie osaczenia.

Odpisuje:

Jestem w pracy. Szkoda.

Jestem bardzo rozczarowana. Mam ochotę rzucić telefonem, gdy słyszę sygnał. To kolejny esemes od Jacka:

Ciągle myślę o naszym pocałunku.

Skaczę po kanałach, aż trafiam na „Żar młodości”. Szybko łapię fabułę. Kiedy rzuciłam studia, kolejne odcinki tej opery mydlanej były najważniejszym wydarzeniem każdego dnia. Nie opuściłam ani jednego odcinka. Zaczynałam pierwszy semestr, mając pewność, że odniosę sukces, ale szybko mi przeszło. Nadal wstawałam rano, ubierałam się i wychodziłam z domu przed tatą z torbą pełną podręczników. Szłam do pobliskiej piekarni, siadałam w kąciku, zamawiałam tartę owocową i przeglądałam kolorowe szmatławce, przewracając kartki lepkiemi palcami. Upewniwszy się, że tata wyszedł do pracy, wracałam do domu i wylegiwałam się na kanapie aż do jego powrotu.

Studia na uniwersytecie usprawiedliwiały fakt, że nie pracuję i nadal mieszkam w domu. Wiedziałam, że tata jest ze mnie dumny. Patrzył na mnie, jakby naprawdę mnie kochał. Gdybym przyznała, że rzuciłam studia, wszystko uległoby zmianie. Zapytałby mnie, co zamierzam zrobić ze swoim życiem, a ja nie umiałabym mu odpowiedzieć.

W końcu zaczynają się wiadomości o trzeciej. Informacja numer jeden:

Czy Rebeca Winter wróciła?

Pokazują tę samą niewyraźną fotografię, robią zbliżenie mojego profilu. Wyłączam telewizor. Nie mogę na to patrzeć.

– Mam nadzieję, że to cię nie denerwuje, skarbie – mówi mama, stając w progu salonu.

– Wszystko w porządku, mamo. – Wstaję z kanapy i posyłam jej blady uśmiech.

W pokoju Bec patrzy na mnie ze zdjęć. Ona i jej przyjaciele wyglądają na szczęśliwych i beztrudnych. Przypominają mi się słowa Andopolisa. Co dokładnie powiedział? Coś o wpatrywaniu się w zdjęcie. Brzmiało to tak:

– Wpatrywałem się w twoje oczy i próbowałem odkryć twoje tajemnice.

Przyglądam się uważniej fotografiom Bec. Na jednym siedzi na trawie z grupką dziewcząt. Wszystkie mają na sobie te same brzydkie szkolne mundurki.

Na drugim pozuje z Lizzie. Obie wydymają usta i są przesadnie umalowane. Na innym jest sama. Uśmiecha się, patrząc prosto w obiektyw. Słońce oświetla ją od tyłu. Spoglądam jej w oczy, tak podobne do moich. Andopolis ma rację. Jest w nich smutek, coś, co nie pasuje do jej uśmiechu. Może Bec rzeczywiście miała jakieś tajemnice.

Otwieram szafę wnękową, zadowolona, że w końcu znalazłam sobie zajęcie. Gliniarze pewnie już tu szperali, ale mam przecucie, że znajdę coś, co przeoczyli, jak choćby teksty dziwnych zaklęć, które Bec trzymała w kieszeni. Może uszło ich uwadze coś jeszcze. Może znajdę coś, co Bec zostawiła specjalnie dla mnie.

Przetrzęsam kieszenie każdej sztuki odzieży, ale nie znajduję nic prócz zużytych chusteczek. Na wewnętrznej stronie drzwi wisi torebka. Wyjmuję z niej legitymację uczniowską, podkład i zmięty odcinek biletu na „Złap mnie, jeśli potrafisz”. Zdejmuję powłoczki z poduszek. Kiedy byłam w jej wieku, właśnie tam chowałam niewysłane liściki miłosne. Nic. Podnoszę materac, sprawdzam, czy nie wsunęła czegoś pod spód. Nic. Zatrzymuję się na chwilę. Gdyby to był mój pokój, gdzie ukryłabym coś przed innymi?

Łóżko. Oczywiście. Jego ramę tworzą pomalowane na biało metalowe rury zaślepione na końcach czarnymi plastikowymi nakładkami. Zdejmuję jedną i zaglądam do środka. Nic. Ale w drugiej coś jest, na samym dole, coś okrągłego i błyszczącego. Siadam na dywanie i wkładam tam rękę najdalej, jak mogę. Jeszcze przed wyjęciem wiem, co to jest. Butelka wódki, w połowie już pusta. Odkręcam ją i pociągam łyczek. Płyn pali mi gardło.

Co miał na myśli Andopolis, mówiąc o tajemnicach? Byłam wtedy rozkojarzona, sądziłam, że na mnie leci. Wysilam pamięć. Jeszcze przed spotkaniem ze mną Andopolis przypuszczał, że Bec coś ukrywała. Nie bardzo go rozumiałam. Czy to ważne, jakie miała tajemnice, skoro ktoś zgarnął ją z ulicy? Padła ofiarą nieszczęśliwego przypadku. Poza tym dlaczego wypytywał mnie o to, co działo się latem przed jej zniknięciem? Dlaczego podejrzewał, że kogoś kryje? Nie widziałam w tym sensu. Znowu przyglądam się zdjęciu, na którym Rebeca uśmiecha się, ale ma smutne oczy. Czy o czymś wiedziała? Czy przeczuwała nadchodzącą tragedię? Wznoszę za nią toast i pociągam solidny łyk.

Kiedy się budzę, czuję suchość w ustach. Język mam jak wyschła na wiór gąbka. W pokoju jest ciemno, ale wokół opuszczonych rolet widać jasną obwódkę. To oznacza, że już ranek. Próbuję otworzyć oczy, ale pokój wiruje jak szalony i zbiera mi się na wymioty. Przysuwam się na brzeg łóżka. Jeśli zwymiotuję, wszystko poleci na podłogę. Kiedy się poruszam, koc zostaje w miejscu. Trzyma go coś ciężkiego. Przewracam się na plecy i otwieram oczy. Na łóżku siedzi mama i wpatruje się we mnie przenikliwie.

– Powiedzieli, żebyś spakowała wszystkie twoje rzeczy. Żebyś zamieniła twój pokój w składzik. Ale nie mogłam. Wiedziałam, że wrócisz.

Klepie mnie po kostce przez koc. Nie wiem, co odpowiedzieć. Wiele czasu minęło, odkąd miałam matkę. Nie jestem pewna, czy to normalne, że matka obserwuje śpiącą córkę.

Czuję się niezręcznie.

– Chłopcy wracają do Melbourne w niedzielę. Zostaniemy tylko my – dodaje z uśmiechem.

– Świetnie – chrypię.

Niedziela już pojutrze. Mama sprawia wrażenie, że cieszy ją wyjazd synów, co mnie dziwi. Do tego przewierca mnie wzrokiem. Wolałabym, żeby wreszcie sobie poszła.

– Dzwonił Vince – oznajmia. – Mam ci przekazać jego przeprosiny. Nie zjawił się wczoraj, bo wypadło mu coś nieoczekiwanego. Przyjedzie niedługo.

Odruch wymiotny mija, ale głowa pęka.

– Zostawię cię, żebyś doprowadziła się do porządku. – Mama wstaje, podchodzi do okna i podnosi rolety do połowy okna, wpuszczając do środka trochę światła. – Poszukam dla ciebie zdjęcia z pokazu mody z twoimi braćmi.

– Możesz otworzyć okno? – Świeże powietrze dobrze mi robi.

Mama nie reaguje na moją prośbę, zupełnie jakby mnie nie słyszała. Wychodzi z pokoju i cicho zamyka za sobą drzwi. Słońce razi mnie w oczy, ale pomaga się dobudzić.

Siłą woli zmuszam się do wstania i idę prosto pod prysznic. Puszczam letnią wodę i opieram się rękami o drzwi kabiny. Mam zawroty głowy. Wypicie wódki do ostatniej kropelki było głupim pomysłem. Gdyby bracia albo rodzice przyszli do mnie porozmawiać, zaliczyłabym wpadkę. A teraz jeszcze wraca Andopolis. Cóż, śledztwo nie zostało zamknięte. Miałam dość tego człowieka i jego egoistycznego poczucia winy. I odgrywania bezbronnej ofiary, co Andopolis bez zastrzeżeń kupił.

Zmieniam wodę na gorącą, zawroty głowy powoli mijają, odzyskuję jasność myśli. Próbuję obmyślić nowy plan. Nowy sposób na skuteczne uwolnienie się od Andopolisa. Tacy faceci jak on nigdy nie widzą w młodej kobiecie człowieka, lecz obiekt męskich fantazji. Skoro rola ofiary nie zadziałała, musiałam podjąć ryzyko i pójść w drugą skrajność.

Po wyjściu spod prysznica znowu przeglądam zawartość szafy Bec. Każda szesnastolatka ma w swojej garderobie coś zdzirowatego. Byłam pewna, że ona też.

Zerkam przez okno przy drzwiach wejściowych. Ulica jest pusta, na dole blokują ją żółte plastikowe pachołki. W kuchni mama zostawiła dla mnie talerz z dwoma tostami z masłem orzechowym. Pokroiła je w trójkąty jak dla małego dziecka. Ciekawe, czy skórki też zacnie mi odkrawać. Mimo to cieszę się ze śniadania. Kęsy połykam szybko, ledwie czując smak. Mam nadzieję, że chleb wchłonie choć trochę alkoholu krążącego we mnie. Słyszę dźwięk opon na podejździe. To pewnie Andopolis. Wkładam do ust ostatni trójkąt i idę na

poszukiwanie mamy, żeby się z nią pożegnać. Pukam do drzwi sypialni, ale odpowiada mi cisza. Jednak wychwytyuję jakieś odgłosy dobiegające z pralni. Idąc tam, widzę w połowie otwarte drzwi wiodące z domu do garażu. Uświadamiam sobie, że nigdy jeszcze nie byłam w tym pomieszczeniu.

Gdy szerzej otwieram drzwi, przechodzi mnie dreszcz. Tu jest o wiele chłodniej niż w domu. Schodzę po trzech betonowych schodkach na cementową podłogę. Widzę zamkniętą bramę wyjazdową, czuję woń pleśni i rozkładu. Wszędzie piętrzą się pudła, regały z książkami, stare dziecięce rowerki. W kącie leży brudne zmięte prześcieradło. Dziwne, że mama doprowadziła garaż do takiego stanu, skoro obsesyjnie sprząta resztę domu, nawet jeśli wszędzie panuje nienaganny porządek.

– Mamo?

Słyszę głuchy odgłos. Zza regału z książkami wylania się mama z albumem zdjęć w ręce.

– Wracaj do środka! – mówi ostro. – Tu są pająki.

W jej spojrzeniu jest obawa. Zerka to na mnie, to na ścianę za moimi plecami. Odwracam się, żeby sprawdzić, na co tak patrzy, ale poza pudłami nic innego nie widzę.

– Dobrze. Chciałam ci tylko powiedzieć do widzenia – usprawiedliwiam swoją obecność w garażu.

– Do zobaczenia. – Znika za regałem.

Wsiadam do samochodu. Bawi mnie, że Andopolis wybałusza oczy na widok mojego stroju. Najlepsze, co znalazłam w garderobie Bec, to króciutka skórzana spódniczka i kusy czarny podkoszulek. Marznę w tym stroju, ale zamiast otulić się kurtką, zostawiam ją rozchełstaną, żeby Andopolis napatrzył się do woli na odsłonięte nogi ofiary uprowadzenia.

– Dlaczego pan tak na mnie patrzy? – pytam.

– To znaczy jak? – odpowiada, pośpiesznie odwracając wzrok. Uruchamia silnik, rusza z podjazdu i dodaje: – Lepiej zakryj twarz, kiedy będziemy ich mijać.

Pochylam się, obejmuję rękami kolana i nasuwam kurtkę na głowę. Nie chcę, żeby te sępy zobaczyły chociaż kawałek mnie. Kiedy za nami cichnie gwar, prostuję się na siedzeniu.

– Kiedy w końcu stąd znikną? – pytam.

– Nie będą tu tkwili w nieskończoność, o ile nie dasz im pretekstu. – Jego wzrok znowu ślizga się po moich nogach.

Przez resztę drogi milczy. Przyglądam się jego dłoniom na kierownicy. Ma paznokcie obgryzione do żywego mięsa, na bokach niektórych z nich widać nawet plamki zaschniętej krwi. Moja sprawa ewidentnie nie daje mu spokoju. Parkujemy przed McDonaldem i patrzymy na nieszczęśników pracujących w środku. Jedni smażą burgery, inni zmywają podłogę. Bec musiała nienawidzić tej roboty. Po

jakimś czasie dociera do mnie, że jeden z pracowników wydaje mi się znajomy. Mrużę oczy, usiłując przypomnieć sobie, gdzie go widziałam. Jest starszy od reszty. Oparty o kontuar, śmieje się z jedną z dziewcząt. I wtedy doznaję olśnienia. Był na jednej z fotografii ekipy McDonalda z dwa tysiące trzeciego roku. Lucas.

– Nie wejdziemy do środka? – pytam.

– Nie. Możesz zostać rozpoznana – wyjaśnia Andopolis i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

Chyba nie chce pokazać się tam w moim towarzystwie z obawy, że ludzie wezmą mnie za dziwkę. Odruchowo unosi dłoń do ust. Widząc, że to zauważam, powstrzymuje się przed włożeniem paznokcia między zęby. Wiem, że jestem blisko celu. Andopolis jest u kresu wytrzymałości. Prawie mi się udało. Prawie wygrałam.

– Przecież jechał pan ze mną autobusem.

– Tak, ale to było, zanim poszłaś do prasy.

– Nie poszłam do prasy.

– Racja. – Milczymy przez chwilę, wreszcie Andopolis dodaje tonem usprawiedliwienia: – Zaczynasz mnie męczyć, a ja tylko chcę ci pomóc.

– Może nie potrzebuję pańskiej pomocy. Może jest mi dobrze tak, jak jest.

Niespodziewanie wali w kierownicę z takim impetem, że podskakuję nerwowo na siedzeniu.

– Niech to szlag, Bec! Kto to? Kogo kryjesz?

– Nikogo! – Słyszę, jak sapie zrezygnowany, zapala silnik i zdecydowanie za szybko wyjeżdża na wstecznym biegu z parkingu. – Skąd podejrzenie, że kogoś kryję? – pytam z pretensją w głosie. – Myśli pan, że nie czuję nienawiści do człowieka, który ukradł mi życie?

To ja ukradłam życie Bec.

– Nie, nie sądzę, żebyś ich nienawidziła.

– Nienawidzę! Nienawidzę najbardziej na świecie! Zachowuje się pan tak, jakby uważał, że to moja wina. Jakbym wiedziała, że ktoś mnie porwie. Skąd, do cholery, miałam wiedzieć, co mnie spotka? – Uświadamiam sobie, że to pytanie płynie ode mnie.

– O ile w ogóle tak było – mruczy pod nosem.

Jak na mój gust cały czas jedzie zdecydowanie za szybko.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Andopolis milczy, zupełnie jakby dawał mi zagadki do rozwiązania. Jak może myśleć, że Bec nie czułaby nienawiści do porywacza? Dlaczego miałyby być inaczej?

– Pan uważa, że nie czuję nienawiści. Więc co? Że niby ich lubię? – Gdy Andopolis milczy, dodaję o ton wyżej: – A może wręcz kocham? – To brzmi jak oskarżenie, ale Andopolis zachowuje kamienną twarz. Czyli trafiłam w sedno.

W końcu wszystko zaczyna mieć dla mnie sens. Podejrzliwy wzrok Andopolisa, gdy staliśmy w miejscu, w którym porwano Bec. Właśnie wtedy naszły go wątpliwości.

– Pan sądzi, że to był ktoś, kto znał... mnie. – Niewiele brakowało, żebym zamiast „mnie” powiedziała „ją”. Andopolis milczy. Odbieram to jako potwierdzenie moich słów. – A telefon? – pytam. – Jeśli pańska teoria jest prawdziwa, jakim cudem się tam znalazł?

– Został podrzucony – mówi Andopolis z taką pewnością w głosie, jakby stwierdzał fakt.

– To jakiś obłąd!

– Obłądem jest myśleć, że dziewczyna została zaczepiona w tak spokojnej okolicy i nikt, nawet ktoś cierpiący na bezsenność, nic nie usłyszał – odwarkuje.

Po tych słowach zapada w aucie grobowa cisza. Andopolis ma rację. Jak mogłam wcześniej tego nie widzieć? Po pewnym czasie widzę, że wracamy tą samą drogą.

– Wiecie mnie pan do domu?

– Jeśli nie pamiętasz, gdzie jeszcze byłeś tamtego dnia, to wszystko.

Było takie miejsce. Jack mówił, że Bec przyszła wtedy do Lizzie, ale jej nie zastała. Jakimś cudem Andopolis tego nie wiedział?

– Jutro o tej samej porze? – pytam, gdy skręca w mój podjazd.

– Muszę poświęcić czas prawdziwym ofiarom, które potrzebują i chcą mojej pomocy.

– Czyli to koniec?

– Tak, Rebeco.

Wiem, że powinnam być szczęśliwa. W końcu mam to, czego chciałam: Andopolis ze mną skończył. Ale ja nie skończyłam. Nie chodzi tylko o to, że sprawca tego czynu nadal może czaić się gdzieś w pobliżu, co budzi moje przerażenie. Poruszyły mnie słowa Andopolisa o ofiarach. Bec była prawdziwą ofiarą i przeze mnie prawda o jej losie pozostanie nieznana. A sprawca ujdzie sprawiedliwości.

Nie chcę więcej myśleć o Bec. Nagle czuję, jakby przejmowała nade mną kontrolę. Jakby dzieląca nas granica stawała się coraz bardziej niewidoczna. Jakbym naprawdę była Rebecą Winter, tyle że jej poślednią wersją, nie tak żywą i kochaną jak oryginał.

W salonie telewizor ryczy na cały regulator.

– ...zaginiona w dwa tysiące trzecim roku w drodze z pracy. Policja nie złożyła jeszcze oficjalnego oświadczenia, czy Rebeca Winter faktycznie została odnaleziona po ponad dziesięciu latach od zaginięcia.

– Cześć, Bec – rzuca Andrew, gdy wchodzę do salonu. – Jak poszło z Vince'em? – Siedzi z Paulem na kanapie wpatrzony w ekran.

– Dobrze – mówię.

Nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę im powiedzieć, że człowiek odpowiedzialny za zniknięcie ich siostry nie zostanie ujęty. Nie chcę przyznać, że to moja wina, bo namąciłam w śledztwie i porywacz Bec pozostanie bezkarny. Desperacko pragnę uciec od wszystkiego. Mam wrażenie, jakbym od wieków nie oddychała świeżym powietrzem, nie mogę się jednak stąd ruszyć bez auta. Idę więc na górę do pokoju, przebieram się w skromną sukienkę i dzwonię do Jacka. W tej chwili tylko on może poprawić mi nastrój.

Leżymy w łóżku Jacka. Pokój spowija łagodna poświata ostatnich promieni dnia. Całujemy się namiętnie, ale łagodnie. Ta chwila mogłaby trwać wiecznie.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – mówi Jack, dotykając moich włosów.

– Wiem. – Chyba zaczynam się w nim zakochiwać.

– Gdyby tydzień temu ktoś mi powiedział, że będę się całował z Bec Winter, uznałbym go za wariata. Za totalnego szaleńca.

Uśmiecham się do niego, ale jest mi przykro. Boli mnie, gdy zwraca się do mnie jej imieniem. Mam ochotę wyznać mu prawdę.

– Posmutniałaś. O czym myślisz?

– Chciałabym, żebyśmy byli wobec siebie całkowicie szczerzy. – Przez chwilę czuję, że teraz mogłabym się przyznać, powiedzieć wszystko.

Ale Jack odsuwa się ode mnie i przewraca się na plecy.

– Masz rację. Przepraszam. To było aż tak oczywiste, że kłamałem?

Wydaje mi się, że ma na myśli nową misję z Kingsleyem, kiedy zapytałam go, czy to niebezpieczne.

– Potrafię przejrzeć ludzi na wylot – mówię.

– Ja nie. Wręcz przeciwnie – przyznaje.

Wiem, odpowiadam mu w myślach, a na głos oznajmiam:

– Nie musisz mi tego mówić, jeśli nie chcesz.

Nie chcę więcej o tym rozmawiać. Chcę, żeby Jack znów mnie pocałował. Chcę po prostu cieszyć się nim, nie myśleć.

– Racja, ale akurat ty możesz być osobą, która mnie zrozumie. – Przekręca się na bok i mierzy mnie uważnym spojrzeniem. – Jesteś najbardziej bezinteresowną osobą, jaką znam.

Nie mam pojęcia, jak to skomentować, dlatego milczę, a on mówi dalej:

– Czerwony Krzyż dostał pozwolenie na wejście do obozów uchodźców. Od dawna starałem się tam dostać, dlatego zacząłem u nich pracę. W końcu powierzyli mi to zadanie. Za dwa tygodnie ruszam na wyspę Manus. Biorę ze sobą ukrytą kamerę.

Jestem w szoku. Nie tego się spodziewałam.

– Materiał z kamery będę na bieżąco wrzucał na bloga – ciągnie Jack. –

Ludzie mają prawo wiedzieć, co się tam dzieje.

– Jeśli cię tam nakryją, będziesz miał kłopoty! Nie lepiej, żeby on sam to zrobił?

– Kto?

– Kingsley! – niemal krzyczę. Boję się o niego.

Patrzy na mnie przenikliwie z lekką dezorientacją na twarzy. Kiedy znowu się odzywa, mówi wolno i spokojnie.

– Nie jesteś aż tak dobra w rozszyfrowywaniu ludzi, jak sądziłem. To ja jestem Kingsleyem.

– O kurwa... – Tylko tyle jestem w stanie z siebie wykrztusić.

Jest w to zbyt zaangażowany. Nie ma sposobu, żebym go odwiodła od tego pomysłu.

– Całkiem adekwatna reakcja. – Z uśmiechem wpatrując się we mnie, kciukiem gładzi moje brwi. – To ty mnie zmieniłaś. Pławiłem się w śmierci i bólu, uwielbiałem heavy metal, krwawe filmy i takie tam... Po twoim zniknięciu spojrzałem na to inaczej. Nie mogłem już znieść obrazów przemocy, grozy, cierpienia. Miałem wrażenie, że opanowały cały świat. Chciałem należeć do czegoś pozytywnego.

Przesuwam dłoń po jego szyi, przyciągam go do siebie i całuję, żeby przestał mówić o Bec i o tym, co ją spotkało. Drugą ręką sięgam do zamka jego spodni. Jack odsuwa się ode mnie gwałtownie.

– Co się stało? – pytam.

– Nie wiem. Tego chcesz?

– Tak – rzucam niecierpliwie. – A ty?

– Chyba za dużo o tym myślałem.

– To przestań – odpowiadam i lekko popycham go na plecy.

Ocieram się o niego całym ciałem. Znowu próbuję go pocałować. Tym razem oddaje mi pocałunek, całuje głęboko i mocno. Siadam na nim okrakiem i zdejmuję sukienkę przez głowę.

– Tak to sobie wyobrażałeś? – pytam.

– Mhm – mruczy cicho.

Zdejmuję stanik i majtki.

– I tak?

Siedzę teraz na nim całkiem naga, a on jest kompletnie ubrany. Przyciąga mnie do siebie. Błądzi dłońmi po moim ciele – po plecach, po piersiach, aż w końcu wędruje tam, gdzie pragnę go najbardziej. Jęczę, tracąc nad sobą kontrolę. Jack odwraca mnie i teraz on jest na wierzchu. Szybko zrzuca z siebie ubranie i wyciąga z szuflady prezerwatywę.

Przez chwilę patrzy na mnie nagą w swoim łóżku.

– Jesteś piękna – mówi i zamyka przestrzeń między nami.

Doznanie jest cudowne. Jack całuje mnie, porusza się coraz szybciej, nasze spocone ciała stykają się łędźwiami. Jack zanurza mi palce we włosy. Obejmuję go mocniej i przyciągam do siebie, by wszedł głębiej.

– Kocham cię, Bec – szepcze. – Zawsze cię kochałem.

Wydaje z siebie spazm rozkoszy i bezwładnie opada na mnie.

Po jakimś czasie zasypia, trzymając mnie w objęciach jak coś wyjątkowo cennego. Jest mi niedobrze. Czuję obrzydzenie, chociaż nie wiem, czy bardziej brzydzę się sobie, czy Jacka. Byłam głupia, sądząc, że wszystko zaczęło się od spotkania u Lizzie. Oczywiście chodziło o Bec. Cały czas chodzi o Bec. Jestem o nią wściekle zazdrosna, za co się nienawidzę. Pierwszy raz żałuję, że nie uciekłam wtedy pod osłoną ciemności. Wolałabym nigdy się tu nie zjawić i nadal być sobą.

Nie mogę tu dłużej zostać. Uwalniam się z uścisku Jacka, wydaję z torebki telefon i wzywam taksówkę. Podaję dyspozytorce adres i słyszę, że Jack się porusza. Musiałam go obudzić. Dyspozytorka informuje mnie, że taksówka już jedzie.

– Kto to był? – pyta Jack.

– Mama – kłamię. – Martwi się. Muszę wracać do domu. – Podnoszę się z łóżka i szukam wzrokiem swoich rzeczy.

– Już? – W jego głosie słyszę zawód.

– Mhm. Mama chce, żebym wróciła na kolację. – W tej chwili nie jestem w stanie na niego spojrzeć. Znajduję majtki i szybko je wkładam. Rozglądam się za stanikiem, ale nigdzie go nie widzę.

– Coś nie tak? – pyta Jack.

– Nie – mówię, na czworakach zaglądam pod łóżko. Tam też go nie ma.

– Na pewno?

W końcu znajduję stanik pod koszulą Jacka. Zapinam go i pośpiesznie wskakuję w sukienkę. Przełamuję się wreszcie i spoglądam na Jacka. Nagi, z podbrzuszem osłoniętym kołdrą i chudą klatką piersiową wygląda na bezbronny. Czuję się jak każdy dupek, który wyskakiwał z mojego łóżka zaraz po skończonym numerku. Jak każdy dupek, który zwracał się do mnie pieszczotliwie, obiecywał, że zadzwoni, ale nie dotrzymywał słowa.

– Wszystko w porządku – mówię, a potem, przeklinając się za to w duchu, dodaję: – Zadzwonię do ciebie później.

Wiem, że powinnam go chociaż pocałować na pożegnanie, ale nie mogę do niego podejść. Posyłam mu więc słaby uśmiech i zbiegam po schodach.

Czekam na taksówkę przed domem z narastającym poczuciem winy. Wiatr targa mi włosy. Resztki światła nadają wieczorowi srebrzystej barwy. I wtedy dostaję tę wiadomość. Po usłyszeniu sygnału spodziewam się, że to Jack pyta, co poszło nie tak. Mylę się. Nie znam numeru, z którego ktoś napisał:

Odejdź teraz albo to się powtórzy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Bec, 16 stycznia 2003 r.

Lizzie wyjęła z torby białe prześcieradło i rozłożyła je, żeby mieli na czym usiąść. W garażu było gorąco, klimatyzacja tu nie docierała. W powietrzu wisiała woń wilgoci i stęchlizny, bojler z gorącą wodą szumiał w kącie. Nie musieli już szeptać, stąd nikt nie miał szans ich usłyszeć.

– Ellen przyjdzie? – zapytała Liz.

– Powiedziała, że wpadnie po zamknięciu. Matty się nie odezwał.

– Nic nie szkodzi. Do odczynienia uroku wystarczy czworo.

– Urok? Rany, ty na serio chcesz się bawić w to całe wudu – powiedziała

Bec.

– Odpieprz się! – rzuciła Liz, ale jej oczy błyszczały z ekscytacji.

Usiedli na prześcieradle ze skrzyżowanymi nogami. Kolano Luke’a znalazło się blisko nogi Bec, jego włoski niemal dotykały jej skóry. Z wrażenia dostała gęsiej skórki. Zastanawiała się, czy to zauważył. Może wszystko było tylko wytworem jej wyobraźni, a ona okazała się głupią gąską zadurzoną w starszym od siebie chłopaku. Poczowała się jak idiotka.

Obserwowali, jak Lizzie powoli opróżnia pudełko. Wyjmowała po jednej rzeczy. Dwie grube gromnice. Mały metalowy talerzyk z wygrawerowaną różą. Zapalniczka. Szałwia w oryginalnym opakowaniu ze sklepu. Srebrne nożyczki. Położyła je w środku trójkąta, który utworzyli, obok talerzyk, po jego dwóch stronach gromnice. Na końcu wyjęła cztery kopie zaklęcia wydrukowanego z internetu. Podała nożyczki Bec.

– Po co mi je dajesz?

– Potrzebujemy kosmyka włosów.

– Jeszcze czego!

– Dalej, Bec, nie bądź cykorem – rzucił Luke.

Przy innej okazji skwitowałyby tę uwagę uśmiechem, ale tym razem ją to ubodło. Bez zbytnich ceregieli obcięłaby kosmyk włosów i potraktowała to z humorem, teraz jednak nie chciała tego zrobić. Czuła, że powinna zatrzymać dla siebie to, co należy do niej. Jakby wszystko, co stanowiło o jej indywidualności, za szybko wymykało się z rąk. Nie podobały jej się spojrzenia Lizzie i Luke’a, sięgnęła więc po nożyczki, a po chwili na jej dłoń spadł rudy kosmyk bez życia jak martwa złota rybka. Wyciągnęła otwartą dłoń w stronę Lizzie, która ujęła kosmyk kciukiem i palcem wskazującym i ostrożnie umieściła w metalowej miseczce.

Bec przebiegła wzrokiem zaklęcie. Połowa słów była po łacinie, niektóre nawet się rymowały. Wszystko razem wydawało się idiotyczne.

– Ellen nie będzie chciała wziąć w tym udziału – powiedziała.

– Dlaczego? – Lizzie zrobiła urażoną minę.

Nieoczekiwanie sprawiło to Bec swoistą przyjemność.

– Bo to głupie – zaatakowała. – Wydrukowałaś pierwszy z brzegu stary tekst.

– Nieprawda! Bardzo długo go szukałam!

– Spokój, drogie panie – odezwał się Luke.

– Wcale się nie kłócimy – zaproponowała Bec.

– Ja to widzę inaczej.

Zapadła niezręczna cisza. Bec znowu poczuła się jak idiotka.

– Przekonamy się, co myśli Ellen, kiedy w końcu się zjawi – powiedziała Lizzie, nie patrząc na przyjaciółkę.

W tej samej chwili ekran telefonu Bec rozjarzył się niebieskim światłem. Nadeszła wiadomość, że Ellen czeka pod drzwiami. Bec zerwała się na nogi, zadowolona, że ma pretekst do wyjścia. W drodze do drzwi garażu nastąpiła na coś, co wydało delikatny dźwięk. Spojrzała pod nogi. Na ziemi leżał srebrny dzwoneczek. Bez zastanowienia kopnęła go w kąt.

Otworzywszy drzwi, napotkała podejrzliwy wzrok Ellen. Nie przejęła się tym. Kiedy weszły do garażu, Luke i Lizzie rozmawiali półgłosem z pochylonymi ku sobie głowami. Luke uśmiechał się szeroko.

– Matty przyjdzie? – zapytała Lizzie na widok Ellen.

– Powiedział, że idzie na urodziny kumpla.

Kłamstwo było tak oczywiste, że nikt nie musiał głośno tego stwierdzać.

– Dobrze – powiedziała Lizzie i podała Ellen kartkę. – Tu masz kopię tekstu zaklęcia.

Ellen przebiegła je wzrokiem. Bec wiedziała, co myśli, kiedy jednak nie odezwała się ani słowem, Liz spojrzała na Bec i uniosła brwi, dając do zrozumienia, że to ona miała rację. Bec zastanawiało, dlaczego Lizzie tak się szarogęsi, skoro to nie jej dom i nie ją nawiedza zjawa.

– Skąd wiesz, że to jej nie rozwścieczy? – zapytała.

– O co ci chodzi? – Lizzie rzuciła jej osobliwe spojrzenie.

– Nie wiemy, dlaczego to się tu pojawiło i czego chce. Ale jest agresywne, dowodem są ślady krwi.

– Zgadzam się z Bec. Nie bardzo wierzę w takie rzeczy, ale jeśli to coś, o czym mówimy, istnieje naprawdę, to myślę, że nie powinniśmy igrać z tymi siłami – powiedziała Ellen.

Bec spojrzała na Lizzie i uniosła brwi.

– To nie jest prawdziwe – stwierdziła Liz.

– Jest! – zaperzyła się urażona Bec.

– Sama powiedziałaś, że krew była twoja. Myślałam, że się powygłupiamy, żeby ci poprawić samopoczucie.

– Wcale nie! – upierała się Bec, chociaż rzeczywiście coś takiego powiedziała przed imprezą poprzedniego wieczoru. W ten sposób chciała nakłonić Lizzie, żeby weszła do jej pokoju. Ton jej głosu zdradził, że kłamie.

Zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na nią z uwagą. Wreszcie Ellen wstała.

– Nie idź jeszcze! – poprosiła Bec ze ściśniętym gardłem.

– Kurwa, Bec, co z tobą? Martwiłam się o ciebie. Myślałam, że dzieje się tutaj coś złego, a ty chciałaś po prostu zwrócić na siebie uwagę. Jest środek nocy, a ja nie jestem nastolatką!

Na twarzy i szyi Ellen pojawiły się czerwone plamy. Nie podniosła głosu, ale jej słowa zabolowały jak siarczysty policzek. Okręciła się na pięcie i wyszła z garażu. Luke wstał i ruszył za nią.

– Powiniennem sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku – rzucił, nie patrząc na Bec, i wyszedł.

Kosmyk ognistych włosów spadł z miseczki uniesiony podmuchem powietrza, które wdarło się do środka przez otwarte drzwi. Bec przypuszczała, że Lizzie chce go spalić. Schyliła się i podniosła go z ziemi. Był jasny i miękki w dotyku. Ucieszyła się, że nie będzie musiała patrzeć, jak czernieje pod wpływem ognia. Nagle poczuła się wyczerpana.

– Przepraszam, Bec. Nie chciałam, żeby tak wyszło.

– Jeśli zaraz wyjdiesz, to ich dogonisz.

– Myślałam, że zostanę na noc u ciebie.

Bec wpatrywała się intensywnie w kosmyk swoich włosów leżący na jej otwartej dłoni.

– Nie – powiedziała cicho.

– Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się jak wariatka!

Bec zacisnęła kosmyk w dłoni. Kiedy podniosła głowę, jej oczy rzucały płomienie, ale głos pozostał spokojny.

– Nie jestem wariatką. Po prostu mam dość przyjaźni z kretynką.

– Bec! – zawołała Lizzie. Miała minę, jakby dostała w twarz.

Bec uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie.

– Przykro mi, ale to prawda. Jesteś kompletną idiotką. Twój brat to frajer, a ojciec zboczeniec.

– Wcale nie! – Lizzie nie wyglądała już na zranioną. Patrzyła na Bec z nienawiścią. – Cofnij te słowa – wycodziła lodowato.

Bec nie była w stanie spojrzeć jej w twarz. Gdyby to zrobiła, musiałaby przeprosić, ponieważ już czuła się winna. Gdyby przeprosiła, Lizzie by została, a ona chciała być teraz sama. Może nie tylko teraz, może już na zawsze. Zamiast przeprosić, słuchała, jak Liz wkłada wszystko z powrotem do pudełka, słuchała szelestu jej spódnicy, kiedy podnosiła się z podłogi, słuchała cichnących kroków, kiedy Liz szła przez pralnię, i tłumionego odgłosu zamykania drzwi wejściowych.

A potem, kiedy siedziała samotnie na białym prześcieradle, które w świetle sączącym się z pralni wyglądało jak zjawa, nienawidziła wszystkich, a najbardziej siebie.

Rano jej biała bawełniana poduszka była mokra od łez. Nie pamiętała swoich snów, ale to one musiały sprowokować ją do płaczu. A może to wcale nie były sny? Może odtwarzała w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru. Nigdy przedtem nie pokłóciła się z Lizzie, naprawdę ani razu w ciągu niemal pięciu lat przyjaźni. Spojrzawszy na telefon, spodziewała się, że zobaczy wiadomości z przeprosinami, może jedną od Luke'a z zapytaniem o samopoczucie, ale nic nie znalazła. Wszyscy uznali ją za kłamczuchę.

Wygrzebała się z pościeli, zanim ta bolesna myśl na dobre zagościła w jej głowie, podniosła się z łóżka i wyszła z sypialni. To był dzień wyprawy z bliźniakami do aquaparku. Nie mogła się od tego wykręcić. Mijając pokój braci, zajrzała do środka. Chłopcy stali przy łóżku Paula i zaglądali do jego plecaka.

– Nie zapomnijcie o kremie przeciwsłonecznym – rzuciła.

Podskoczyli jak oparzeni na dźwięk jej głosu i odwrócili się do niej, zasłaniając plecak.

– Ale z ciebie zrzęda – powiedział Andrew.

– Chyba nie chcecie mieć więcej piegów, co?

Obaj jak na komendę przewrócili oczami. Przez chwilę przyglądała im się podejrzliwie, ale nie chciała kontynuować przekomarzanek, więc poszła do łazienki. Może to najlepsze, co mogła zrobić. Spędzić cały dzień z braćmi i poszaleć na zjeżdżalniach.

Wzięła prysznic, włożyła kostium kąpielowy, posmarowała się filtrem, włożyła sukienkę, schowała ręcznik do torby. Dobrze było czymś się zająć, by wypełnić pustkę, którą ciągle czuła.

Chłopcy czekali na nią w kuchni.

– Wypiję kawę i pojedziemy, dobrze? – powiedziała.

Wymienili się spojrzeniami. Byli podekscytowani. Wstawiła wodę. Cieszyła się, że zabiera braci na basen. Niedługo będą nastolatkami i przestaną jej potrzebować, może nawet przestaną ją lubić. Zaczną śmierdzieć, przejdą mutację, zaczną chodzić z dziewczynami... Ejże, oni? Gdy teraz na nich patrzyła, ten pomysł wydał jej się nedorzeczny. Siadając z kubkiem kawy przy stole, próbowała sobie wyobrazić chłopców bez pyzatyh policzków i dziecięcego tłuszczu, ale jakoś jej się nie udało.

– Zaraz, zaraz – powiedziała. – Zapomnieliście o ręcznikach.

Popatrzyli na siebie, a Paul uderzył się w czoło z udawaną irytacją.

– Ale ze mnie głupek! – powiedział i obaj wybuchnęli śmiechem.

– Idźcie po nie! – zarządziła.

Zerwali się na równe nogi. Zanim wybiegli z kuchni, Bec zauważyła, że Paul

na chwilę zatrzymał wzrok na swoim plecaku, jakby rozważał, czy wziąć go ze sobą. A to oznaczało, że w środku jest coś, czego miała nie widzieć.

Jakaś jej częśćka miała opór przed zaglądnaniem do plecaka. Chciała, żeby to był dzień idealny. Musiała jednak to zrobić.

W pierwszej komorze znalazła discmana, sfatygowany portfel na rzep i klucze do domu. Zapięła pierwszą komorę i z narastającym poczuciem winy odpięła drugą. Zobaczyła części miny-niespodzianki. Ten widok ją zmroził. Wyobraziła sobie wodę w basenie barwiącą się na różowo. Poczowała skręcanie w żołądku.

Nie zawracała sobie głowy zapinaniem zamka. Wstała i wyszła z domu, trzaskając drzwiami. Czuła, że jako starsza siostra powinna zostać i porozmawiać z bliźniakami o swoim odkryciu. Uświadomić im, że każdy czyn ma swoje konsekwencje, wyjaśnić, że mogli zrobić komuś krzywdę. Że to nie zabawa i taki kawał wcale nie byłby śmieszny. Tyle że nie dawała rady udźwignąć tego ciężaru. To wszystko przez ten dom. To w tym domu wszystko wypaczało się, szpetniało i nabierało złowrogich cech. Musiała znaleźć się jak najdalej od niego. A miał to być wspaniały dzień zabawy i beztroski.

Szła przed siebie, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza. Zwinięty ręcznik wystawał z torby i z każdym krokiem obijał się o plecy. Miała czerwone i mokre policzki. Nie wiedziała, czy od potu, czy od łez.

Była prawie na miejscu, kiedy zorientowała się, że zmierza do domu Luke'a. Gdzieś głęboko w jej świadomości powtarzał się nakaz: przekonaj Luke'a, że nie jesteś kłamczuchą. Poza tym, choć sprzeciwiała się temu, zarazem czuła potrzebę, by wyznać mu wszystko, po prostu wszystko. Otworzyć przed nim tę bolącą część umysłu, wylać z niej całą truciznę.

Z ulicy widać było szeroki podjazd i eukaliptusy zasłaniające budynek. Wystarczyło przejść kilka metrów podjazdem, a zza zakrętu wyłaniał się budynek mieszkalny z brązowej cegły. Niczym szczególnym się nie wyróżniał, ale świadomość, że mieszka tu Luke, czyniła go wyjątkowym, porównywalnym z katedrą Notre Dame albo mauzoleum Tadź Mahal. Miał cztery piętra, z dwoma prostymi cementowymi balkonami na każdym piętrze.

Wiedziała, że Luke mieszka na parterze. Kiedyś mówił o swoim przyjacielu, który walił w okno, by go obudzić. Pewnego wieczoru Matty odwoził ich wszystkich do domu po wieczornej zmianie i właśnie tutaj wysiadł Luke. Bec od razu przypomniała sobie adres.

Cień drzew, brzęczenie cykad i woń eukaliptusów nadawały temu miejscu aurę spokoju. Pomyślała, że miło byłoby tu mieszkać. Podeszła do drzwi wejściowych i zapukała, a serce waliło jej jak młot. Odczekała kilka chwil oparta o skrzynki na listy. Rozejrzała się i zauważyła przyciski. Zawstydziała się, chociaż nie miała świadków swojej kompromitacji. Co za idiotyzm pukać do drzwi

budynku. Obok przycisków były tylko numery, nie nazwiska. Miała wybór: albo tkwić przed domem jak stalkerka, albo naciskać wszystkie przyciski po kolei i liczyć na szczęście. Tyle że naraziłaby Luke'a na nieprzyjemności ze strony innych lokatorów.

Nie miała dokąd pójść. Nie mogła wrócić do domu, nie mogła iść do Lizzie. Zaciskała dłonie, wbijając paznokcie w skórę i hamując łzy. Gdyby Luke spotkał ją siedzącą na schodach, spaliłaby się ze wstydu, ale znacznie gorsze byłoby, gdyby przy tym ryczała jak wariatka.

Skradając się pochyłona pod niskimi gałęziami, skręciła za róg budynku. Gdyby udało jej się zlokalizować mieszkanie Luke'a, byłoby łatwiej. Zajrzała przez pierwsze z brzegu okno. W pokoju panował półmrok. Minęła chwila, zanim zaczęła rozróżniać kształty. Wydała z siebie tłumiony okrzyk i odskoczyła. W środku spał nagi mężczyzna w średnim wieku z ogromnym brzuchem. Ledwie powstrzymała się od histerycznego śmiechu. Wzięła kilka głębokich oddechów i brodząc w zeschniętych liściach, podeszła do następnego okna.

Na parterze mieściły się co najwyżej trzy mieszkania. Ścisnęła kciuki. Nie chciała znów się narazić na widok nagich mężczyzn. Wyprostowała się i zajrzała przez okno. W środku nie zobaczyła nikogo, tylko nieposłane łóżko, stary komputer, ścianę działową oddzielającą pokój od kuchni oraz otwarte drzwi, za którymi dywan przechodził w białe popękane płytki. Domyśliła się, że to łazienka. Na podłodze leżał pomięty firmowy T-shirt McDonalda. Okno, przez które zaglądała do mieszkania, było szeroko otwarte, ale Luke'a najwyraźniej nie było w domu. Bez namysłu wdrapała się na parapet i zeskoczyła na łóżko Luke'a.

Stała na środku pokoju. Nie wierzyła, że to robi. Zamiast czym prędzej wyjść, położyła się na łóżku Luke'a i syciła się jego zapachem. Wyciągnęła się wygodnie, dotknęła poduszki, miękkiej bawełnianej pościeli. Wyobraziła sobie, jak Luke wraca z pracy i wślizguje się pod kołdrę. Po chwili wstała i poszła do łazienki. Obejrzała szczoteczkę do zębów, golarkę, płyn do płukania ust. Potem przeniosła się do kuchni i zaczęła otwierać szafki. Zobaczyła paczki makaronów, przyprawy, wyjedzony do połowy słoik nutelli. Gdy dostrzegła w zlewie brudny talerz, w pierwszym odruchu chciała go umyć.

W końcu wrócił jej zdrowy rozsądek. Uświadomiła sobie, co wyprawia. Musiała jak najszybciej stąd wyjść, po prostu natychmiast. Ale kiedy wróciła do sypialni i stanęła przy łóżku, usłyszała dźwięk, który zmroził jej krew w żyłach. Był to odgłos klucza wkładanego do zamka.

W ułamku sekundy oceniła sytuację. Zorientowała się, że nie zdąży uciec przez okno, padła więc na ziemię, wczołgała się pod łóżko i wciągnęła za sobą torbę. W tej samej chwili drzwi do mieszkania stanęły otworem.

Luke stał w progu w szortach i koszulce, z kubkiem kawy w jednej ręce i resztkami rogalika w drugiej. Kiedy odwrócił się, żeby zamknąć drzwi, Bec

zobaczyła plamę potu między łopatkami. Wstrzymała oddech. Bała się ataku paniki. Trzask zamykanych drzwi rozbrzmiał w pokoju jak wybuch. Słyszała, jak Luke przeżuwa ostatni kęs rogalika, mnie papierową torebkę i wrzuca ją do kosza. Przeszedł przez pokój, po chwili materac ugiął się nad nią. Luke przełknął kawę. Jej uszu dobiegły ciche dźwięki klawiszy telefonu. Luke pisał esemesa. W ostatniej chwili pomyślała, że może pisać do niej. Boże! Wsunęła trzęsącą się rękę do torebki i wyjęła telefon, którego wyświetlacz właśnie się rozjarzył. Szybko przycisnęła klawisz otwarcia wiadomości, zanim rozległ się sygnał oznajmiający jej nadejście. Omal nie upuściła przy tym aparatu.

Przepraszam za wczoraj. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Przełknęła ślinę. Niewiele brakowało. Dłonie jej drżały, włókno dywanu zaczęło drażnić ją w szyję. Śmierdział dymem papierosowym i wilgocią. Sprężyny miała zaledwie centymetry nad głową. Gdyby wyciągnęła palce, dotknęłaby kostek Luke'a. Widziała każdy pojedynczy brązowy włos na jego łydce, każdy mieszek, z którego wyrastał.

Przez kilka następnych minut Luke był zajęty esemesowaniem, ale żadna z wiadomości nie przyszła do niej. Potem materac znowu skrzyknął i uniósł się nieco. Luke zrobił krok naprzód, zrzucił szorty i bokserki. Po chwili Bec zobaczyła, że na podłogę spada T-shirt i zobaczyła Luke'a od szyi w dół: blade pośladki, pryszcze na plecach i czarne wijące się włosy niemal całkiem zakrywające zwiotczałego penisa. Drzwi łazienki się zamknęły, rozległ się pisk rur, a potem szum wody.

Miała najwyższej kilka minut.

Wygramoliła się spod łóżka i wstała na nogi, gotowa wyskoczyć przez okno. W tej samej chwili na telefon Luke'a przyszła wiadomość. Aparat leżał na łóżku. Zobaczyła nadawcę wiadomości. Była nią Lizzie. Nie mogła oprzeć się pokusie i sięgnęła po telefon.

Lizzie napisała:

Wszystko w porządku. Dzięki, że o mnie myślisz.

Otworzyła folder z wysłanymi wiadomościami. Luke wysłał Lizzie esemesa o tej samej treści co do niej. Na liście adresatów były niemal wyłącznie żeńskie imiona. Najwięcej wysyłał do niej, do Lizzie i do Ellen. Otworzyła jedną z wiadomości na chybił trafił.

Wczorajszy wieczór był wyjątkowy. Myślałem o Tobie dzisiaj.

Nie była jedyną adresatką takich wiadomości.

Szum wody ustał. Rzuciła telefon na łóżko, jednym płynnym ruchem znalazła się na parapecie i zeskoczyła na ziemię wprost w oślepiającą jasność letniego poranka. Zgięta wpół minęła okno śpiącego grubasa, przeszła pod niską gałęzią i wyszła na betonowy podjazd, skąd puściła się pędem przed siebie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

2014 r.

W nocy znowu miałam ten sen, choć różnił się trochę od poprzednich. Bec idzie ulicą, zatrzymuje się przy niej auto, ale ona się nie boi. Wita się z kierowcą i wsiada z uśmiechem. Najpierw kierowcą jest Lizzie, potem jej ojciec. Wreszcie kierowca zmienia się w matkę Bec. Ma pałające oczy, jakich u niej nie widziałam. Odslania zęby w szerokim uśmiechu klauna. Samochód odjeżdża i wtedy słyszę płacz Bec, która wie, że umrze.

Wolno sączę kawę, ale kofeina nie pomaga. To nie dziennikarz przysłał tego esemesa i nie od niego dostałam pierwszą wiadomość. Byłam głupia, że tak sądziłam.

Ktoś mnie obserwuje. Ktoś chce zrobić mi to samo, co zrobił Bec. Muszę zniknąć. Powinnam była to zrobić ubiegłej nocy, ale ulica nadal jest zamknięta, a reporterzy czyhają, aż się pokażę. Jeśli pójdę w dół ulicy, moja twarz znajdzie się na pierwszej stronie wszystkich gazet w kraju. Chodzi nie tylko o to. Instynkt mi podpowiada, że nie mogę tak po prostu sobie odejść. Nie mogę pozwolić, żeby porywacz Bec chodził po świecie, udając zwykłego człowieka. Jeśli odejdę, nie poniesie konsekwencji za odebranie jej życia, które teraz jest moje. Wiem, że powinnam ratować siebie, ale nie mogę. Siedzę i pijam kawę, czując się jak w potrzasku.

Dzwoni moja komórka, a ja podskakuję jak oparzona. To Lizzie.

– Cześć, to ja – mówi. – Wiem od Jacka, co powiedziałaś. Chcę naprawić sytuację. Co powiesz na przejażdżkę? Pojedziemy razem na kawę?

– Dobrze – odpowiadam, chociaż wiem, że powinnam odmówić. Wiem, że powinnam odejść bez oglądania się za siebie. – Na ulicy jest blokada. Musisz poprosić gliniarza, który tam stoi, żeby zadzwonił do domu.

– W porządku. Do zobaczenia.

Wyglądam przez okno od frontu i nagle czuję się strasznie zdenerwowana. Rozpaczliwie pragnę komuś o tym powiedzieć, tak naprawdę powinnam skontaktować się z Andopolisem. Ale jeśli powiem mu o esemesach, będę musiała wyznać prawdę o sobie, a przecież nie chcę wylądować w więzieniu. Podawanie się za kogoś innego i korzystanie z cudzych kart kredytowych na pewno skończyłoby się odsiadką. Co gorsza, musiałabym wrócić i stanąć twarzą w twarz z macochą. Może z dwojga złego więzienie byłoby lepsze.

Lizzie przyjeżdża fioletowym volkswagenem. Wybiegam z domu i wsiadam, naciągając kurtkę na głowę. Kiedy wolno mijamy zgrają dziennikarzy, ich wrzaski przenikają do środka auta.

– Rebeca? Bec? To ty?

– Gdzie byłaś, Bec?

Słyszę walenie w szybę, trzask migawek, szuranie butów o beton. Serce mi przyspiesza jak osaczonemu zwierzęciu. Przyciskam głowę do kolan.

– Z drogi! – wrzeszczy Liz, trąbiąc przeraźliwie. Zwiększa obroty silnika. Kiedy tłum na chwilę cichnie, rusza na pełnym gazie. – Szkoda, że nie widziałas ich min. Jakby myśleli, że naprawdę ich rozjadę! – mówi ze śmiechem.

Powoli odsłaniam głowę i patrzę przez okno. Jesteśmy już na głównej ulicy. Zapada niezręczna cisza, którą po chwili przerywa Lizzie:

– Więc kręcisz z Jackiem, tak?

– Sama nie wiem. – Nie chcę o nim mówić. Dzisiaj rano bombardował mnie esemesami, ale nie odpowiedziałam. To podłe, nie miałam jednak pojęcia, co mu napisać.

– Nie udawaj niewiniątka – rzuca kpiącym tonem. – Zawsze się w tobie durzył, przecież wiesz.

– Wiem.

– Zdzira. – Liz uśmiecha się do mnie, a gdy nie odwzajemniam uśmiechu, dodaje: – Jedźmy do tej kafejki w Yarralumla Woods. Wezmę coś na wynos i usiądziemy w parku, żeby nikt nie zawracał ci głowy. – Przypuszczam, że mówi tak, bo chce rozładować atmosferę. – Byłaś tam, jak już wróciłaś do nas?

Kiedy wsiadałam do samochodu, byłam gotowa powiedzieć jej wszystko, ale teraz wydaje się to niemożliwe.

– Nie.

– Super. Przypomnisz sobie, jak tam fajnie. Yarralumla Woods ma mnóstwo szczęścia, zazwyczaj pożary omijają go z daleka.

– To dobrze – odpowiadam mechanicznie, ledwie jej słuchając. – A gdzie indziej wyrządziły duże szkody?

– Zmiotły z powierzchni ziemi kilka przedmieść, Bec – mówi Lizzie, bacznie mi się przyglądając. – To było potworne. Zginęli ludzie. Siedzieliśmy z Jackiem na dachu naszego domu i patrzyliśmy, jak ogień się zbliża, póki nie musieliśmy się ewakuować.

– Strasznie się tego słucha.

– To było straszne.

Znowu zapada cisza.

– Jak twoja mama?

– Dobrze – odpowiadam. – Dzięki, że pytasz.

– Dziwnie się zachowywała, gdy u was byłam parę dni temu.

Próbuję sobie przypomnieć, co robiła mama, gdy zapłakana Lizzie stanęła na progu domu. Nie zauważyłam u niej nic nadzwyczajnego.

– Dziwnie, czyli jak?

– Od bardzo dawna jej nie widziałam, ale pamiętam, że zawsze była surowa

i wymagająca. A teraz zachowywała się jak lunatyczka. Ledwie ją poznałam.

„Surowa i wymagająca” to ostatnie słowa, jakimi scharakteryzowałabym mamę. Po prostu takiej nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić. Choć to pewna przesada, przecież widziałam ją taką. Ten incydent w garażu, kiedy kazała mi wyjść.

– To na skutek straty dziecka. Ludzie reagują na taka traumę w różny sposób – ciągnie Lizzie.

Patrzy na mnie, potem przenosi wzrok na moją sukienkę i robi dziwną minę. Mam na sobie jedną z bardziej dorosłych sukienek, jakie znalazłam w szafie Bec, z bawełny w brązową kratę.

– Pamiętasz, skąd jest ta sukienka? Ze sklepów na dworcu autobusowym.

– Tak – odpowiadam, a Lizzie patrzy na mnie, jakby czekała na więcej. – Miałyśmy wtedy niezłą zabawę.

Lizzie bez słowa zjeżdża na pobocze. Za oknem rozciąga się ogromne jezioro, ale kawiarni nie widzę.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Lizzie nie odpowiada, tylko wyłącza silnik. Patrzy tępo przed siebie na jezioro i sunące po nim czarne łabędzie. Na niebie wiszą jasnoszare chmury, zapowiedź późniejszego deszczu.

Cisza, cisza, i nagle w tej ciszy padają słowa Lizzie:

– Twój głos nie przypomina głosu Bec. – Serce podchodzi mi do gardła, słowa uwięzły, a Liz dodaje: – Większość ludzi pewnie zapomina brzmienia głosu osoby, która zniknęła przed laty, ale ja nie.

– Nie rozumiem – mówię z trudem. Chciałabym wykrzesać z siebie coś więcej, ale nie potrafię zdobyć się na żaden wysiłek.

– Jesteś do niej podobna, ładną podobna, to ci muszę oddać, ale nie zachowujesz się jak ona. Ani trochę.

– Lizzie – podejmuję próbę uratowania sytuacji – to ja, Bec.

Odwraca się do mnie. Jej oczy miotają iskry.

– Przestań kłamać. Nie wiem, kim jesteś, ale nie jesteś Bec.

Nie odpowiadam. Nie jestem w stanie. Palę się ze wstydu.

– Wiesz, co się z nią stało? – pyta po chwili Lizzie.

Nie ma sensu iść w zaparte, dlatego odpowiadam:

– Nie, nigdy jej nie spotkałam.

– Dlaczego to zrobiłaś? – Po policzkach Lizzie spływają łzy. – Wróciłaś, a ja pomyślałam, że wszystko z nią w porządku. A teraz czuję, jakby znowu zniknęła.

– Przepraszam – szepczę.

Siedzimy w milczeniu, patrzymy na jezioro. Przenika mnie chłód.

– Proszę cię, Lizzie, nie mów nikomu. Bardzo cię proszę. Nie mogłabym tego zrobić jej rodzinie.

– Akurat cię to obchodzi!

– Obchodzi – zapewniam. I wcale nie kłamię. – Proszę, Liz. Wyjadę, obiecuję. Powiem im, że chcę zacząć wszystko od nowa i będę dzwonić co kilka tygodni, a ty już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

– Wynocha z mojego auta! – nakazuje Liz.

Jej ton nie pozostawia złudzeń. Nienawidzi mnie.

– Ktoś mi grozi – mówię cicho. – Boję się.

– Tak, już to widzę.

– Potrzebuję twojej pomocy. – Liz milczy, więc wyrzucam z siebie jednym tchem: – Myślę, że człowiek, który porwał Bec, nadal gdzieś tu jest. To musiał być ktoś, kto znał...

– Skończ z tymi bzdurami! – krzyczy Lizzie.

– To nie bzdury. Naprawdę.

Nie wierzy mi, ale czy mogę mieć jej to za złe? Nie tylko nie wierzy, ale i nienawidzi mnie, więc na pewno mi nie pomoże. Ale muszę próbować.

– Proszę cię, daj mi czas do jutra – niemal błagam. – Muszę się dowiedzieć, kto to jest.

– Sama nie wiem. Pomyślę o tym. Ale teraz wysiądź, bo mogę ci przyłożyć.

Odpinam pasy i wyskakuję z auta. Schylam się i patrzę na Lizzie. Ma nieobecny wzrok, ale usta wykrzywione bólem.

W głowie czuję pustkę, jakiś ciężar przygniata mi piersi. Opieram się plecami o drzewo. Próbuję oddychać spokojnie i głęboko. Za plecami słyszę odjeżdżające auto Lizzie.

I właśnie w tej chwili pojmuję pełnię wyrządzonego zła. To niewybaczalne, to najgorsze, co można uczynić drugiemu człowiekowi. Naprawdę będę musiała odejść, ale tego nie chcę. Gdybym odeszła, a wszyscy uznają, że Bec jest bezpieczna i zaczęła gdzieś nowe życie, to byłby koniec tej historii, natomiast łajdak odpowiedzialny za jej los nigdy nie zostałby ukarany.

Spoglądam na jezioro. W wodzie widzę idealne odbicie nieba. Może na dnie tego jeziora leży ciało Bec? W worku na odpadki obciążone kamieniami... Właściwie może być wszędzie. Jedyne człowiek, który wie, gdzie jest jej ciało, to zabójca Bec. To on wysłał do mnie te wiadomości. Ale to dawało mi przewagę, bo tylko on od początku wiedział, że nie jestem osobą, za którą się podaje.

Analizuję czas od przyjazdu do Canberry. Musi być coś, jakiś znak, że kłamałam.

Mapa w telefonie pokazuje mi trasę. Ruszam do domu. Robi się coraz chłodniej, czuję się bezbronna, wędrując samotnie wśród nielicznych eukaliptusów jaśniejących w gasnącym świetle dnia.

Zawsze umiałam udawać, odgrywać różne role. Tutaj też to robiłam, sprawdzałam, czy odnajdę się w roli Bec. Byłam turystką zakłętą w cudze życie,

cudem odnalezioną mieszkanką Canberry... czyli pasożytem. Tak samo jak człowiek, który uprowadził Bec, ja też zawsze noszę maskę, odgrywam jakąś rolę. Może dlatego, że boję się tego, co zobaczę pod maską: brzydoty lub, co gorsza, pustki.

W tej chwili odczuwam przemożną chęć porzucenia życia Bec. Ktoś mnie śledzi, mogę zginąć – a jednak muszę zostać. Jestem to winna Bec. Jeszcze jeden dzień, nawet jeśli to oznacza zdemaskowanie.

Docieram do domu tuż przed deszczem. Bateria w telefonie padła, więc szłam w ciemnościach na wycucie. Zbliżając się do domu, zobaczyłam światła w strefie, gdzie koczowali dziennikarze. Zapalili reflektory.

Nie mieli zamiaru stąd zniknąć w najbliższym czasie. Stojąc w cieniu, przyglądałam im się przez chwilę. Palili papierosy, rozcierali ręce, żeby je rozgrzać. Zbici w małe grupki, raz po raz wybuchali śmiechem.

Nie brałam pod uwagę ucieczki. Podjęłam już decyzję. Skręciłam za róg i obeszłam kwartał szerokim łukiem, żeby znaleźć się na ulicy na drugim końcu zaułka. Od tyłu widziałam nasz dwupiętrowy dom, przytłaczający swoimi rozmiarami niski domek stojący na sąsiedniej parceli. Przemknęłam przy ścianie, pochyłona przeszłam pod rozświetlonymi oknami i przeskoczyłam ogrodzenie na tyłach, lądując w naszym ogródku. Podbiegłam do frontowych drzwi. Stoję pod nimi w pierwszych kropłach deszczu i zbieram się na odwagę. Lizzie mogła już do nich zadzwonić. Przekręcam klucz w zamku zgrabiającymi palcami.

– Cześć, Becky! – woła Paul. Siedzi w salonie na kanapie z iPadem na kolanach. – Już się martwiliśmy, że zapomniałaś o naszym jutrzejszym wyjeździe.

– Albo że wolisz spędzić noc ze swoim nowym chłopakiem! – dopowiada Andrew z kuchni.

Lizzie nie dzwoniła. Zlitowała się nade mną i dała mi jeden dzień.

– Oczywiście, że nie zapomniałam. – Ogarnia mnie niewysłowiona ulga. Siadam na kanapie obok Paula. Ciepło jego ciała działa na mnie kojąco. Znowu czuję się bezpieczna, nawet jeśli to potrwa krótką chwilę.

– To dobrze. – Paul otacza mnie ramieniem. Widzę, że przegląda w iPadzie swoje maile.

Przychodzi mi na myśl ojciec Jacka. Dziwny sposób, w jaki spojrział na mnie znad iPada. W przeciwieństwie do pozostałych, tamtego dnia nie wydawał się zaskoczony moim widokiem. Wzdrygam się nagle, a Paul rozciera mi ramię, jakby myślał, że ciągle trzęsę się z zimna.

We wzroku ojca Jacka było coś niepokojącego. Czyżby wiedział? Wiedział, że nie jestem Bec, ponieważ sam ją zabił. Okłamał policjantów. To już wiem. Musiał mieć jakiś powód. Przypominam sobie film z milczącej manifestacji i ojca Lizzie rzucającego czapkę. Jak mogłam to przeoczyć? Skąd miałby czapkę Bec z logo McDonalda? Musiała mieć ją na głowie, gdy ostatni raz w swym życiu

wracała do domu.

Sądząc po zapachach dochodzących z kuchni, rodzice gotują coś przepysznego. Wstaję i idę tam, żeby zaspokoić ciekawość. Mama miesza coś w garnku, tata kroi warzywa. Andrew siedzi przy stole z nosem w telefonie.

– Zetrzesz ser? – pyta tata, podając mi tarkę.

– Jasne – odpowiadam.

To mój ostatni wieczór. Nikt nie wie, że jutro odejdę. Razem z bliźniakami. Próbuję odsunąć od siebie myśl o stracie i cieszyć się bezcennymi chwilami z rodziną.

– Co robisz jutro? – pyta Andrew. – Spotykasz się z Vince’em?

– Może – kłamię. – A może zobaczę się z Lizzie.

Ale to nie z Lizzie chciałam się zobaczyć. Postanowiłam porozmawiać z jej ojcem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bec, 17 stycznia 2003 r.

Kiedy człowiek jest kompletnie wyczerpany i odrętwiały, a do tego nienawidzi całego świata, nie ma nic lepszego niż mieć cały dom dla siebie.

Bliźniacy nie odzywali się do niej. Wypuścili się na rowerach nie wiadomo gdzie, a rodzice byli w pracy.

Bec siedziała w piżamie i nie zamierzała się przebierać, póki nie będzie zmuszona tego zrobić. Chociaż raz dom wydawał jej się bezpiecznym schronieniem przed tornadem, jakim stało się jej życie. Tutaj była z dala od kłótni z Lizzie, od konieczności spojrzenia Luke'owi w oczy, od rozczarowania Ellen. Leżała na czarnej kanapie w salonie ze wzrokiem wbitym w sufit i próbowała uspokoić gonitwę myśli. Zamiast oddawać się jałowemu rozmyślaniam, skupiła się na fakturze skózanego obicia kanapy i na skrzypnięciach, jakie wydawała pocierana gołymi stopami. Wyobrażała sobie, że ten cichy spokojny dom jest jej światem. Że skwar i oślepiająca jasność za oknem nie istnieją.

Miała trzy godziny do rozpoczęcia zmiany. Na szczęście nie pracowała dzisiaj ani z Lizzie, ani z Lukiem. Powoli zsunęła się z kanapy. Pusty kubek po kawie zaniósła do kuchni i od razu go umyła. Patrzyła, jak bąbelki płynu spływają po powierzchni i wpadają do odpływu. Wytarła go starannie i odstawiła na miejsce do szafki, jakby nigdy go nie używała. Bała się, że po włączeniu telewizora czar chwili pryśnie. Nie mając nic lepszego do roboty, poszła do sypialni.

Wczoraj nie chciała wracać do domu, bo obawiała się konfrontacji z braćmi. Włóczyła się sama po mieście, pocąc się niemiłosiernie w kostiumie kąpielowym pod sukienką. W końcu tak ją zmęczyło noszenie ręcznika kąpielowego, że wyrzuciła go do kosza.

Była tak wściekła, że na myśl o Luke'u zacisnęła pięści. Miała ochotę komuś przyłożyć. Nigdy wcześniej tak się nie czuła. Złość i wstyd towarzyszyły jej przez cały dzień, przyprawiając o mdłości.

Dzisiaj czuła się trochę lepiej, oczywiście o ile odczuwanie pustki można uznać za poprawę samopoczucia. Siedziała na łóżku i odliczała płynące minuty. Cieszyła się samotnością przed wyjściem do pracy, gdzie musiała się uśmiechać bez względu na okoliczności. W tej chwili samotność wydawała się łatwa i naturalna. Chociaż Bec wiedziała, że nie wygląda ładnie. Zobaczyła siebie oczami postronnego obserwatora. Zgarbione plecy, nieobecny wzrok, tłuste włosy wiszące w strąkach po obu stronach twarzy. Znała ten widok. Tak samo wyglądał Max po powrocie ze szpitala. Skręciło ją w żołądku na to wspomnienie.

Przypomniała sobie minę Lizzie, gdy kazała jej wczoraj wyjść. Zaraz jednak wróciły do niej obrazy imprezy sprzed paru dni. Śmiech Lizzie, szaleńcze tańce.

Odżyły wcześniejsze wspomnienia. Coroczne wyjścia na wystawę kwiatów, śniadanie o trzeciej po południu U Gusa, pływanie łódką i piski Lizzie, gdy Bec skierowała łódkę pod ogromną fontannę. Bez Lizzie jej życie byłoby smutniejsze. Wobec tego faktu Luke nic nie znaczył. Nawet go nie znała, po prostu stał się dla niej lustrem odbijającym jej własne pragnienia. Lizzie była inna. Humorzysta, zadufana w sobie, irytująca. I zajmowała połowę jej serca. Zrobiłaby wszystko, co najgorsze, żeby Lizzie rozśmieszyć. To nie Luke'owi, lecz Lizzie powinna była opowiedzieć o wszystkim. Bez namysłu sięgnęła po telefon i wybrała jej numer, ale w słuchawce odezwała się poczta głosowa. Miała czas. Gdyby zaraz wyszła, zdążyłaby wstąpić do Lizzie przed pracą. Miała tylko pół godziny na wytłumaczenie i przeprosiny, ale to wystarczyło.

Ledwie wyszła z domu, a doznała tego upiornego wrażenia, że jest obserwowana. Ruszyła przed siebie z mocnym postanowieniem, że nie będzie oglądać się za siebie.

Droga do domu Lizzie, najpierw autobusem, a potem pieszo w górę ulicy, przyniosła jej ulgę. Pies, który zawsze czekał na przechodniów, i przykra woń nawozu w ogrodzie jednego z mijanych domów oznaczały powrót do normalności. Zapukała delikatnie do drzwi i czekała. Pomyślała, że zapukała za słabo i miała spróbować znowu, kiedy usłyszała powolne kroki na schodach. Po chwili zamiast Lizzie zobaczyła w otwartych drzwiach jej ojca.

– Witaj, Bec.

– Dzień dobry. Jest Lizzie?

– Ja ci nie wystarczę? – rzucił z uśmiechem.

Zaśmiała się wymuszenie, nie bardzo wiedząc, jak powinna zareagować.

– Wyszła z Jackiem – wyjaśnił wreszcie. – Chcesz na nią poczekać?

– Mhm.

Cofnął się o krok, a Bec weszła do środka, prawie ocierając się o niego. Poczula zapach jego wody po goleniu. Stała u dołu schodów i zawahała się. Nie wiedziała, czy usiąść w salonie, czy iść na górę do pokoju Lizzie. Dziwnie się czuła sam na sam z jej ojcem, ale gdyby weszła tam pod nieobecność przyjaciółki, czułaby się jak stalkerka. Usiadła na kanapie w salonie. Tata Lizzie zajął miejsce naprzeciwko niej. Przesuwne drzwi były otwarte, widziała, jak słońce odbijało się od pomarszczonej powierzchni basenu. Zapach chloru wlatywał do salonu. Zamknęła na chwilę oczy. Przypomniała sobie wrażenie lekkości, kiedy unosiła się na wodzie w basenie Lizzie.

– Pokłóciliście się?

– Co?

– Ty i Lizzie. Przez ostatnie dwa dni jest bardzo milcząca.

– Milcząca? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby zamknęła buzię chociaż na moment.

Zaśmiał się, ale jego oczy pozostały poważne. Nie spuszczał z niej wzroku. Czyżby Lizzie się wygadała i wypaplała mu, co o nim powiedziała? Zdradziła ją?

Westchnął ciężko.

– Ach, ta młodość. Te kłótnie, które wydają się końcem świata, a tydzień później człowiek nawet nie pamięta, o co poszło.

Bec znowu zmusiła się do śmiechu, chociaż te słowa ją zirytowały. Nie znosiła, kiedy dorośli banalizowali jej życie, ale nie miała dzisiaj w sobie zwykłej ikry, żeby się o to spierać.

– Kiedy Lizzie wróci?

– Nie wiem. To coś pilnego?

– Muszę iść do pracy – powiedziała Bec, demonstrując wyjętą z torby czapkę z logo McDonalda.

– A tak, praca. Sam kiedyś pracowałem w Hungry Jack's.

– Tak? – zapytała uprzejmie, chociaż ani trochę jej to nie obchodziło.

– Tak, w latach siedemdziesiątych. Spędziłem lato, smażąc burgery. Nosilem wtedy długie włosy.

– Fuj! Ohyda.

– Dziewczyny w tamtych czasach myślały inaczej. Przed mamą Lizzie miałem taką jedną. Była hipiską, prawdziwym dzieckiem kwiatem. Piękna.

Nigdy dotąd Bec nie słyszała żadnej wzmianki o mamie Lizzie. Ani razu.

– Miała długie paznokcie. Przez całe lato na moich plecach były jej ślady. Drapała mnie do krwi za każdym razem, kiedy uprawialiśmy seks.

Bec nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Dlaczego mówił to wszystko? Na myśl o tym facecie uprawiającym seks robiło jej się niedobrze.

– Pamiętasz zeszłe lato, kiedy przyszedłeś do nas i nie zastałeś Lizzie?

Nie! Nie miała zamiaru kontynuować tej rozmowy. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje wprost na elegancki kremowy dywan. Spojrzała na zegarek i udała zaskoczenie.

– O nie, spóźnię się do pracy!

Zwykle czuła się u Lizzie komfortowo, jednak tym razem poderwała się gwałtownie z kanapy i pośpiesznie ruszyła do drzwi.

– Mam przekazać Lizzie, że byłeś? A może to zostanie naszą słodką tajemnicą? – Puścił do niej oko.

– Wszystko jedno – rzuciła Bec, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

Stał przed nią. Przez chwilę bała się, że odetnie jej drogę do wyjścia, ale postąpił naprzód i otworzył drzwi, chociaż nie zostawił jej wiele miejsca. Przecisnęła się obok niego. Zbrzydziło ją ciepło, jakie poczuła, gdy musnęła wierzchem ręki jego brzuch. Dopiero kiedy usłyszała trzask zamykanych drzwi, zdała sobie sprawę, że serce tłucze jej się w piersi jak szalone.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

2014 r.

Dźwięk zamykanych drzwi niesie się aż do mojego pokoju. Bliźniacy chyba pakują rzeczy do samochodu. Niedługo wyjadą, a ja pójdę w ich ślady. Jestem pewna, że plan zadziała. Pójdę do domu taty Lizzie i Jacka. Żaden wielki plan, muszę po prostu porozmawiać, upewnić się, a potem wyjadę. Do Andopolisa zadzwonię, kiedy już mnie tu nie będzie. Powiem mu o swoim odkryciu. Do pewnego stopnia czuję się okropnie. Tyle już napsułam w życiu rodziny Jacka. Ale nie robię tego dla siebie. Robię to dla Bec.

Nadal pada. Słyszę bębnienie deszczu o dach. To mój ostatni dzień w tej sypialni. Lizzie na szczęście jeszcze nie zadzwoniła, ale mój czas tutaj był już policzony. Nie wątpiłam, że w końcu zadzwoni i wszystko wyjdzie na jaw.

Kiedy schodzę na dół, rodzice krzątają się po domu, szykując się do odwiezienia bliźniaków na lotnisko. Po spotkaniu z ojcem Lizzie zniknę i nigdy więcej tu nie wrócę. Może tym razem pojedę do Melbourne.

– Myślałam, że wasz samolot odlatuje w południe – zagaduję. Jest dopiero dziewiąta. Sądziłam, że będę miała kilka godzin więcej.

– Zgadza się – mówi Paul. – Dojazd nową autostradą zajmuje tylko piętnaście minut.

– Mama udaje, że nie chce się spóźnić, ale według mnie po prostu chce się nas pozbyć jak najszybciej – dodaje Andrew.

– Chcesz mieć Bec tylko dla siebie, prawda? – pyta Paul żartobliwie.

Mama wychodzi do samochodu. Milczy, wygląda nieco dziwnie. Chyba jej smutno, że musi pożegnać synów.

Andrew mierzy mnie baczny spojrzeniem.

– Jesteś blada. Nie musisz nas odprowadzać, jeśli nie chcesz – mówi.

Właściwie liczyłam na to, że będą nalegać, bym towarzyszyła im w drodze na lotnisko. W ten sposób kupiłabym sobie więcej czasu.

– Strasznie rozbolała mnie głowa – mówię.

– Trudno – stwierdza Andrew i zamyka mnie w objęciach.

– Zadzwonimy wieczorem, dobrze? – Paul mierzwi mi włosy.

– Dobrze. – Wieczorem już mnie tu nie będzie.

– Chcesz wziąć ibuprofen? – pyta mnie mama, wracając do domu.

Obejmuję ją i ostatni raz wdycham jej słodki zapach. Przez krótki czas naprawdę była moją matką. Trudno się pożegnać.

– Nie, dziękuję. Wytrzymam bez niego – odpowiadam, nie patrząc na nią.

Stoję na progu w szlafroku, gdy ruszają z podjazdu. Macham im na pożegnanie i uśmiecham się, póki nie skręcą za róg i nie znikają mi z oczu. Potem

wchodzę do domu i zamykam drzwi. Mam pół godziny na spakowanie rzeczy.

Wracam na górę i podłączam telefon do ładowarki. Kiedy mi padł, specjalnie go nie ładowałam, żeby uniknąć rozmowy z Jackiem. Nie bardzo wiedziałam, jak mu to wszystko wyjaśnić. Biorę szybki prysznic. Zastanawiam się, czy zostawić liścik. Powinam. Nie mogę odejść bez słowa, ale nie mam pojęcia, co miałabym napisać. Powtarzam sobie, że przecież nigdy nie byli moją rodziną. Mimo to przepelnia mnie smutek.

Kiedy włączam telefon, spodziewam się przynajmniej jednego nieodebranego połączenia od Jacka. Mylę się. Jest tylko jeden esemes od Lizzie. Szybko go otwieram.

Przepraszam. Musiałam im powiedzieć.

Wiadomość została wysłana wczoraj o piątej piętnaście.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Bec, 17 stycznia 2003 r.

Bec zjawiała się w pracy kwadrans przed czasem. Szła wolno, próbując dodzwonić się do Lizzie, ale na próżno. Zaczynała się irytować. Nie pokłóciły się na śmierć i życie, nie wrzeszczały na siebie, nie rzuciły się sobie do oczu. Lizzie przesadzała.

W środku stała gigantyczna kolejka. Bec usiadła na tyłach parkingu i postanowiła zaczekać z wejściem do ostatniej chwili. Upał był nie do zniesienia. Sięgnęła do torby po czapkę, ale jej nie znalazła. Pewnie zostawiła ją u Lizzie. Świetnie. Na domiar złego groziło jej oparzenie słoneczne. Mimo to nie weszła do środka. Luke właśnie kończył zmianę, a ona nie chciała go już nigdy oglądać.

Po upływie kwadransa, kiedy otworzyła drzwi do sali, była mokra od potu, a klimatyzowane powietrze przyprawiło ją o dreszcz. Ellen wyglądała na udręczoną, zresztą jak zwykle. Wokół przedziałka miała nastroszone włosy, bruzda między brwiami była głębsza niż zwykle. Bec szanowała Ellen, ale dzisiaj szefowa wydała jej się godna pożałowania. Omal nie przewróciła oczami, gdy Ellen przywitała ją oschłym skinieniem głowy. Najwyraźniej ciągle była na nią zła i uważała za rozhisteryzowaną nastolatkę.

Nagle Bec uświadomiła sobie, że już jej nie obchodzi opinia Ellen. Ta kobieta miała grubo ponad dwadzieścia lat, a ciągle pracowała w McDonalddie i spędzała czas z nastolatkami. To, co dotąd uważała za swoją drugą – prawdziwszą – rodzinę, stało się w jej oczach siedliskiem rozczarowań i kłamstw z żalonymi ludźmi, którzy zrezygnowali z aspiracji życiowych.

Od razu zaczęła obsługiwać klientów. Zobaczyła, że Luke wychodzi z łazienki z plecakiem na ramieniu. W razie czego wymyśli jakiś pretekst, żeby z nim nie rozmawiać.

Nie była w stanie zachowywać się normalnie i naturalnie. Nalewając lemoniadę do wielkiego kubka, obserwowała, jak Luke żegna się w kuchni z Ellen. Obdarzył ją tym swoim niewymuszonym uśmiechem, o którym Bec myślała, że jest zarezerwowany tylko dla niej, i objął ramieniem. Znowu zagotowała się ze złości. Tyle że teraz nie miała pewności, czy złości się na niego, czy na siebie za naiwność i głupotę. Zimna strużka lemoniady popłynęła jej po rękawie. Przez nieuwagę przelała napój. Gwałtownie odstawiła kubek i strząsnęła krople z ramienia, wiedząc, że przez resztę zmiany będzie miała lepką skórę.

Oślepiające słońce stopniowo chyliło się ku zachodowi. Księżyc na niebie przeszedł z ledwie zarysowanego kształtu w idealny srebrny okrąg. Szczęśliwie dla Bec klienci napływali nieprzerwanym strumieniem, dzięki czemu nie musiała rozmawiać ani z Ellen, ani z Mattym, ograniczając się do warkliwego składania

zamówień.

Wiedziała, że Ellen niedługo kończy zmianę, co oznaczało, że do sprzątanania zostaną tylko Matty i ona. Była w stanie przez to przebrnąć. Wraz z upływem czasu zmienił się profil klientów. Spocone i spalone słońcem rodziny ustąpiły miejsca podpitym grupkom rozkrzyczanych młodych ludzi. Nie знаła ich, i Bogu niech będą dzięki. W tej chwili nie była w stanie nawet zmusić się do uśmiechu. W powtarzalnych czynnościach znalazła jednak uspokojenie. Pozwalały nie myśleć. Ograniczyła się do zestawu słów i ruchów, które nie pozostawiły miejsca na zmartwienia, wszechogarniający smutek i złość. Było tylko automatycznie powtarzane: „Czym mogę służyć?”.

– Czym mogę służyć? – zapytała, gdy sprzed kontuaru odeszła grupa chłopaków w koszulkach polo, odsłaniając potężnego spoconego grubasa.

Spojrzała w twarz mężczyzny, spodziewając się nieuniknionego zamówienia na gigantyczną porcję frytek i burgerów. Zwykle starała się, jak mogła, by nie okazywać swojej awersji wobec otyłych klientów, ale dzisiaj nie zwracała sobie głowy uprzejmościami. Powoli zmierzyła grubasa wzrokiem od stóp do głów.

– Czym mogę służyć? – zapytała głośniejszym głosem, jakby miała do czynienia z kimś przygłuchym.

Mężczyzna stał trzy kroki od lady. Miał mętne spojrzenie. Zorientowała się, że coś z nim nie tak, ułamek sekundy przed tym, kiedy osunął się na podłogę.

– Ellen! – wrzasnęła.

Obejrzała się. Ellen już chwyciła za telefon. Bec słuchała, jak podaje dyspozytorowi adres restauracji, a potem patrzyła, jak podchodzi do mężczyzny i klęka przy nim.

– Jak się pan czuje? Słyszysz mnie pan? – zapytała. Twarz grubasa robiła się sina. Ellen rzuciła jej surowe spojrzenie. – Bec! – powiedziała ostrym tonem.

– Co? Co mam robić?

– Obsługuj klientów.

Nie czekali długo na ratowników. Bec miała nadzieję, że karetka przed restauracją zniechęci ewentualnych klientów, ale nic takiego się nie stało. Ludzie przestępowali leżącego na ziemi człowieka, podchodzili do niej, składali zamówienie, odbierali burgera, po czym siadali przy stoliku, by obserwować tę scenę, jakby rozgrywała się w wiszącym na ścianie telewizorze.

Później Bec musiała zmyć kałużę uryny, którą zostawił po sobie grubas. To najgorsze, co mnie spotkało, pomyślała. Gorsze od czyszczenia frytkownicy, usuwania warstw zestalonego oleju, do którego leciały roje much. Gorsze od wszystkiego, co umiała sobie wyobrazić.

Po zamknięciu w milczeniu sprzątała z Mattym, który nawet nie usiłował jej zagadywać. W innej sytuacji zachodziłaby w głowę, czy jest na nią zły, ale w tej chwili było jej to obojętne. W tej chwili nienawidziła tego miejsca. Przypominało

jej prawdziwy dom. Wiało w nim chłodem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

2014 r.

Z kim rozmawiałaś? Nikt nie zdradził się ani słowem!

Lizzie nie odpowiada. Czekaając na jej reakcję, analizuję sytuację. I nagle jasno widzę coś, co nie dawało mi spokoju w domu Lizzie. O czym wiedziałam, że jest istotne, a co dotąd nie pasowało do całej układanki.

Rodzice ani razu nie zapytali. Inni robili to w sposób zawołowany albo wprost. Ani mama, ani tata tego nie zrobili. Odkąd rozmawiałam z nią przez telefon na komisariacie, aż do dzisiaj nie usłyszałam od nich pytania, gdzie się podziewałam. Przenika mnie chłód. Jestem owinięta ręcznikiem, na to wkładam jeszcze szlafrok. Do kieszeni wsuwam telefon.

Drzwi do garażu otwierają się ze skrzypnięciem. Staję w miejscu, w którym stałam wczoraj, a potem spoglądam przez ramię. Mama patrzyła na starannie zaklejone taśmą ochronną dwa wielkie kartony na książki.

Zrywam taśmę z pierwszego pudła. Dźwięk dartej taśmy brzmi jak wystrzał. Waham się przez chwilę, wreszcie trzęsącymi się rękami otwieram karton. Jest pełen książek. Wyjmuję jedną po drugiej, spodziewając się zobaczyć na dnie ludzkie włosy albo kości. Nic. Kurz wdziera mi się w nozdrza, kicham potężnie, strasząc samą siebie, gdy odgłos odbija się echem o ściany garażu.

Odrywam taśmę z drugiego pudła. Nie jestem w stanie zajrzeć do środka. Wiem, co tam znajdę. Nie chcę zobaczyć jej twarzy. Muszę jednak zdobyć się na odwagę. Rozchyłam klapy. Widzę książki. Wyrzucam je nerwowo, ale po chwili staje się oczywiste, że niczego więcej tu nie znajdę. Wkładam książki z powrotem do kartonu. Serce powoli wraca do normalnego rytmu.

Pomyliłam się.

Bogu dzięki, pomyliłam się.

Chce mi się śmiać, kamień spadł mi z serca. To istne szaleństwo. Nic nie ma sensu. Muszę stąd wyjść. Schodek skrzypi pod moimi bosymi stopami, kiedy robię krok w stronę drzwi pralni. Zamieram w bezruchu i spoglądam na swoje brudne palce. Są jeszcze dwa schodki.

Odsuwam na bok kartony z książkami i widzę małe drzwiczki prowadzące pod dom. Tym razem nie waham się ani sekundy. Pochyliłam się i pociągam je do siebie. Muszę zasłonić usta. Odór jest straszliwy. Zaczynam się krztusić, mimo to usiłuję przebić wzrokiem cuchnącą ciemność. Jest. Rebeca Winter. Zwinięta w kłębek jak śpiące dziecko. Brązowe kości, resztkę przyczepionych do nich mięśni, wgnieciony tył czaszki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Bec, 17 stycznia 2003 r.

Bec wysiadła z autobusu i wolnym krokiem ruszyła w górę ulicy. Nie miała się do czego śpieszyć. Wiedziała, że w domu nic miłego jej nie czeka. Pot spływał po karku, więc wytarła go wnętrzem dłoni. Poczowała pod palcami tłuszcz. Po pracy zawsze miała olej w skrzydełkach nosa, za uszami, między dolną wargą a podbródkiem. Przestała się wycierać. Pozwoliła, żeby pot wypłynął z porów skóry i zmył warstwę tłuszczu pochodzącego z ciał martwych krów. Skwar był duszący i obezwładniający. W powietrzu unosiła się gryząca w gardło woń spalenizny.

Po pracy sprawdziła telefon. Miała nadzieję, że znajdzie tam informację o nieodebranych połączeniach od Lizzie, ale się przeliczyła. Nie chciała wyprzedzać wydarzeń, wyobrazać sobie lata spędzonego bez niej, powrotu do szkoły i końca przyjaźni. Z całego serca pragnęła cofnąć ostatni tydzień życia. Żałowała słów rzuconych w gniewie, żałowała głupiego pomysłu z egzorcyzmami. Gdyby zrobiła to co zwykle i zapomniała o zjawie nawiedzającej jej pokój, w ogóle o dziwnych rzeczach dziejących się w domu, wszystko byłoby inaczej. Nikogo by nie zdenerwowała, a sama nie byłaby teraz wściekła na wszystko i wszystkich.

Po wyjściu z zakrętu zobaczyła swój dom na szczycie wzgórza. Poczowała nagłe ścisnienie w gardle. Miała wrażenie, że się udusi. Przystanąła na chwilę, odwróciła się i zaczęła powoli oddychać. Wdech nosem, wydech ustami. Powtarzała to, póki nie odblokowała gardła. W kieszeni zawibrował telefon. Serce podskoczyło jej z radości. Nareszcie! Drżącymi rękami wyjęła aparat. To nie była Lizzie. To był Luke.

Mam nadzieję, że u ciebie wszystko okay. Ciągle o tobie myślę.

Bez zastanowienia zamachnęła się i cisnęła telefon jak najdalej. Nie była w stanie opanować złości. Miała ochotę w coś uderzyć, coś zniszczyć. Pobieгла w stronę domu. Nie chciała dać się ponieść tym negatywnym uczuciom, pragnęła się z nich oczyścić. Otworzyła drzwi wejściowe najciszej, jak umiała, wbiegła po schodach na górę, po ciemku zrzuciła ubranie i wskoczyła do łóżka. Zaciśnęła mocno powieki. Miała nadzieję, że wróci do niej pustka, którą czuła rano, i zastąpi przepelniającą ją nienawiść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

2014 r.

Stoję nad kośćmi i wiem, że muszę odwrócić się na pięcie i uciekać, nie mogę jednak zebrać się w sobie, żeby zamknąć drzwiczki i zostawić Rebecę w tych cuchnących ciemnościach. Kręci mi się w głowie, mroczki latają przed oczami. Czuję jej zapach, odór ostatnich nierozłożonych tkanek. Zginam się wpół przekonana, że zaraz zwymiotuję, ale nic takiego się nie dzieje.

Drzwi garażu wibrują lekko. Słyszę jadący w górę ulicy samochód, pisk opon przy skręcie w podjazd. Przeszywa mnie myśl, że zaraz drzwi garażu się otworzą i rodzina zastanie mnie, jak niekompletnie ubrana stoję nad szkieletem ich córki. Na szczęście auto się zatrzymuje, silnik cichnie. Słyszę odgłos otwierania drzwi. Mam kilka sekund.

Drzwi do pomieszczenia gospodarczego zamykają się z lekkim kliknięciem, a ja przeciągam kartony tam gdzie stały. W tej chwili przybysze są na ścieżce przed domem. Słyszę chrzęst metalu. Przekręcają klucz w zamku. Biegnę do pralni i zamykam drzwi garażu. Sekundę później otwierają się drzwi frontowe. Boże, zobaczą, skąd wychodzę, i zorientują się, co widziałam. Stoję bez ruchu w pralni, starając się zachowywać bezgłośnie.

– Bec?

Stopy mi marzną od stania na zimnych płytkach. Suszarka pracuje cicho. Póki się nie domyślą, że to widziałam, mam trochę czasu, bylebym tylko zdołała wyjść z domu.

– Becky?

Słyszę kroki na dywanie. Mama jest tuż obok wejścia do pralni, w drodze na schody. Zobaczy mnie, jeśli minie drzwi.

– Jak poszło? – wołam, bezładnie wciskając przyciski pralki.

– Co tu robisz, skarbie? – pyta.

Wygląda inaczej. Oczy jej lśnią, skórę ma dziwnie woskową, ale uśmiecha się, wygląda na szczęśliwą.

– Nie umiem tego włączyć. Chciałam zrobić pranie.

– Zostaw to mnie, skarbie. Powinnaś leżeć, skoro boli cię głowa.

– Wiem, ale chciałam pomóc. – Staram się nadać głosowi normalny ton, chociaż kolana mi drżą, a instynkt każe uciekać. Nie mogą wychwycić w moim głosie strachu. Nie mogę się zdradzić.

– To bardzo miło z twojej strony, Bec. Gdzie twoje rzeczy?

– Zostawiłam na górze.

– Więc je przynieś.

Robię wszystko, by wolno się odwrócić i iść, zamiast biec. Mama włącza

pralkę i woda zaczyna się łąć do pustego bębna.

– Bec?

– Tak? – Zastygam w miejscu.

– Masz brudny szlafrok.

Spoglądam w dół i widzę, że brzeg szlafroka jest ciemny od klękania na ziemi w garażu.

– Pewnie pobrudziłam się, kiedy wyszłam was pożegnać – mówię słabym głosem.

Ona wie, że nie wyszłam na zewnątrz.

– Daj mi go.

– Przyniosę z resztą rzeczy. – Mój głos brzmi inaczej, wyżej i nienaturalnie, ale nic nie mogę na to poradzić.

– Daj mi go, zanim plamy się utrwalą. – Wyciąga rękę po szlafrok.

To nie prośba, więc rozbieram się i z ręcznikiem wokół tułowia czuję się obnażona. Mama bierze ode mnie szlafrok. W tej samej chwili odzywa się mój telefon, a kieszeń rozświetla się na niebiesko. Mama nie reaguje, nie oddaje mi szlafroka.

– Co ty robisz? Moja komórka! – krzyczę, ale ona wrzuca szlafrok do bębna razem z dzwoniącym telefonem. Rzucam się naprzód i wkładam ręce do wody. Dzwonek cichnie, gdy telefon zanurza się wraz ze szlafrokiem. Wyciągam go z mokrej kieszeni, ale przestaje dzwonić, ekran gaśnie.

Mama wyciąga z szafki proszek i płyn do płukania tkanin. Ignoruje mnie. Zrobiła to specjalnie, przecież nie mogła nie słyszeć dzwonka. Może nawet widziała telefon w kieszeni i dlatego uparła się, żebym oddała jej szlafrok. Wybiegam z pralni i pędzę po schodach na górę, podtrzymując skąpy ręcznik.

Zamykam za sobą drzwi, podstawiam pod nie krzesło i pośpiesznie wkładam nowe rzeczy. Drapią i śmierdzą plastikiem, ale lepsze to niż paradowanie nago. Siadam na łóżku. To się dzieje naprawdę. Zaczynam trząść się jak galareta.

Zabili ją. Jedno z nich zabiło Bec i wepchnęło do tej ciemnej dziury. Oddycham krótko i płytko. Przez cały czas wiedzieli, a przynajmniej jedno z nich. Grali na zwłokę, czekali, aż Andopolis straci zainteresowanie sprawą, czekali na wyjazd Paula i Andrew. Kulę się, obejmując rękami kolana, usiłuję zapanować nad oddechem. Pod żadnym pozorem nie mogę wpaść w panikę i jak najszybciej muszę się stąd wydostać. Problem w tym, że potrafię myśleć tylko o szkielecie pod domem, skulonym jak przestraszone dziecko. Ukryty w ciemnościach leżał tam przez cały czas.

Okno.

Wstaję z łóżka. Dziennikarze są za daleko, żeby coś usłyszeć, ale widzę stąd wyraźnie ich miniaturowe sylwetki i miniaturowe kamery. A skoro ja ich widzę, to oni powinni zobaczyć mnie. Przywieram do okna i macham do nich szaleńczo.

Jeden z mężczyzn gasi papierosa. Reszta w ogóle się nie rusza. Mogłabym otworzyć okno i zacząć krzyczeć, ale rodzice pierwsi by mnie usłyszeli. Mogłabym wyskoczyć. To tylko pierwsze piętro. Nawet gdybym coś sobie złamała, któryś z nich na pewno by zauważył, że spadam.

Nie mam innego wyjścia, próbuję otworzyć okno, ale na próżno. Wkładam w tę czynność całą siłę, lecz okno ani drgnie. Jest zablokowane. Wsuwam paznokcie pod framugę i ciągnę. Krzyczę cicho, gdy łamię się pod wpływem szarpnięcia. Opuszki palców pulsują z bólu i krwawią. Zaczynam bezgłośnie płakać. Z oknem sobie nie poradzę. Mogę wyjść stąd tylko frontowymi drzwiami, a nie chcę wracać na dół. Czuję się jak Roszpunka zamknięta w wieży bez drogi wiodącej do wyjścia. Mogłabym spróbować wybić szybę, ale szkło jest grube, więc rodzice usłyszeliby hałas, zanim zdołałabym uciec. Wtedy już by wiedzieli. Wylądowałabym obok Bec. Bliźniaczki gnijące jedna obok drugiej.

Niedoczekanie. Póki nie wiedzą, że jestem na ich tropie, może uda mi się jednak jakoś stąd uciec. Może wyjdę frontowymi drzwiami, jak robiłam to już tyle razy. Ocieram mokre od łez policzki i uspokajam oddech. Dobra ze mnie aktorka. Dam radę.

Kiedy chyłkiem wymykam się z pokoju, w domu panuje cisza. Jedynym dźwiękiem jest stłumiony szum pralki. Na wszelki wypadek niosę w rękach brudne rzeczy. Serce mi wali, gdy schodzę po schodach. Drzwi są coraz bliżej, jeszcze pięć stopni, już tylko trzy. W końcu jestem na dole, od drzwi wejściowych dzieli mnie kilka kroków.

– Bec?

Odwracam się. W salonie stoi mama i trzyma w ręku nożyce kuchenne, a tata siedzi na kanapie i bacznie mi się przygląda.

– Słucham? – mówię.

– Dokąd idziesz?

– Muszę się zobaczyć z Andopolisem – kłamię. – Zaraz ma tu być.

– Niesiesz mu swoje pranie? – odzywa się tata.

Nie wiem, co powiedzieć, więc milczę.

– Niech chociaż raz wejdzie do środka. Jeśli boli cię głowa, możesz dostać torsi. Nie powinnaś czekać w chłodzie – mówi mama, jakby wszystko było w porządku. Jakby wcale nie miała w rękach srebrnych nożyczek.

Spoglądam w stronę drzwi. Zdażę ich dopaść, zanim wbije mi je w plecy, ale tata wstaje i zagradza drogę. A potem wyjmuję mi z rąk brudne rzeczy.

– Słuchaj mamy – mówi.

– Pozwolisz podciąć sobie włosy? – pyta mama, przyglądając się moim rozdwojonym końcówkom.

– Dobrze – mówię przez ściśnięte gardło i przetykam nerwowo ślinę.

Sadza mnie w kuchni i okrywa ramiona ręcznikiem. Tata staje za nami

i obserwuje każdy ruch.

– Zawsze miałaś piękne włosy. Wierzyć się nie chce, że doprowadziłaś je do takiego stanu – mówi mama i delikatnie je rozczesuje. Włosie szczotki drapie moją skórę. – To nie potrwa długo. Vince może wejść do domu, porozmawiać ze mną i z tatą. Chciałabym wiedzieć, jak się mają sprawy.

Odwracam się, sprawdzając, czy tata jest jeszcze w pokoju. Mama szarpie mnie za głowę i znowu patrzę przed siebie.

– Bo wyjdzie krzywo – upomina.

Czuję chłód nożyczek na szyi, słyszę ich metaliczny szczeł. Wiem, że są ostre. Trzymam dłonie splecione ciasno pod ręcznikiem.

– Tak jest o wiele lepiej.

– Dzięki. – Mój głos znowu brzmi nienaturalnie, jest bardzo wysoki. Sama słyszę w nim strach, ale mama chyba go nie zauważa.

– Ładnie i elegancko jak kiedyś. – Kiedy to mówi, czuję na karku jej oddech. Z głębi domu dobiega dziwny hałas. Coś jak tłumiony szloch.

– Co to było?

– Co, skarbie?

– Ten hałas.

– Nic nie słyszałam.

– Gdzie tata?

– Pewnie poszedł się zdrzemnąć.

Znowu to słyszę.

– Wyżej – mówi mama, ujmuję mnie pod brodę i zmusza do przekręcenia głowy, żebym na nią spojrzała. Zbliża nożyczki do mojego ucha.

– Naprawdę powinnam sprawdzić, czy Andopolis już przyjechał. – Patrzę jej prosto w oczy. Jakim cudem dotąd nie zauważyłam, że są dziwne? Szkliste, nieobecne, chorobliwie błyszczące.

– Prawie gotowe – oznajmia.

Rozlega się donośny huk, a ja podskakuję na krześle.

– Ostrożnie, skarbie, bo cię skaleczę – napomina mnie mama.

– Co to było?

Nie odpowiada. Słysząc tylko szczeł nożyczek, a ja czuję napływające łzy, nie mogę ich powstrzymać. Ten hałas brzmiał jak wystrzał. Muszę wyjść, ale ona jednym ruchem może podciąć mi gardło.

– Mamo, proszę!

– Jeszcze chwila, Becky.

Płaczę bezgłośnie, nasłuchując kolejnych odgłosów, ale w domu panuje cisza. Mama ściąga ze mnie ręcznik.

– Obejrzyj się w lustrze – mówi. – Spodoba ci się.

Okręcam się gwałtownie na pięcie i dopadam drzwi. Mama nie reaguje, więc

mogę wyjść. Chwytam gałkę, ale nie mogę jej przekręcić. Drzwi nie są zamknięte na klucz, ale nie da się ich otworzyć. Rzucam się całym ciałem, rozpaczliwie próbując je wyważyć.

– Ostrożnie, Bec. Zniszczysz drzwi – mówi spokojnie mama, przechodząc obok mnie z szufelką i zmiotką.

Coś blokuje drzwi z zewnątrz. Znowu rzucam się na nie, ale ani drgną. Słyszę chrupnięcie w stawie barkowym.

Kątem oka widzę twarz Bec. Jej usta wykrzywione z bólu, przerażone oczy. Odwracam się. To lustro w korytarzu. Widzę w nim własne odbicie. Mam włosy obcięte na pazia tak samo jak Bec. Widzę to, co ona widziała przed śmiercią. W końcu wiem, co ją spotkało. Teraz dzielę z nią ten sam los.

I wtedy czuję dym.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Bec, 18 stycznia 2003 r.

Bec chciała dobrze zacząć dzień. Celebrowała przygotowanie muesli, pokroiła jabłko na plasterki. Powinna to robić codziennie, ale nigdy nie zawracała sobie tym głowy. Mama zawsze jej powtarzała, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia. Jadła wolno, dokładnie przeżuując każdy kęs. Poza tym nigdzie się nie śpieszyła. Nie była umówiona z przyjaciółmi. Po śniadaniu postanowiła zmyć naczynia. Chciała odłożyć w czasie decyzję, jak spędzić dzień. Starannie umyła miseczkę i kubek po kawie, wytarła je i odstawiła na miejsce, jak zwykła to robić mama.

Zdumiewające, ile dobrego potrafi zdziałać zdrowy sen. Wczoraj wieczorem nękało ją przeczucie nadchodzącego nieszczęścia, ale dzisiaj te obawy wydawały się głupie, a w każdym razie mocno przesadzone. Pamiętała, że kiedyś czuła to samo i nic złego się nie stało.

Tego ranka miała głębokie przeświadczenie, że wszystko się ułoży. Ponure przeczucia rozwiały się jak dym. Już nie czuła się bezsilna. Dzisiaj miała zamiar wszystko odmienić. Zadzwoić do Ellen i zakomunikować, że nie chce więcej pracować do zamknięcia. Napisać do Lizzie, że może mieć tyle przestrzeni, ile potrzebuje, a ona bardzo przeprasza za swoje zachowanie. Wiedziała, że tym nie naprawi wszystkiego, ale ułożenie planu poprawiło jej samopoczucie. Nabrała pewności, że wszystko wróci na swoje miejsce... o ile znajdzie telefon. Jak bardzo musiała być wczoraj wściekła, skoro nim rzuciła. Omal się nie roześmiała, wyobrażając sobie tę scenę. Poczowała też lekką dumę na myśl, jak groźnie musiała wyglądać.

Wzięła prysznic i włożyła świeżą bawełnianą sukienkę. Nie miała zamiaru cały dzień snuć się z kąta w kąt. Chciała gdzieś wyjść. Może skontaktować się z kimś ze szkoły, kogo dawno nie widziała. Niedobrze mieć tylko jedną najlepszą przyjaciółkę. W szkole wielu ludzi chciało się z nią widywać, ale dotąd tak bardzo była zadowolona ze swojego życia, że zerwała z nimi kontakty. Dzisiaj miało być inaczej. Spędziła mnóstwo czasu przed lustrem. Pieczołowicie rozprostowała i ułożyła włosy, próbowała zrobić najlepszy makijaż z najlepszych. Świadomość ładnego wyglądu sprawiała, że wszystko wydawało się łatwiejsze.

Wstała, odwróciła się, policzyła do trzech, a potem okręciła się na pięcie i otaksowała spojrzeniem. Przez ułamek sekundy, zanim oczy rozpoznały w odbiciu w lustrze jej własną twarz, zobaczyła ładną beztroską młodą kobietę. Dobrze. A teraz musiała ruszyć na poszukiwania telefonu w ogródkach sąsiadów.

Coś mignęło w jej drzwiach. Coś, co nie należało do tego obrazka. Paul z nożem kuchennym w ręce. Nie odwrócił głowy, nie zajrzał do jej pokoju, tylko

lekkim krokiem zszedł po schodach, potem Bec usłyszała dźwięk otwierania i zamykania drzwi garażu.

Zaczęła powoli chować kosmetyki. Tusz do rzęs, róż, podkład – wszystko wylądowało z powrotem w kasetce. Kiedy znów spojrzała w lustro, zobaczyła biały okrąg, w którym nie rozpoznała siebie. Wbiła paznokcie w skórę dłoni. Musiała odsunąć od siebie te uporczywe myśli. Na skórze zostały półokrągłe ślady po paznokciach.

Wyszła z sypialni i stanęła u szczytu schodów. Zrobiła pierwszy krok. Pokonała pierwszy stopień, potem drugi.

Z każdym kolejnym stopniem malała blokada psychiczna, która odcinała ją od myślenia o tym sekrecie.

Próbowała odsunąć od siebie te myśli, ale było już za późno. Blokada zniknęła i wszystko, o czym nie chciała pamiętać, wróciło ze zwielokrotnioną siłą.

Powtarzali, że tylko oni są prawdziwi. Pamiętała, jak stoi w ich sypialni bokiem do drzwi. Pamiętała zapach ich dziecięcej skóry zaraz po kąpieli. Opuszczone rolety odcinające ostatnie promienie długiego letniego dnia.

– Chcecie powiedzieć, że mnie nienawidzicie?

– Tak.

Pamięć podsunęła jej kolekcję martwych chrabąszczy, którą znalazła w ich szafie; beznamiętny wzrok, jakim czasem na nią patrzyli i który nauczyła się bagatelizować; ptasie pióra, które czasem znajdowała w ogrodzie; i od czasu do czasu ciała martwych zmaltretowanych ptaków. Miała nadzieję, że to dzieło kota. Jeszcze wtedy mogła to ignorować. To było wcześniej, w tamtych czasach, zanim się dowiedziała.

Tamten dzień. Lato zeszłego roku. Pilnowała braci. Nie chciała tego analizować, ale uparcie do niej wracało. Kiedy była szczęśliwa, bliźniacy powtarzali, że jest brzydka; kiedy była zła albo ponura, rzucali jej się na szyję i stawali na głowie, żeby ją rozśmieszyć. Gdyby wtedy zjawiała się tu Lizzie, wszystko byłoby inaczej. Gdyby wtedy pracowała w McDonalddie, to mogłoby się w ogóle nie wydarzyć. Mama płaciła jej dziesięć dolarów za dzień. Zgadząc się na opiekę, nie miała pojęcia, co ją czeka. Wypadła z domu jak burza. Usiadła na schodach pobliskiego sklepiku i powoli pochłaniała długie kolorowe żelki, obserwując wchodzące i wychodzące rodziny.

Idąc w górę ulicy, usłyszała kosiarkę. Potraktowała to jak skrzeczenie srok czy brzęczenie cykad – jeden z odgłosów lata, na które nie zwraca się uwagi. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że odgłos dochodzi z jej ogrodu. Ruszyła pędem w stronę domu. Nie wiedziała, czego się spodziewać, wiedziała jednak, że będzie to coś złego. Dzieci nie koszą trawników.

Próbowała zatrzymać pamięć w tym miejscu. Zmusić się do myślenia o czymś innym, na przykład o swoim wyglądzie. Czy sukienka dobrze leży, czy nie

jest za krótka. Jednak nie umiała oderwać myśli od tamtego dnia. Nie umiała skupić się na teraźniejszości. Widziała siebie z tamtego dnia, jak biegnie wzdłuż ściany domu. Jak stoi na jego tyłach, z trudem łapiąc oddech.

Chwilę trwało, zanim zorientowała się w sytuacji. Kosiarka pracowała, a bliźniacy chichotali obłąkańczo. Ponieważ byli odwróceny plecami do niej, powód ich wesołości pozostawał dla niej nieznany. Wtedy poprzez warkot silnika doleciało do niej rozpaczliwe miauczenie kota.

Molly była zakopana w ziemi po szyję. Miała szeroko otwarte oczy, uszy położone po sobie. Szarpała się i miotała, próbując się uwolnić. Było jednak za późno. Bec ledwie zdążyła odwrócić głowę, zanim kosiarka przejechała po Molly. Silnik zaterkotał i zakrzuszył się, po czym wrócił do normalnego rytmu. Bliźniacy odwrócili się, gdy Bec zaczęła krzyczeć. Wokół było mnóstwo krwi. Pobiegła do Lizzie, zapominając, że nie ma jej w domu.

Tata Lizzie i jej brat uśmiechali się do niej jak gdyby nigdy nic.

Jej mózg nie radził sobie z tym obrazem. Nie był w stanie go przetworzyć. Szybko uznała, że najlepiej w ogóle o tym nie myśleć. Po tym zdarzeniu Paul i Andrew byli dla niej wyjątkowo dobrzy i mili, a ona nie potrafiła przestać ich kochać. Ta ohyda, której była świadkiem, nie przynależała do jej życia.

Drzwi pralni otworzyły się bezgłośnie. W środku paliło się światło, ale było pusto. Weszła za próg. Ledwie przemknęło jej przez myśl, że chłopcy mogą czaić się tutaj, gdy drzwi zamknęły się z trzaskiem. Okręciła się na pięcie. W tej samej chwili zobaczyła Paula. Wyskoczył z szafy za jej plecami z cegłą w ręce wzniesionej nad głowę. Odruchowo zasłoniła się ramieniem – i ostry ból biegnący do samych czubków palców na chwilę zamglił jej wzrok.

– Nie trafiłeś jej!

Upadła na podłogę.

– Bo ty trzasnąłeś drzwiami.

– Powinieneś mi pozwolić. Ostatnim razem mi się udało.

– Tak, ale teraz była moja kolej. Tak jest lepiej.

Obraz przed oczami Bec rozmywał się i tańczył. Zbierało jej się na wymioty.

Poczuła szarpnięcie w nadgarstku. Andrew krępował jej ręce starą skakanką. Zobaczyła na niej czerwone plamki.

Wspomnienie maltańczyka, nad którym pastwili się w piwnicy przed kilkoma dniami, wróciło do niej z siłą, która niemal pozbawiła ją tchu. Obrazy były zamazane, nakładały się na siebie i rozmazywały. Mimo to pamiętała krew tryskającą z otwartej klatki piersiowej. Pamiętała Paula ciągnącego po ziemi półżywe stworzenie uwiązane do skakanki. Dźwięki, które wydawał nieszczęsny maltańczyk, przypominały ludzki krzyk.

Dźwignęła się z ziemi i odepchnęła od siebie Andrew. Przyptyw adrenaliny sprawił, że nie czuła już bólu ramienia.

- To wy chodziliście za mną, tak?
- Patrzyły na nią dwie pary identycznych niebieskich oczu.
- Chcieliśmy wiedzieć, gdzie chodzisz.
- To wy uderzyliście mnie wtedy w głowę?
- Zapomniałaś zabrać nas na basen.

Widziała ich rowery rzucone na podjeździe, gdy wysiadła z auta i szła do domu. Zauważyła nawet, że jedno z kół nadal powoli się kręci. Może już wtedy wiedziała.

- Dlatego mi to robicie? Bo nie zabrałam was do Big Splash?

Ciągle miała w pamięci widok kleju marki Super Glue i żyłek ukrytych w plecaku Paula. Wyobraziła sobie mokre nogi sunące w pełnym pędzie w dół zjeżdżalni ku ostrzom. Tego nie mogła zignorować.

- Mamy cię dość. Myślimy, że na nas naskarzysz...
- I nigdy nie próbowaliśmy tego na człowieku.

Wtedy zobaczyła błysk. Paul miał w kieszeni nóż.

- Jesteście popierdoleni! Obaj jesteście popierdoleni!

Otworzyli usta ze zdumienia, a potem zachichotali w sposób, który zawsze tak uwielbiała.

- Jesteś niegrzeczna, Becky. Nie powinnaś używać takiego słowa.

Coś w niej pękło. Pchnęła Paula z całej siły. Wrzasnął, gdy upadł bokiem na ziemię. Wyszarpnęła mu z kieszeni nóż i uniosła nad głowę. Andrew złapał ją od tyłu za ramiona i usiłował wspiąć się na nią. Gwałtownie strząsnęła go z siebie, aż zatoczył w powietrzu łuk. Nie przypuszczała, że jest taki lekki. Na chwilę zapadła cisza. Potem Andrew pociągnął nosem, a jego oczy wezbrały łzami.

- Uderzyłaś mnie, Becky.

Była otumaniona. Chciała skoczyć ku niemu, upewnić się, że nic mu nie jest. Paul spojrzał na Andrew. Zobaczyła w ich oczach nieme porozumienie.

– My też przepraszamy – powiedział. W jego oczach też zalśniły łzy. – Wygłupialiśmy się tylko. Kochamy cię.

Wstali z ziemi, podeszli do niej i objęli ją delikatnie. Nadal trzymała nóż nad głową.

– Chcemy, żebyś spędzała z nami więcej czasu, dobrze? – Paul podniósł wzrok i zajrzał jej w twarz.

- Dobrze – wychrypiała.

Kiedy później weszła do kuchni, niebo poczerwieniało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

2014 r.

W domu panuje cisza. Z sypialni rodziców nie dobiega żaden szmer. Mama krząta się w kuchni. Gryząca woń dymu wisi w powietrzu, chociaż nie potrafię zlokalizować jego źródła. Na początku była słaba, przypominała zapach spalonego obiadu. Od oparów pieką mnie oczy.

Jestem Bec. Przeżywam ostatnie godziny jej życia.

Siadam na kanapie i czekam. Czekam na tę samą śmierć, która stała się jej udziałem. Dochodzę do wniosku, że to ma sens. Żyłam jej życiem, umrę jej śmiercią. Nie ma odwrotu. Wygładzam dłońmi sukienkę. Czekam na rozwój wydarzeń. Zastanawiam się, o czym Bec myślała przed śmiercią. O braciach? O karierze, której nigdy nie zrobi? O mężu, którego nigdy nie pozna? Była zła na rodziców za zdradę? Czy w ostatniej chwili życia nadal ich kochała? Czy pogodziła się ze swoim losem?

Odruchowo wygładzam boki sukienki. Moja mama tak samo gładziła mnie po plecach, kiedy płakałam. Myślałam, że nie mam żadnych związanych z nią wspomnień, ale to jedno wraca wyraźne i żywe. Gładzę się po kolanach. Wystają spod szarej bawełny zimne i pokryte gęsią skórą. Nie miałam czasu włożyć rajstop. Na jednym mam cienką białą bliznę. Dotykam jej opuszką palca i nagle zaczynam histerycznie chichotać. Kiedy miałam osiem lat, próbowałam wykonać rowerową ewolucję na torze dla deskorolkarzy. Mama właśnie umarła, a ja czułam nieodpartą ochotę udowodnienia, jaka to jestem dzielna. Ciągle pamiętam chwilę przed upadkiem – śmiech nastolatków, świat widziany do góry nogami i strach. A potem zapach rozgrzanego betonu i stali.

Wraz z tym wspomnieniem odzyskuję jasność myśli.

Nie jestem Bec. Przed tym życiem miałam inne życie – swoje, swoją tożsamość, i chcę je odzyskać.

Muszę wezwać pomoc, choć to ryzykowne. Jeśli mnie usłyszą, będzie po mnie, ale powinnam chociaż spróbować zawalczyć o przetrwanie. Biorę głęboki oddech i po cichu wchodzę do kuchni. Mama stoi przy zlewku. Wyjęła z szafek wszystkie naczynia stołowe i myje je ręcznie sztuka po sztuce.

Poruszam się bezszelestnie i zdejmuję słuchawkę z widełek. Telefon wydaje z siebie ciche bipnięcie. Krzywię się.

– Podoba ci się? – pyta mama.

– Co?

– Fryzura.

– O tak. Bardzo.

– To dobrze. Cieszę się. Twoim braciom ta spodoba się bardziej niż

poprzednia.

- Bliźniacy wyjechali, nie pamiętasz?
- Ucieszą się, że zrobiłam porządek z twoimi włosami.
- Chyba tak.

Cały czas stoi odwrócona do mnie plecami, zajęta metodycznym myciem porcelanowej zastawy.

- Dobrze, że dzwonisz do Vince’a, skarbie. Dowiedz się, co go zatrzymało.

Czy to była groźba? Czyżby próbowała mnie zastraszyć i dać do zrozumienia, że odkryła mój blef? Wycofuję się z kuchni. Mama nadal nie odwraca głowy, nie przyspiesza ruchów ani nie spowalnia.

Wybieram numer alarmowy policji i przyciskam aparat do ucha, gotowa szeptać. W słuchawce nie ma sygnału, czyli drugi telefon musi być odłożony. Ten w pokoju rodziców. Podejmuję decyzję. Odsuwam od siebie obraz ojca czekającego na mnie w środku.

Drzwi pokoju są lekko uchylone, ale nie pozwalają zajrzeć głębiej. Wyciągam rękę, żeby je pchnąć, i zastygam w bezruchu. Za bardzo się boję. Serce mi wali, cała drzę. Pod opuszkami palców czuję chłód gałki. Muszę to zrobić.

Moim oczom ukazuje się makabryczny widok. Chcę krzyknąć, ale otwieram tylko usta. Mam ściśnięte gardło, nie mogę wydobyć z siebie głosu. Biała pościel jest czerwona, jest skąpana w krzepnącej krwi. Tata leży w czerwonej kałuży. Poznaje go tylko po ubraniu. Siedzi wsparty o wezglowie łóżka, w obu dłoniach trzyma obrzyna. Jego twarz i mózg zabryzgały białą ścianę za łóżkiem. Obok niego leży pusta butelka whisky, a na poduszce widać pośpiesznie nabazgrane słowa:

Nie mogłem dłużej udawać. Przepraszam.

Na podłodze leży telefon strącony z widełek. Obok swojej stopy widzę zakrwawiony kawałek czaszki. Mama będzie zdruzgotana. Na pewno zostanie po nim plama na kremowym dywanie.

Robi mi się ciemno przed oczami, ogarnia mnie chłód. Odwracam się i opieram o ścianę, nogi odmawiają posłuszeństwa. Osuwam się na podłogę, nie bronię się przed tym, a gdy uderzam głową o drewnianą podłogę, rozlega się głuchy dźwięk. Nie czuję bólu. Widzę przed sobą swoją macochę. Taką, jak wyglądała wieczorem, kiedy odeszłam. Z twarzą ściągniętą gniewem, z kroplami potu na skroniach, tak bardzo rozwrzeszczaną, że aż pluć śliną.

Chciała wysłać mnie za kratki. Była uradowana, że nie będę należeć do jej nowej rodziny. Nie miałam zamiaru jej popchnąć, ale nagle znalazła się na podłodze. Drzwi zmywarki były otwarte. Leciła bokiem, zahaczając o ich krawędź sterczącym brzuchem. Upadła na plecy z głuchym łoskotem. W kroku jej ciążowych beżowych spodni pojawiła się czerwona plama.

Skupiam się na oddychaniu. Wdech, wydech, wdech, wydech. Byle oddychać, a wszystko będzie dobrze. Powoli wraca mi ostrość widzenia.

W miejscu, w którym moja głowa styka się z podłogą, czuję chłód. I jeszcze coś. Wybielacz o zapachu cytrynowym i dym. Coraz wyraźniejszą woń dymu.

Podnoszę się z podłogi, odsuwam od siebie obraz macochy. Skupiam się na oddychaniu: wdech, wydech. Dym wydobywa się z pralni. Przywieram ciałem do ściany i chwiejnym krokiem ruszam w kierunku, z którego dobiega odgłos włączonej pralki. W pierwszej chwili nic nie widzę, ale po chwili zauważam smużki dymu sączącego się do środka przez szparę w drzwiach prowadzących do garażu.

Słyszę głos mamy. Mówi coś, milknie, potem znowu się odzywa, zupełnie jakby z kimś rozmawiała, ale nie słyszę innego głosu. Zagryzam wargi najmocniej, jak potrafię. Ból mnie otrzeźwia. Wracając do taty, spoglądam pod nogi. W pokoju nie patrzę na jego twarz. Nie pozwalam sobie na słabość. Wyjmuję mu broń z rąk. Czuję na dłoniach jego krew. Wstrząsa mną niekontrolowany szloch. Zbieram się w sobie i patrzę na obrzyna. Nigdy wcześniej nie trzymałam broni, nawet nie dotykałam. Upiłowana lufa ma nierówne brzegi. Tata musiał to zrobić sam. Przez ułamek sekundy widzę oczami wyobraźni, jak w szarym garniturze, który wkładał do pracy, piłuje lufę.

Idę do kuchni, nasłuchując po drodze. Oddycham bezgłośnie.

– Dobrze, skarbie. Nie martw się.

Pauza.

– Tak, ja tu zostanę.

Znowu pauza. Moje ucho wychwytuje jakiś ledwie słyszalny dźwięk.

– Tak, oczywiście.

Podchodzę bliżej. Słyszę coś jeszcze, stłumiony męski szept.

Gdy podłoga skrzypi pod moimi nogami, głosy milkną. Jeszcze jeden krok i jestem w kuchni. Mama stoi tam sama, trzyma rękę w zlewie.

– Mamo?

Odwraca się i uśmiecha. Nawet nie patrzy na broń, którą trzymam pod pachą.

– Tak, skarbie?

– Kto tu był?

– Kiedy?

– Przed chwilą. Słyszałam jakiś głos. Ktoś tu jest.

– Nie bądź głupia, skarbie. Oni zawsze tu są.

– Kto?

– Twoi bracia.

Coś twardego trafia mnie w głowę. Oślepiąca bólem padam na ziemię.

– Ej, to była moja kolej!

– Chciałem się poprawić po tamtym razie.

– Dziesięć lat ci to zajęło.

Głosy braci mieszają się, nie umiem ich odróżnić, brzmią jednakowo. Zupełnie jakby jedna osoba mówiła do siebie. Próbuję otworzyć oczy, ale są już otwarte. Widzę tylko niewyraźne kształty poruszające się w białej mgłę.

– Zamknij się!

– Ty się zamknij!

– Nie kłóćcie się, chłopcy – mama upomina ich cichym głosem.

– Gdzie tata?

– Śpi.

– Znowu się urząnął, tak?

Słyszę szuranie stóp. Pali mnie w gardle, ale nie mogę kaszlnąć. Czuję, jak ktoś kopniakiem wytrąca mi broń spod pachy.

– Becky, Becky, skąd to wytrzasnąłaś?

– Nie mamy ci tego za złe, Becky. Jesteśmy pod wrażeniem. Mała Becky odchodzi jako dziewczynka i wraca jako G. I. Jane, militarna superbohaterka.

Wybuchają śmiechem. Potem jeden z nich przysuwa się do mnie. Czuję ciepło jego ciała.

– Och, do dzisiaj tęsknię za Molly... – To chyba Andrew parodiuje dziewczęcy głos. Jest bardzo blisko mnie. – Musiałaś nam grozić, Bec?

– Wygadałaś coś Vince'owi?

– Jeśli tak, to cię zabijemy!

– Przecież i tak ją zabijemy, nie?

– Zamknij się! Ona nie musi tego wiedzieć.

Któryś z nich opiera stopę na mojej brodzie i naciska.

– Co mu powiedziałaś?

Nie mogę mówić. Chcę, ale nie mogę.

– Gadaj!

Teraz jeden z nich wymierza mi kopniaka w bok.

– Chłopcy, zostawcie ją! Proszę... – mówi mama.

Cisza.

– Co ci mówiliśmy, mamó?

Cisza.

– Jakie są reguły gry?

– Trzymamy język za zębami – odpowiada mama.

– Właśnie. – Słyszę chichot.

– Co powiesz, jeśli ktoś zapyta?

– Chłopcy nie mieli z tym nic wspólnego. – Jej głos jest teraz niższy, pełen bólu, gdy recytuje: – Odprawili się na lotnisku i czekali na swoje loty. To musiała być moja córka. Jest niezrównoważona.

– Grzeczna mamusia.

– Wyjdźmy stąd. – Jeden z nich zaczyna kasłać.

– Ty zostajesz – z ironicznym uśmieszkiem zwraca się do mnie drugi.
Słyszę, jak otwierają i zamykają tylne drzwi, a potem przeskakują przez
ogrodzenie. Zapada cisza. Martwa cisza. Biała mgła gęstnieje przed moimi oczami.
Kiedy zastępuje ją ciemność, nie walczę z nią. Osuwam się w nicość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

2014 r.

Sypie śnieg. Jestem z tatą. Siedzimy na wyciągu krzeselkowym w białym tumanie. Boję się. Tata łagodnie obejmuje mnie ramieniem. Wtulam się w jego kurtkę. Skoro jestem z nim, nic mi nie grozi. Wkrótce będziemy w naszej chacie popijać gorącą czekoladę. Oczy i nos mnie pieką, ale nie z zimna. Pieką z gorąca. Spowijają mnie tumany bieli, a w nich przesuwają się jakieś cień. Coś zimnego dotyka mojej twarzy. Krzeselko rusza. Sunę przez biel.

Gryzący dym wypełnia mi gardło i nos. Kaszlę, usiłując oczyścić drogi oddechowe. Kaszel przechodzi w odruch wymiotny.

– Ani mi się waży rzygać.

Rozglądam się dokoła. Leżę na tylnym siedzeniu jadącego auta. Próbuję zobaczyć kierowcę, ale głowa tak mi pęka, że nie mam siły jej unieść.

– Dobrze się czujesz?

Rozpoznaję po głosie, że to Lizzie.

– Nie. Co się stało? – chrypię, co przyprawia mnie o kolejny bolesny atak kaszlu.

Lizzie czeka, aż atak minie, i dopiero potem odpowiada:

– Po twoim esemesie zorientowałam się, że coś jest nie tak. Dzwoniłam, ale twój telefon był głuchy. Przyjechaliśmy więc z Jackiem, ale utknęliśmy przed wjazdem. Gliniarz nie chciał nas przepuścić. Jack wysiadł i zaczął na niego wrzeszczeć, że nie jest jego szefem. Odwracał ich uwagę, udając głupka. Byłoby nawet zabawnie, gdybym tak bardzo się nie bała. – Lizzie śmieje się głucho. – Kiedy gliniarz zastanawiał się, co z nim zrobić, ja staranowałam tę cholerną barierę. Z domu wydobywał się dym. Idiota był tak pochłonięty pilnowaniem blokady, że tego nie zauważył.

– Co z mamą? – szepczę.

– Próbowałam... – Lizzie urywa gwałtownie, dopiero po chwili mówi dalej: – To była najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Nie ruszyła się. Stała tam i myślała naczynia w kuchni pełnej dymu. Dziennikarze i Jack weszli do środka, kiedy cię stamtąd wyciągnęłam. Na pewno ją wyprowadzili.

– A Jack?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Nie chcę. Chcę ją zapytać, gdzie jedziemy, ale z bólu nie mogę mówić. Leżę więc bez ruchu wpatrzona w sufit auta. Po jakimś czasie Lizzie wjeżdża na parking, wyłącza silnik i odwraca się do mnie.

– Stoimy przed szpitalem w Goulburn. To na tyle daleko od Canberry, że nie powinni cię tu rozpoznać. Chcę, żebyś podała im swoje prawdziwe nazwisko,

a kiedy wrócisz tam, skąd przyjechałaś, żebyś zgłosiła się na policję i opowiedziała im o wszystkim, co dzisiaj zaszło. Umowa stoi?

Kiwam potakująco głową.

– Dobrze. A teraz wysiadaj – nakazuje Lizzie. – Nie będę cię znowu niosła. Ważysz więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Podnoszę się z siedzenia w ślimaczym tempie. Każdy ruch sprawia mi ból. Otwieram drzwi. Przez chwilę zastanawiam się, czy powinnam jej powiedzieć, że znalazłam ciało Bec. Nasze spojrzenia się spotykają. Za jej opanowaną, rzeczową i zdecydowaną postawą-maską widzę starannie skrywany ból.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Bec, 18 stycznia 2003 r.

Świat nie miał sensu. Niebo poczerwieniało, a w kuchni robiło się coraz ciemniej, chociaż ledwie co minęło południe. Rodzeni bracia usiłowali ją zabić.

Usiadła przy kuchennym stole i położyła nóż przed sobą. Powinna włożyć go z powrotem do szuflady, ale nie chciała stracić zabójczego narzędzia z oczu. Wyobrażała sobie, jak podczas snu ostrze zagłębia się w jej ciało po sam trzonek, jak zimna stal przecina jej skórę i mięśnie, i jaki ból musi temu towarzyszyć.

Po cichu weszła po schodach na piętro. Szepty w pokoju chłopców ustały raptownie, gdy znalazła się na ostatnim schodku.

W głębi szafy trzymała wielką sportową torbę, ukradzioną w zeszłym roku w domu towarowym Myer. Wtedy jeszcze ekscytowały ją kradzieże sklepowe. Wiedziała, że nigdy nie będzie jej używać, ale chciała przekonać się, czy ujdzie jej na sucho wyjście ze sklepu z czymś tak rzucającym się w oczy. Okazało się, że tak.

Zawahała się. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek pokazała ją mamie. Była prawie pewna, że nie, co oznaczało, że mama nie zauważy zniknięcia torby.

W połowie pakowania zaczęła odczuwać dotkliwy ból w ramieniu. Tam, gdzie trafiła ją cegła, miała obtartą skórę. Myślała, że na tym się skończy, ale tępe pulsowanie narastało z każdą chwilą. Niepewnie nacisnęła ramię palcami. Przeszywający ból przyprawił ją o łzy. Zamrugała, starała się opanować. Nie mogła teraz płakać.

Wybrała ubrania, których zniknięcia mama nie zauważy. Grubą kurtkę, której nigdy nie miała na sobie, ponieważ zawsze wydawała jej się zbyt praktyczna. Dżinsy z ubiegłego roku. Kilka starych T-shirtów. Po chwili wahania podniosła z podłogi służbowy strój i włożyła go do torby, po czym posłała łóżko.

Kosmetyki do makijażu musiała zostawić, bo inaczej wzbudziłyby podejrzenia. Zdjęcia też musiały zostać. Wzięła tylko jedno, przymus był zbyt wielki. Przedstawiało ją i Lizzie.

Uśmiechnięte przytulały się do siebie policzkami.

Przestraszyła się własnego odbicia w lustrze. Rozmazany makijaż wokół oczu, zakrwawione kolana, brud na twarzy, zadrapania na ramieniu, które pozostawiły paznokcie Andrew. Chusteczkami do demakijażu oczyściła się, na ile mogła. Za bardzo bała się iść pod prysznic. Otworzyła klapkę na plecach szmacyanej Cabbage Patch, wyciągnęła banknoty i wpakowała je do kieszonki w torbie. Jakaś jej częśćka chyba zawsze wiedziała, że to kiedyś nastąpi. Przygotowywała się na to od dawna.

Nie waliło jej serce, gdy wyszła z domu i zmierzała w dół ulicy. Nie obejrzała się za siebie ani razu. Niebo stało się ciemnoczerwone. Od gryzącego powietrza łzawiły jej oczy. Czerwona mgła przykryła słońce, którego tarcza stała się purpurowa.

Pomyślała o Lizzie i poczuła bolesny skurcz.

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl. Musiała to zrobić. Wiedziała, że będzie kochać braci bez względu na wszystko, ale gdyby została, w końcu by ją dopadli. Może we śnie, a może by poczekał, aż będą od niej silniejsi. Mogła powiedzieć o tym rodzicom, jednak w głębi serca wiedziała, że nic na to nie poradzą. Po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że chyba już o tym wie. Usuwając się, usuwała problem. Nie musieli już wybierać między nią a chłopcami. Tak było lepiej.

Kiedy zmierzała w stronę miasta, zapadała coraz gęstsza ciemność. Uliczne światła migały na pomarańczowo, rozgrzane powietrze parzyło spoconą skórę Rebeki. Zastanawiała się, czy dotrze na dworzec autobusowy, czy wpuszczą ją do autobusu do Sydney. Może Matty miał rację, kiedy mówił o dniu zapłaty. Z nieba zaczął spadać czarny popiół. Szła dalej. Parła przed siebie na oślep, wiedząc, że nigdy więcej nie wróci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

2015

Rzuciłam palenie.

Minął już rok, ale nawet teraz, gdy wchodzę w chmurę dymu ciągnącą się za jakimś palaczem, zaczynam się krztusić.

W szpitalu zabronili mi mówić i włożyli na twarz maskę tlenową, zdołałam tylko podać swoje nazwisko. Prawdziwe nazwisko. Potem wsadzili mi do gardła rurkę i oczyścili płuca z czarnej mazi.

Lekarz stwierdził, że miałam szczęście. Kilka minut dłużej w tamtym domu i udusiłabym się dymem. Wzdrygam się, chociaż dzień jest upalny. Staram się nie wracać wspomnieniami do tego domu, chociaż to trudne.

Jest ósma rano, godzina szczytu. Sunę w tłumie na dworzec kolejowy. Tam zejść na peron, z którego odjeżdżają pociągi dalekobieżne. Czeka mnie długa podróż, ale to nie ma znaczenia. Jest ktoś, z kim muszę się zobaczyć.

Nienawidzę dworca kolejowego w Perth. Albo jest pełen ludzi w służbowych garniturach, albo pusty, nie licząc siedzących po kątach lumpów patrzących spode łba. Nigdy nie ma stanów pośrednich. Poza tym zawsze czuć tu moczem. Najgorzej jest latem, kiedy rozgrzany beton wydziela odór wżartej w podłoże uryny. Stając w kolejce po bilet, zasłaniam nos. Mam nadzieję, że ta woń nie przylgnie do mnie. Włożyłam najlepsze ciuchy, postarałam się nawet ułożyć włosy. Chociaż okoliczności nie są najszcześniejsze, i tak jestem podekscytowana. Rozglądam się i uśmiecham do ludzi, czego nigdy przedtem nie robiłam. Mój wzrok zatrzymuje się na kiosku z gazetami. Ekscytacja natychmiast mija, bo nagłówek dzisiejszego wydania gazety brzmi:

BLIŹNIACY WINTER – NIEWINNI

Czułam, że tak będzie, ale to nie ma znaczenia. I tak boli. W szpitalu, leżąc w milczeniu całymi dniami, postanowiłam, że posprzątam bałagan, jakiego narobiłam. Wiele myślałam o Bec. Opłakiwałam ją i przysięgłam na jej pamięć, że nie dopuszczę, by jej śmierć uszła bliźniakom na sucho.

Kiedy lekarze w końcu pozwolili mi mówić, zesłam do holu, gdzie wisiał automat telefoniczny. Miałam w ręce garść drobnych. Zaczęłam od najtrudniejszej rozmowy – z moją macochą. Powiedziałam jej, jak mi przykro. Bez słowa oddała słuchawkę tacie. W którymś momencie zaczął się jednak o mnie martwić. Kiedy powiedziałam, że mam zamiar przyznać się do oszustw z użyciem kart kredytowych, kupił mi bilet na samolot do Perth. Nie prosiłam, żeby pozwolił mi znowu z nimi zamieszkać. Wiedziała, że nigdy nie będzie jak dawniej. Nie po tym, co zrobiłam. Powiedział, że opłaci mi dobrego adwokata. Z perspektywy czasu wiem, że to nie ojcowska miłość nim kierowała. Nie chciał po prostu

wstydić się przed światem, że jedyna córka siedzi w więzieniu.

Mnie było wszystko jedno. Ostatecznie skazali mnie na prace społeczne. Musiałam przeprosić wszystkich, których okradłam. Odsiedziałabym karę, gdyby tak zdecydował sąd. Zapłaciłabym każdą cenę, byle tylko znowu słyszeć, jak ludzie zwracają się do mnie moim prawdziwym imieniem.

Po tej rozmowie przyszedł czas na drugą, której nie można było dłużej odkładać. Wzięłam głęboki oddech, wrzuciłam monety, powoli wybrałam numer i słuchałam sygnału.

– Andopolis, słucham?

– Dzień dobry.

– Bec! Gdzie jesteś?

– Ona leży pod domem.

Opowiedziałam mu o wszystkim. Nie pominęłam ani jednego szczegółu tamtego strasznego dnia. Rozłączyłam się, zanim zdążył powiedzieć choćby słowo. Gardło mnie rozboleło od mówienia. Nadszedł czas, żebym wróciła do domu i znowu była sobą. Jedynym śladem po Bec w moim życiu była głęboka blizna na przedramieniu.

Ta historia dotarła nawet do Perth. Nagłówki gazet krzyczały:

OFIARA PORWANIA PODPALA WŁASNY DOM!

Zdusiłam w sobie złość. Miałam nadzieję, że Andopolis robi, co należy. Wiadomości na bieżąco relacjonowały sprawę. Na szczęście dla mnie nigdy nie pojawiła się informacja, że nowa Bec nie była prawdziwą Bec. W tej kwestii Andopolis musiał milczeć jak zaklęty. Gdyby to wypłynęło, zostałby postawiony w złym świetle. Mama wyszła z tego cało, przynajmniej fizycznie. Kiedy strażacy wyciągali ją z płonącego domu, wrywała im się i krzyczała, że chce zostać w środku.

Zasłoniłam usta dłonią, gdy prezydent wiadomości oznajmił sucho, że pod domem odkryto rozkładające się zwłoki. Worek z ciałem wywieziono karetką.

– Badania laboratoryjne wykazały, że to ciało czterdziestojednoletniego Maxwella Brendana, który przed zaginięciem w dwa tysiące czwartym roku mieszkał obok Winterów.

To nie była Bec. Miałam ochotę skakać z radości. Istniała szansa, że nadal żyje.

Bliźniacy mieli mocne alibi na czas pożaru. Prasa dotarła do zdjęć rodziców wyjeżdżających z domu z nimi na tylnym siedzeniu, a wracających już bez nich. Pewnie wtedy leżeli pod kocem. Linie lotnicze miały nagranie, jak obaj nadają bagaż zaraz po otwarciu terminalu. Trzy godziny później wsiedli na pokład samolotu. Mimo dwugodzinnej luki między tymi zdarzeniami, Andopolis musiał uznać, że ma za mało dowodów wystarczających do ich skazania.

Ku mojemu zaskoczeniu kilka dni później bliźniacy zostali aresztowani.

Patrzyłam, jak Andopolis prowadzi ich na komisariat. Mieli T-shirty naciągnięte na głowy. Andopolis próbował przybrać marsową minę, ale w kącikach jego ust czaił się dobrze znany mi uśmieszek. Okazało się, że nawet po tylu latach na ciele Maxa zachowało się mnóstwo ich DNA.

Śledczy zaczęli drażnić i powiązali ich z serią morderstw w domu opieki w Melbourne, gdzie Andrew pracował jako wolontariusz. Mowa o Holden Valley. Morderstwa były wyjątkowo bestialskie, z początku nawet podejrzewano, że na teren ośrodka dostało się jakieś dzikie zwierzę. Prasa żyła nadchodzącą rozprawą. Nawet gdybym bardzo się starała, nie mogłam uniknąć tego tematu. Gazety stanowiły lwią część śmieci, które zbierałam na poboczu autostrady w ramach zasadzonych prac społecznych.

Podczas tych długich godzin spędzanych na poboczu prawie nieustannie myślałam o Jacku. Zadzwoiłam do niego, ale nie odebrał. Wysłałam do niego esemesa, ale nie odpowiedział. Obsesyjnie czytałam blog Kingsleya. Potem blog zniknął z sieci, a twarz Jacka zobaczyłam w gazecie. To było małe zdjęcie na samym końcu. Aresztowali go po znalezieniu kamery, którą usiłował przemycić na teren obozu dla uchodźców. W przeciwieństwie do procesu Andrew i Paula, proces Jacka trwał krótko. Wyrok – pół roku więzienia.

Starałam się, jak mogłam, być dobrym człowiekiem. Mimo to fakt uwięzienia Jacka uznałam za okoliczność sprzyjającą. Wiedziałam, gdzie siedzi. I właśnie dzisiaj jadę do niego. Będzie musiał mnie wysłuchać. Czekala go rola słuchacza mimo woli.

– Tak? W czym mogę pomóc?

Jestem już pierwsza w kolejce. Kasjerka obrzuca mnie niecierpliwym wzrokiem. Uśmiecham się słabo i płacę za bilet. Jakaś częśćka mnie broni się przed czytaniem tej gazety. Z góry wiem, co napisali. Paul i Andrew mają identyczne DNA, dlatego nie można udowodnić, który z nich zamordował Maxa. Oczywiście media już ich skazały – i może to wystarczy.

Ruszam do kiosku. Jakaś ciemnowłosa kobieta wpatruje się w pierwszą stronę gazety. Nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby nie to, że zastygła w bezruchu. Wokół niej ludzie pędzą we wszystkich kierunkach i cmokają z irytacją, że stoi im na drodze. Powoli odwraca się, jakby poczuła na plecach mój wzrok. Widzę twarz, którą znam jak własną. Ufarbowała włosy i brwi na brązowo, ale u samej nasady widać odcień miedzi. Ma na sobie idealnie skrojone szykowne ubranie, zupełnie jakby pracowała w branży mody. Mimo upływu dwunastu lat nie mam wątpliwości, że to Bec Winter.

Po jej policzkach płyną łzy. Nasze spojrzenia się krzyżują. W jednej chwili jej smutek zamienia się w panikę. Moja twarz wyraża to, do czego przywykłam – szok i niedowierzanie. Zupełnie jakbym zobaczyła ducha. Próbuję roztrącić dzielących nas ludzi.

– Zaczekaj! – krzyczę, ale ona już ucieka.

Ludzie gapią się na mnie, gdy gonię za nią na peron. Zwarty tłum płynie ku stojącym pociągom. Nie spuszczam oczu z jej głowy.

– Przepraszam! – Młoda kobieta potrąca mnie dziecięcym wózkiem.

– Uważaj! – wrzeszczę, piorunując ją wzrokiem.

Co za idiotka ciągnie małe dziecko na stację w godzinach szczytu? Puszczając jej kąśliwe uwagi mimo uszu, rozglądam się gorączkowo. Wśród morza głów próbuję znowu odnaleźć Bec. Za późno.

Zdażyła zniknąć w tłumie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej agentce MacKenzie Fraser-Bub, która wyciągnęła tę książkę ze stosu innych. Jest nadzwyczajną kobietą i bardzo się cieszę, że mam ją w swoim teamie. Dziękuję mojej redaktorce Kerri Buckley, z którą nawiązałam nić porozumienia poprzez Track Changes, zanim spotkałyśmy się osobiście. Dziękuję niezwykle zespołowi w wydawnictwie MIRA, pomocnemu na każdym kroku powstawania tej książki. Oraz Nicole Brebner i Jonowi Cassirowi, którzy uwierzyli w tę historię.

Historia tej powieści zaczęła się o wiele wcześniej. Dlatego dziękuję przyjaciółom z czasów mojej pracy w kinie, którzy byli dla mnie zawsze wsparciem i inspiracją podczas uprzątnięcia popcornu i sprzedawania lodów. Dziękuję wspomniałym członkom mojej grupy z warsztatów pisarskich, którzy podtrzymywali mnie na duchu w trakcie bolesnego czasami procesu tworzenia. Dziękuję Ianowi Pringle'owi za to, że nigdy nie przestał być moim nauczycielem, chociaż formalnie już od dawna nie jestem jego studentką. Dziękuję Graeme'owi Simsionowi za bezcenne rady i Jenny Laylor za konsultacje w kwestiach prawnych. Sierżant Kylie Whiting z wydziału osób zaginionych w Nowej Południowej Walii oraz Kenowi Woodenowi z University of Western Sydney, koordynatorowi praktyk policyjnych, dziękuję za cierpliwe odpowiedzi na moje rozliczne i drobiazgowo pytania.

Dziękuję moim przyjaciółkom: Phoebe Baker, Larze Gissing i Lou James, za humor i radość. Wspomniałemu scenarzyście Joe Osbourne'owi, który podzielił moje upodobanie do niesamowitości i upiorności. Mistrzom słowa – Davidowi Traversowi, Martinie Hoffman i Rebecce Carter Stokes – za czytanie kolejnych wersji tej książki i bezkompromisowe zgłaszanie uwag do tekstu. Allegrze Mee, która wyraziła zgodę na odwołanie się do naszych wspomnień z czasów, kiedy byliśmy nastolatkami. Adamowi Longowi za to, że zawsze mnie słucha.

Z całego serca dziękuję mojej rodzinie. Mojej siostrze Amy, która tak długo powtarzała mi, że powinnam napisać książkę, aż uwierzyłam, że to mój pomysł. Moim wspomniałym rozumnym rodzicom Ruurdowi i Liz, którzy zachęcali mnie, bym robiła to, co mnie uszczęśliwia. Moim radosnym i serdecznym teściom Davidowi i Tess.

I w końcu dziękuję Ryanowi, miłości mojego życia.

NOTKI O KSIĄŻCE

W debiutanckiej powieści Anny Snoekstry młoda kobieta przejmuje tożsamość zaginionej przed jedenastu laty dziewczyny i odkrywa mroczną prawdę kryjącą się za jej zniknięciem. Czy stanie się kolejną ofiarą? Trzymająca w napięciu *Córeczka* jest nowym głosem pośród powieści kryminalnych.

– Mary Kubica, autorka *Grzecznej dziewczynki*

Córeczka to tak naprawdę rozważania o skrywanych przed światem tajemnicach rodzinnych i naszym sekretnym obliczu. Sieć kłamstw oplata czytelnika i trzyma w napięciu aż do ostatniej strony.

– Lisa Unger, autorka *Ink and Bone*

Przewrotna fabuła, która pozostawia wiele pytań... Czytelnik, który lubi przyprawiające o gęsią skórkę niedopowiedziane historie zostawiające pole dla wyobraźni, będzie usatysfakcjonowany.

– Recenzja z *Booklist*

Narastające napięcie i atmosfera zagrożenia przykuwają uwagę czytelnika od pierwszej do ostatniej strony, prowadząc do zaskakującego i wiarygodnego rozwiązania. Debiutancka powieść Anny Snoekstry wyróżnia się na tle innych inteligentnie podsuwanymi fałszywymi tropami i wielością mrocznych sekretów.

– Recenzja z *Library Journal*

Tytuł oryginału: *Only Daughter*

Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2016

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Małgorzata Narewska

© 2016 by Anna Elizabeth Snoekstra

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Mark Owen. Trevillion Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-2519-9

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

